

14/2026 30.03-6.04.26 cena 16 zł
(w tym 8% VAT) Nr indeksu 36679X



W NUMERZE

Travelling

POLSKA

Newsweek

www.newsweek.pl

Więcej wiosny!

D 10,90 €



ISSN 1642-5685 NR INDEKSU 366 79X



NUMER
W SPRZEDAŻY
DO 6.04.2026


9 771642 568609

N



Prenumerata roczna

Newsweek POLSKA

- Nowe wydanie prasowe co tydzień w Twoim domu
- W prezencie: książka „Się żyje. Kora. Biografia”, książka „Reportaże z widokiem na Polskę” oraz roczny dostęp do  onet premium



Zamów za 499 zł na [Literia.pl](https://literia.pl)
 Teraz darmowa dostawa
 również przez **Paczkomat® InPost**

Prenumerata do potęgi

Newsweek POLSKA



Redaktor naczelny **Michał Szadkowski**

WYMIJAJĄCO WPROST

Drenaż Polski

Na naszych oczach odbywa się największa kradzież w dziejach. Okradani jesteśmy wszyscy, traci na tym państwo, cierpi społeczeństwo.

Ochrona zdrowia nigdy nie zacznie działać, bandyci drogowi ze 100 punktami karnymi będą dalej jeździć po polskich drogach, a Collegium Humanum i jemu podobne parauczelnie dalej będą wydawać dyplomy – są sprawy, które na pierwszy, drugi i trzeci rzut oka są jednoznaczne i których rozwiązanie powinno znajdować się na sztandarach wszystkich partii.

To, że żadna ich nie dotyka, nie jest nawet specjalnie zaskakujące. Ale że my, społeczeństwo, nie wywieramy w tych sprawach żadnej presji? No bo jaką wywołujemy? Który rząd miał problemy z powodu kolejek do lekarzy i zapisów na zabiegi onkologiczne na „za 10 lat”? Czy komukolwiek spadło w sondażach, bo kolejny bandyta zabił kogoś na drodze, przekraczając dozwoloną prędkość o 100 km na godzinę? A nieuczciwe uczelnie? Kilka tygodni po publikacji ostatniego śledztwa Renaty Kim de facto handlująca dyplomami Wyższa Szkoła Kształcenia Zawodowego zorganizowała konferencję, której dumnie patronowało Ministerstwo Obrony Narodowej.

W tym samym porządku działają wielkie firmy technologiczne. Niby każdy wie, że należy je opodatkować i uregulować, ale na samym końcu okazuje się, że wicie, rozumiecie, nie da się, zarobieni jesteśmy, a w ogóle to po co ambasadora denerwować.

A one idą coraz dalej.

Naukowcy z Uniwersytetu McGilla w Montrealu przebadali niedawno ChatGPT, Gemini, Claude'a oraz Groka i ustalili, że wszystkie modele, odpowiadając na zapytania użytkowników, korzystały z pracy kanadyjskich mediów. Także z treści płatnych. W 82 proc. przypadków nawet o tym nie informowały, w 100 proc. korzystały z pracy całkowicie za darmo.

Nie ma takich badań w Polsce, lecz bezpieczne wydaje się założenie, że tak samo technologiczne molochy plądrują Onet, „Politykę”, Wyborcza.pl itd. I znów: nic za to nie płacą.

To doskonały model biznesowy. Redakcje płacą pensje, dziennikarze i dziennikarki zbierają informacje, piszą teksty. A potem przychodzą Google czy inne OpenAI i czerpią pieniądze z ich pracy. Zero kosztów, same przychody, same zyski.

Nigdy dość powtarzania: Facebook, Google, OpenAI nie mają redakcji. Nie zatrudniają dziennikarzy. Nie zadadzą nikomu pytania. Nigdzie nie pojadą. Nie przeprowadzą śledztwa ani niczego nie ujawnią. Są zależne od pracy mediów i dziennikarzy.

Jednocześnie big techy są całkowicie pozbawione odpowiedzialności. Poruszają się wyłącznie w logice zysku. Powielają nieprawdę, eksponują treści, których tradycyjne media nigdy by nie opublikowały.

„Obecny system przyspiesza ekonomiczny upadek dziennikarstwa, na którym sam polega” – piszą autorzy kanadyjskiego raportu, co jest równie słuszne, ileż banalne.

Problem jest powszechnie znany, a potrzeba reakcji – bezdyskusyjna. Jeśli chcemy żyć w liberalnej demokracji, musimy mieć wolne media, zatrudniające prawdziwych dziennikarzy. Bez tego bezpiecznika cały system przestanie działać.

W różnych miejscach świata pojawiają się różne pomysły, jak ten bezpiecznik ratować. Niedawno Komisja Europejska zatwierdziła wart 107,5 mln euro francuski program pomocy publicznej na wsparcie dystrybucji prasy drukowanej. – Kanibalizacja i bezmyślne przetwarzanie informacji podważają cel, dla którego jest używana. Czas na poważną rozmowę z firmami zajmującymi się AI – mówił kilka dni temu kanadyjski minister kultury Marc Miller. Polska na razie bardziej udaje, że coś robi, niż naprawdę coś robi. Bo 10 mln zł na program „Bliska kultura”, który ma wesprzeć niezależne media lokalne, nie rozwiązuje żadnego problemu.

Żeby było jasne: to nie jest tekst o tym, że AI jest zła. AI jest wspaniałym narzędziem. Sztuczna inteligencja pomaga w promocji „Newsweeka” w platformach cyfrowych, podczas nauki do egzaminów na studiach MBA i przy planowaniu wakacji.

Nigdy dość powtarzania: to dziennikarze zbierają informacje, zadają pytania, piszą teksty. A potem przychodzą Facebook, Google czy inne OpenAI i zarabiają na ich pracy. Zero kosztów i odpowiedzialności. Same zyski

Także podczas pisania tego tekstu poprosiłem o pomoc (napisałem prompt, znaczy) w wyselekcjonowaniu największych kradzieży w dziejach ludzkości. W odpowiedzi dostałem: brytyjski drenaż Indii wyceniany na równowartość dzisiejszych 45 bln dol.

Metoda jest bardzo podobna. Brytyjczycy przez dwa stulecia przepompowywali bogactwo z kolonii do metropolii. Wykorzystywali lokalne zasoby, wywozili dobra kultury. Ale gdyby ich zapytać, to usłyszelibyśmy, że zanim do Indii przyjechali, to nie było tam nic, a dzięki nim pojawiła się cywilizacja.

Oczywiste jest, że big techy nie zabiorą polskim mediom 45 bln dol. Ale szkód mogą narobić nawet więcej. **N**

6 / Ian McEwan

O tym, co jest najlepsze w naszych czasach, w czym powieść jest podobna do plotki i czy można się pogodzić ze śmiercią – mówi wielki brytyjski pisarz

14 / Jak deepfake niszczy życie

W Polsce ofiary internetowych fałszerstw muszą bronić się same

**18 / Ciągłe w ruchu**

Dawno powinni być na emeryturze, ale nadal pracują. Uważają, że dzięki temu są zdrowsi i bardziej pogodni

24 / Montefiore

Katarzyna Wielka i Potiomkin uznaliby Putina za kogoś bardzo ograniczonego – twierdzi słynny historyk Simon Sebag Montefiore

30 / Dzieci z FAS

Od początku coś było nie tak. Julia nie jadła, nie spała, krzyczała. Dopiero po dziewięciu latach ktoś spojrzął i powiedział: FAS – mówi Agnieszka, która adoptowała Julię

**34 / Historia osobista**

Mam 73 lata i uczyć się chodźki. To efektowne zdanie. Ale i prawdziwe. Udar to nie jest fajna rzecz – mówi Antoni Pawlak

38 / Mózgi prezesa

Kto dzisiaj doradza Jarosławowi Kaczyńskiemu?

42 / Ministra

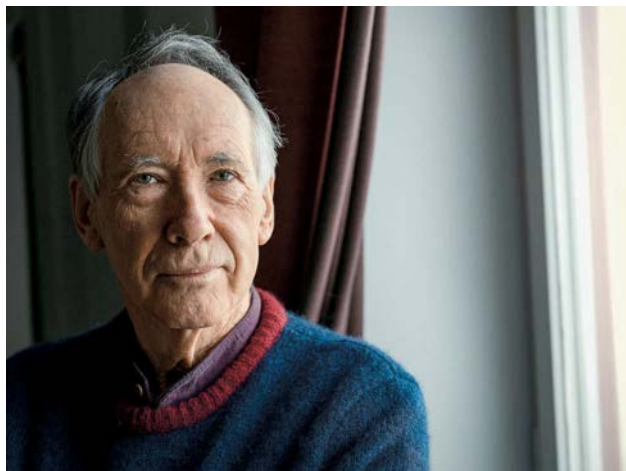
Ona mówi to, co myśli, i zupełnie nie ma hamulca, że trzeba się ugryźć w język – mówią partyjni koledzy Marty Cienkowskiej. Ale to niejedyny zarzut wobec ministry kultury



STR. 6

Ian McEwan dla „Newsweeka”

O tym, czy ludzkość przetrwa i czy AI może nam się wymknąć z rąk – opowiada jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy

**46 / Dwie Polski**

Formacja obiecująca drogę między PIS a PO nie ma dziś w Polsce wielkiego sensu. Nie przy tym poziomie polaryzacji – mówi prof. Jacek Raciborski z Katedry Socjologii Polityki UW

50 / Z jajka na świat – fotoreportaż

Choć zazwyczaj jajka kojarzymy z ptakami, to składają je także stawonogi (np. pająki i owady), mięczaki (np. głowonogi i ślimaki), ryby, płazy, gady oraz ssaki należące do stekowców, czyli dziobak i kolczatka

**56 / Prof. Magdalena Smoczyńska**

Bada dramatyczne losy grupy żydowskich dzieci ocalałych z Zagłady

62 / Święci męczennicy

Uważani byli za szaleńców i samobójców, bo wielu z nich dążyło do męczeńskiej śmierci na wzór Chrystusa i fanatycznie jej pragnęło, by udowodnić siłę swej wiary

68 / Trump tropi UFO

Zdjęcia statku kosmicznego obcych mają się znaleźć wśród rządowych raportów, które kazał ujawnić prezydent USA

72 / Chiny kontra Chiny

Inwazja jest na samym końcu opcji Pekinu. Wbrew temu, co się powszechnie wydaje, Tajwan nie jest taki prosty do zdobycia – mówi Marcin Jacoby, autor książki „Tajwan. Herbatka na beczce prochu”

78 / Tajemnice świadomości

Czasem wydają się pogrążeni w śpiączce, ale mają świadomość tego, co się dzieje wokół. Potrafią badać, co się dzieje w mózgu takiej osoby, ale o pomyłkę nietrudno

82 / Ktoś do tańca i do zdjęcia

Jak się szuka w internecie partnera do pary na wesele albo inną imprezę rodzinną?

100 / Cena wojny

Irański reżim gra Trumpowi na nosie – twierdzi Galip Dalay, turecki ekspert od Bliskiego Wschodu

**104 / Kolumbijskie przekleństwo**

Minęły 33 lata od śmierci Pablo Escobara, ale Kolumbia jest wciąż państwem narkotykowym – mówi wybitny kolumbijski pisarz Jorge Franco, urodzony w Medellin

110 / Historia pewnego jabłka

Jak narodził się projekt komputera osobistego Apple

120 / Pogłaskać ostatni raz

Ukochany pies przy łóżku umierającego człowieka? W polskich szpitalach to na ogół zakazane, jest jednak pewien wyjątkowy oddział i jego szef, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych

**ZIELONY Newsweek****88 / Ekożycie**

W Polsce co z oczu, czyli w śmietniku, to i z serca. Bez zmiany mentalności nie osiągniemy prawdziwej gospodarki obiegu zamkniętego – mówi prof. Magdalena Vaverková



STR. 24

Najwięksi kochankowie w historii świata

Carycy Katarzynie przypisywano 300 kochanków, ale prawdziwa liczba to raczej tuzin. I była ucieleśnieniem monogamistki – mówi słynny historyk Simon Sebag Montefiore



STR. 82

Na wesele z internetu

Ogłoszenia są takie: „Stanowisko: partner na wesele. Wymagania: brak alergii na disco polo, odporność na ciotki pytające o ślub”

92 / Technologie i klimat

Na świecie działa już około 2 mld klimatyzatorów. W ciągu najbliższych dekad ich liczba może wzrosnąć nawet do 5,5 mld. To dobra wiadomość dla naszego komfortu, ale zła dla klimatu

96 / Rewolucja na drogach

Elektryki podbijają drogi i autostrady, także w Polsce



Travelling

126 / Czas na majówkę

Inspiracje na długi weekend

130 / City break dla ambitnych

Polecamy inspirujące i nieoczywiste miejsca na wiosenny weekend

136 / Nowe możliwości

Zbliżający się sezon letni obrodzi w wiele nowych, bezpośrednich połączeń z polskich lotnisk

FELIETONY

4 / Dariusz Ćwiklak

Edek w garniturze

12 / Krzysztof Varga

Bandyt kontra faszyści

23 / Andrzej Stankiewicz

Detronizacja pierwszego kibola

61 / Renata Grochal

Karzący palec prezydenta

67 / Sławomir Sierakowski

Geografia lubi się powtarzać

86 / Katarzyna Kasia

A wiosną wiosną

124 / Katarzyna Janowska

Barczo słaba „Love Story”



TYDZIEŃ Z...

Dariusz Ćwiklak

Edek w garniturze



Kiedy Karol Nawrocki pojawił się po raz pierwszy w smokingu, pracownicy internetu kipiał od porównań do Jamesa Bonda. Rzecz w tym, że agent 007 w mgnieniu oka był w stanie obić twarz niemal każdemu, ale nie prężył się wciąż jak bramkarz z nocnego klubu. Jeszcze gorzej jest, kiedy taki przebieraniec zaczyna mówić. Nawrocki udowodnił, że nawet najbardziej chropawe drewno da się oheblować, ale wystudiowane przemówienia to jedno, a reagowanie na pytania na żywo to zupełnie co innego, zwłaszcza jeśli nie pytają wielbiciele ani zaprzyjaźnieni propagandyści.

Na niedawnej konferencji z prezydentem Węgier Nawrocki musiał się zmierzyć z pytaniem, które zadał dziennikarz TVN24 Mateusz Półchłopek. Pytanie było oczywiste: dlaczego Nawrocki jedzie spotkać się z premierem Węgier Viktorom Orbánem, skoro kilka miesięcy temu spotkanie odwołał, a rzecznik prezydenta wyraźnie argumentował, że to z powodu uścisków Orbána z Putinem. Co się zmieniło? I dlaczego prezydent Polski postanawia wesprzeć Orbána na finiszu kampanii wyborczej, skoro Orbán kupuje ropę od Putina i na jego życzenie blokuje 90 mld euro pomocy dla Ukrainy, a także miliardy euro dla Polski za pomoc wojskową udzieloną Ukrainie?

Trudno zrzucić winę na „krótki lont” Nawrockiego, byłego bramkarza z sopockiego Grand Hotelu. Do dziennikarza podszedł po chwili rozmowy ze swoim rzecznikiem, by z premedytacją pokrzykiwać, że Półchłopek nie słuchał konferencji. Z palcem wymierzonym w dziennikarza Nawrocki powtórzył, że Putin to zbrodniarz, że jest ścigany przez Rosję i „niech się redaktor ogarnie”.

Koncertowa wtopa? A może próba przeszczerzenia trumpizmu na polski grunt? Do-

nald Trump, idol, który namaścił „Nelrokiego” na prezydenta Polski, potrafi wziąć media za twarz. W Wikipedii jest specjalna strona z przezwiskami, jakie Trump stosuje wobec różnych osób, w tym dziennikarzy (np. Morning Psycho – to o Joe Scarborough, prowadzącym śniadaniówkę „Morning Joe” w MS NOW). Bez większego echa przeszło nawet „Milcz, świnko” ogłoszone do jednej z reporterek.

Naturalną obroną organizmu przed nadmiarem chamstwa jest czasem zatykanie uszu. Ale to ślepa uliczka, bo tylko ośmiela propagatorów chamstwa.

Po incydencie na konferencji widać, że testowane są kolejne granice. Działacze PiS przekonują, że pytanie dziennikarza było prowokacją, a szef prezydenckiej kancelarii Zbigniew Bogucki w TVN24 chwalił zachowanie Nawrockiego jako „bardzo zdrowe, racjonalne i mądre”, korespondenta TVN zaś z drwiącym uśmiechem określił jako „ćwierdziennikarza”. Rozumiecie, Półchłopek, ćwierdziennikarz. He, he, he.

Kto jeszcze nie zrozumiał, co znaczy uśmiech Boguckiego i palec Nawrockiego, niech sięgnie do szkolnej lektury Sławomira Mrożka. W III akcie „Tanga” jego Edek mówi wprost: „Teraz moja kolej. Wy będziecie mnie słuchać (...). Widzieliście, jaki mam cios. Ale nie bójcie się, byle cicho siedzieć, nie podsłukiwać, uważać, co mówię, a będzie wam ze mną dobrze, zobaczycie. Ja jestem swój chłop. I poartować mogę, i zabawić się lubię. Tylko posłuch musi być”. **N**

Naturalną obroną organizmu przed nadmiarem chamstwa jest czasem zatykanie uszu. Ale to ślepa uliczka, bo tylko ośmiela propagatorów chamstwa

KARTKA
Z...

1 KWIETNIA 2016 ROKU

Start programu „Rodzina 500+”

W GÓRĘ I W DÓŁ



METTE FREDERIKSEN

Wygrała przyspieszone wybory parlamentarne, ale **było to zwycięstwo pyrrusowe:**

21,9 proc. dało socjaldemokratom pierwsze miejsce, ale 84 miejsca to za mało, by samodzielnie rządzić (potrzeba jeszcze 6 głosów).

Prawica zdobyła 77 miejsc. O składzie rządu zadecyduje partia Umiarkowanych



WIM FISSETTE

Iga Świątek **rozstała się po dwóch latach z belgijskim trenerem.**

„Po wielu miesiącach wspólnej pracy podjęłam decyzję o tym, że pójde inną drogą” – poinformowała na Instagramie



3 WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA

...których nie wolno przegapić

KARY DLA METY I YOUTUBE

Serwisy Mety i YouTube Google'a celowo zostały zaprojektowane tak, by uzależnić młodą użytkowniczkę i szkodzić jej zdrowiu – orzekł sąd w Los Angeles. Oba serwisy mają zapłacić łącznie 6 mln dol. odszkodowania. Z kolei sąd w stanie Nowy Meksyk uznał, że Meta ma zapłacić 375 mln dol. grzywny za to, że nie dbała o dobrostan dzieci w swoich serwisach.

BAZA NA KSIĘŻYCU?

NASA zapowiada budowę bazy na Księżycu kosztem 20 mld dol. Szef agencji Jared Isaacman nie podał konkretnych terminów, ale zaplanowane księżycowe misje Artemis II i III są opóźnione. Program przewidywał ponowne lądowanie człowieka na Księżycu w 2028 r.

MELONI PRZEGRYWA REFERENDUM

Rząd Giorgii Meloni przegrał referendum w sprawie zmian w wymiarze sprawiedliwości. Przeciwno propozycji rozdzielania karier sędziów i prokuratorów oraz zmianom w wyborach do Najwyższej Rady Sądownictwa zagłosowało 54 proc. wyborców. Frekwencja wyniosła 59 proc.

HISTORIA Z OKŁADKI: **INDIRA GANDHI**

Indira Priyadarshini Gandhi, z domu Nehru, została premierką Indii pod koniec stycznia 1966 r., ale okładki w amerykańskim „Newsweeku” doczekała się dopiero w kwietniu. Na polityczną karierę była niejako skazana z racji urodzenia – była wszak córką pierwszego premiera Indii Jawaharlala Nehru (rządził w latach 1947-1964) i przez pewien czas jego asystentką.

Po powrocie ze studiów w Wielkiej Brytanii pod koniec lat 40. Indira Gandhi zaczęła piąć się po szczeblach politycznej kariery: dostała się do władz partii Indyjski Kongres Narodowy, została parlamentarzystką, wreszcie ministrami w rządzie Lal Bahadura Shastriego, który przejął rządy po śmierci Jawaharlala Nehru. Kiedy w 1966 r. zmarł Shastri, szefową rządu została Indira Gandhi.

Jej rządy to ponad dekadę reform socjalistycznych: rozbudowa sektora publicznego, nacjonalizacja wielu podmiotów (w tym banków) i stopniowe dążenie do uniezależnienia od zagranicznych instytucji finansowych. Ważnym elementem zmian wdrażanych przez Gandhi była reforma rolnictwa (tzw. zielona rewolucja), która zapewniła Indiom bezpieczeństwo żywnościowe.

W 1977 r. Gandhi musiała oddać władzę konserwatywnej Partii Ludowej, ale powróciła do rządu trzy lata później, kiedy gospodarka wpadła w ostrą recesję. Tym razem zdecydowała się na częściową deregulację, by wspomóc firmy prywatne i poprawić wydajność firm państwowych. Średnie tempo wzrostu w latach 1980-1985 wyniosło dzięki temu 5,7 proc.

Zginęła z rąk własnych sikhijskich ochroniarzy, w zemście za siłowe zajęcie Złotej Świątyni w pendzabskim mieście Amritsar, w której schronili się sikhijscy terroryści. Po śmierci Indiry premierem został jej syn Rajiv, ale w 1991 r. on także zginął w zamachu. **N**

LICZBA TYGODNIA

163

tyle punktów karnych zbierał poseł PiS Łukasz Mejza – ustaliło radio RMF FM. Aż 16 razy złapały go fotoradary, kiedy przekraczał prędkość. Mandaty za wykroczenia drogowe posła sięgają 11,4 tys. zł

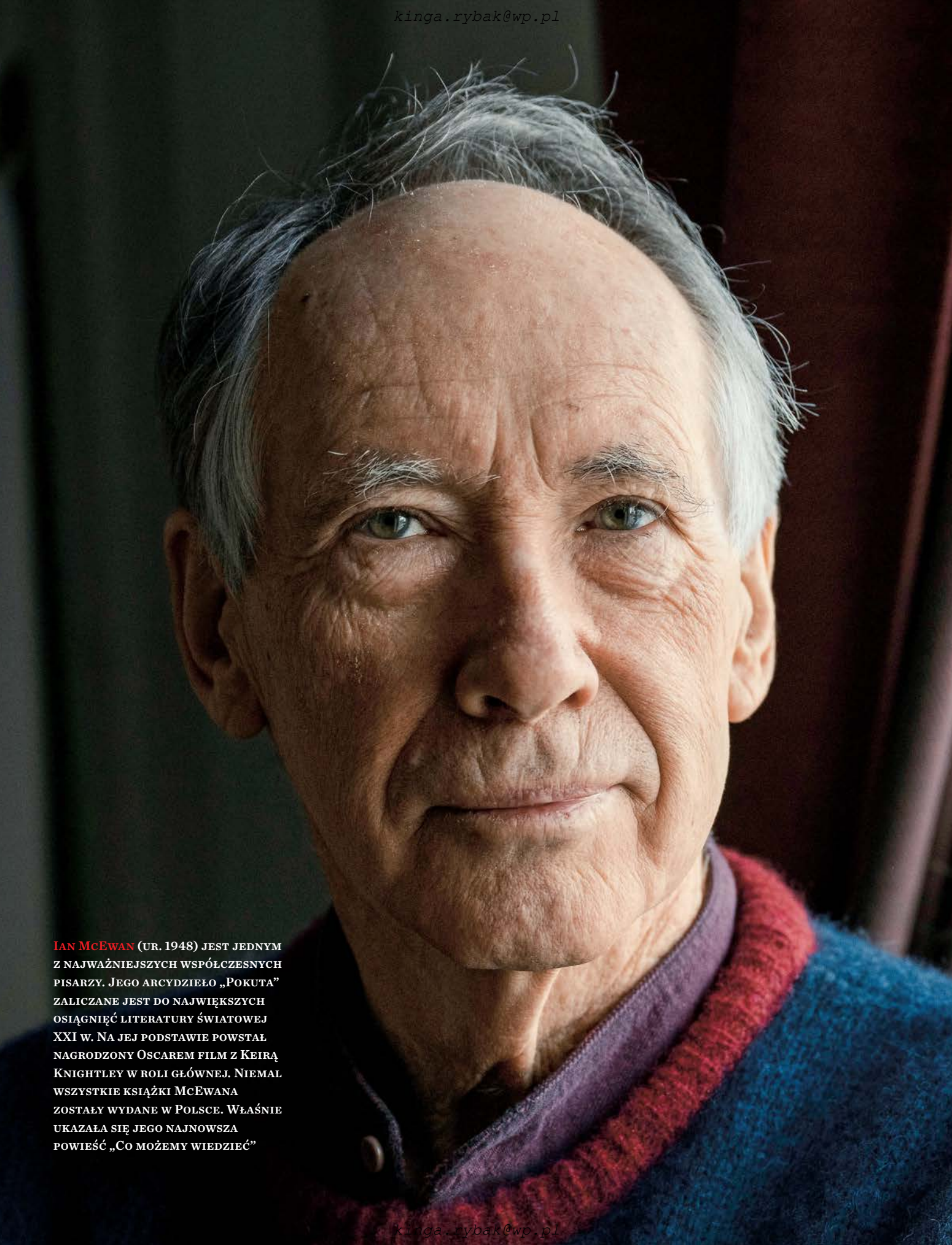
”

„Ktoś tu coś pytał? Gdzie ten pan redaktor? O co pan chce spytać? Pan nie słuchał, co ja myślę o Władimirze Putinie? Robiliście materiały, że mnie ściga Putin? Pan redaktor się ogarnie i słucha, co mówi prezydent Polski. Mówię do pana, panie redaktorze. Władimir Putin to zbrodniarz, rozumie pan redaktor?”

Karol Nawrocki do dziennikarza TVN24 Mateusza Pólchlopka, który przed wyjazdem prezydenta na Węgry zapytał: „Panie prezydencie, czy panu już nie przeszkadza zażyłość Viktora Orbána z Władimirem Putinem?”



SIĘ RZEKŁO



IAN McEWAN (UR. 1948) JEST JEDNYM Z NAJWAŻNIEJSZYCH WSPÓŁCZESNYCH PISARZY. JEGO ARCYDZIEŁO „POKUTA” ZALICZANE JEST DO NAJWIĘKSZYCH OSIĄGNIĘĆ LITERATURY ŚWIATOWEJ XXI W. NA JEJ PODSTAWIE POWSTAŁ NAGRODZONY OSCAREM FILM Z KEIRĄ KNIGHTLEY W ROLI GŁÓWNEJ. NIEMAL WSZYSTKIE KSIĄŻKI McEWANA ZOSTAŁY WYDANE W POLSCE. WŁAŚNIE UKAZAŁA SIĘ JEGO NAJNOWSZA POWIEŚĆ „CO MOŻEMY WIEDZIEĆ”

Newsweek NA WIELKANOC

ROZMOWA Z IANEM MCEWANEM

CZEGO NIE MOŻEMY WIEDZIEĆ

O tym, czy ludzkość przetrwa,
co jest najlepsze w naszych czasach,
w czym powieść jest podobna do plotki
i czy można się pogodzić ze śmiercią
– mówi wielki brytyjski pisarz **IAN MCEWAN**

ROZMAWIA MACIEJ NOWICKI

NEWSWEEK: Świat przeszedł serię katastrof ekologicznych i wojen nuklearnych. USA niemal się nie liczą po okresie wojen domowych. Nigeria jest światową superpotęgą, większość Wielkiej Brytanii pochłonęło morze. Tak wygląda świat w 2119 r. w pana najnowszej powieści. To najlepszy czy najgorszy scenariusz dla ludzkości?

IAN MCEWAN: Cóż, myślę, że jest dość optymistyczny, biorąc pod uwagę obecny stan świata (*śmiech*). Oczywiście nie potrafię przewidzieć przyszłości. Zawsze się mylimy, próbując ją przewidzieć. Mogę jedynie spekulować. Książka „Co możemy wiedzieć” odzwierciedla zarówno moje nadzieje, jak i obawy. I przypuszczam, że za 100 lat nie zniszczymy się całkowicie. XXI w. okaże się długą i ciężką podróżą. Z trudem przedrzemy się od jednego kryzysu do drugiego – przeżyjemy dwie lub trzy wojny nuklearne, ogromne fale migracji, a liczba ludności zmniejszy się mniej więcej o połowę. Ale przetrwamy. Tak to widzę.

A jak pan tworzył ten scenariusz dla przyszłości?

– Stany Zjednoczone, jeśli będą podążać obecną ścieżką, upadną. Być może rozpadną się na małe terytoria kontrolowane przez rywalizujących ze sobą watażków.

Są dwie główne drogi prowadzące nas do katastrofy w skali świata. Jedną z nich jest oczywiście zmiana klimatu. Międzynarodowy impet i energia, by coś z tym zrobić, bardzo opadły. W dużej mierze z powodu tego, co dzieje się w USA. I człowieka, który jest prezydentem. Nasza uwaga jest skupiona na czymś innym.

Drugą rzeczą jest to, że pogrążamy się w świecie AI bez żadnego poczucia kierunku. To kompletny dziki zachód. Ameryka nie zamierza tego w żaden sposób regulować. Jest nastawiona jedynie na zysk. I może to spowodować wielkie problemy w najbliższej przyszłości. Zbliżamy się do sytuacji, w której najważniejszą decyzję pozostawimy nie ludziom, ale AI. I to może wymknąć się z naszych rąk. Człowiekowi zajmuje wiele, wiele minut, by podjąć decyzję o wypowiedzeniu wojny. Sztuczna inteligencja może podjąć decyzję w ułamku sekundy. Kryzys kubański to był czas w moim życiu, gdy się najbardziej bałem. Nie przeżyłem niczego gorszego. Miałem wtedy 14 lat. Myślałem, że świat się kończy, że niebawem zginę. Ale wtedy przynajmniej mieliśmy prawie dwa tygodnie na zamartwianie się. A teraz? Myślę, że po prostu spojrzymy w niebo i pomyślimy: „Co to, do diabła, leci w moim kierunku?”. I to może być nasza ostatnia myśl.

Narrator pana książki prowadzi żmudne poszukiwania pewnego zaginionego poematu. Dysponuje niewiarygodną wręcz ilością informacji. W drugiej części dowiadujemy się, że choć tak się starał, niemal we wszystkim się mylił. To kpina z internetu, z którego czerpał wszelkie informacje? Czy raczej przypomnienie, że tak naprawdę bardzo wielu rzeczy nie wiemy?

– Upadek cywilizacji i wojny nuklearne to tylko tło tej powieści. Jej tematem jest raczej natura historii, natura biografii, przyszłość nauk. I trudność w pełnym poznaniu innych ludzi – czyli to, czym powieści zawsze się zajmowały w taki czy inny sposób. Wyobrażam sobie, że za 100 lat każdy będzie miał dostęp do wszystkiego w nigeryjskim internecie: życia codziennego innych ludzi, wszystkich maili do lekarza, do najlepszego przyja-

ciela. Jednak będzie to prowadziło jedynie do złudzenia wiedzy. Miotamy się w naszej niewiedzy. I najbardziej świadome stanowisko, jakie można zająć, to bycie świadomym tego, czego się nie wie. Gdybym miał podać kontrprzykład, jest to prezydent Trump, o którym myślałem przez cały dzisiejszy ranek. On nie ma pojęcia o granicach swojej wiedzy. A to bardzo niebezpieczny stan umysłu. Celem edukacji jest uświadomienie ludziom tego, czego nie wiedzą. Tego właśnie nauczyłem się na uniwersytecie wiele lat temu. Dzięki temu zyskuje się szacunek dla ludzi wiedzących rzeczy, których samemu się nie wie. Prezydent Trump nie ma świadomości ograniczeń swojego zrozumienia. To, że czegoś nie wie, nawet nie przyszło mu do głowy. I myślę, że to właśnie czyni go bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

Studenci pana bohatera są znużeni opowieściami o zaleństwach XXI w., czasie katastrof zwanym Zaburzeniami. Interesuje ich tylko czas teraźniejszy.

Ale o sam potwornie nam zazdrości. Czego?

– Prawie wszystkiego: koncertów rockowych, parad równości, opery, zawodów w toczeniu sera, lotów transatlantyckich. Jeśli mieszkasz dziś w Europie, być może przeżywasz najlepszy moment w historii ludzkości. A jeśli mamy wziąć odpowiedzialność za planetę, powinniśmy zacząć od docenienia tego, co mamy. Dlatego narrator w pierwszej części książki tęskni za tym, by móc żyć w 2010 lub 2024 r. To jest moja deklaracja w rodzaju: „Obudźcie się, mamy wspaniałe rzeczy. Niesamowitą naukę ścisłą, wspaniałe nauki humanistyczne. Prawdopodobnie nigdy nie mieliśmy tak wielu informacji w zasięgu ręki. O ile nie jesteście w biedzie, nie pogrążasz się w żalobie albo nie wariujesz, to jest wspaniały czas, by żyć”. I za każdym razem, gdy ktoś mi mówi, że chciałby żyć w XVII w., odpowiadam: „Tak, ale co ze znieczuleniem? Możesz iść do dentysty bez bólu. Możesz mieć wycięty wyrostek robaczkowy bez bólu. I przede wszystkim po wizycie u lekarza nadal żyjesz”. Większość ludzkości nigdy nie miała takiej możliwości.

A jeśli chodzi o studentów mojego bohatera, Toma Metcalfe’a, cóż, sam byłem taki w 1967 czy 1968 r., kiedy studiowałem. Uważaliśmy, że nasi rodzice są bardzo nudni. W niedzielny poranek myli samochód, kosili trawnik i chcieli nudnego życia. A powodem było to, że podczas II wojny światowej znaleźli się u bram piekła i pragnęli spokojnego życia. W tamtej wojnie zginęło 80 mln ludzi. A my chcieliśmy marihuanę, rock and roll, dużo seksu. Po prostu nie przejmowaliśmy się przeszłością. Tak jak studenci w mojej powieści nie chcą już słyszeć o minionych zaleństwach. Chcą żyć przyszłością i teraźniejszością.

Centralne miejsce w „Co możemy wiedzieć” zajmują zaginiony cykl sonetów i próby jego odnalezienia.

Wierzy pan w wyższość poezji nad powieścią?

– Tak. Nie miałem żadnych wątpliwości, że to musi być wiersz. Uważam poezję za najwyższą formę literacką. To najbardziej skoncentrowana forma wyrażania ludzkiej myśli, jaką mamy. I dlatego pojawiała się w wielu moich powieściach, ale w końcu udało mi się umieścić ją w centralnym miejscu. Oddać jej szacunek. Zazdroszczę poetom – wielkim i dobrym. Uważam, że poezja jest literaturą pierwotną. Jest ściśle powiązana z pieśnią, z tańcem, z rytmem życia, z celebrowaniem chwili. Dlatego mi-

łość jest jednym z jej głównych tematów. A powieść jest znacznie nowszym tworem. W angielskiej tradycji literackiej tak naprawdę zaczęła się w XVIII w. Wiele uczymy się od Jane Austen. Od innych wielkich mistrzów XIX w.: Flauberta, Dostojewskiego, George'a Eliota czy Joyce'a. Można by uznać powieści za formę bardzo wyrafinowanych plotek, ponieważ jedną z rzeczy, które uwielbiamy robić, jest siedzenie i rozmowa o sobie i o innych. Poezja ma znacznie dłuższą historię – gdy czytamy Homera, jesteśmy w kontakcie z ludźmi, którzy żyli blisko 3000 lat temu.

Ale jestem niemal pewien, że nigdy nie widziałem napisanego przez pana wiersza. A przeczytałem chyba wszystkie pana książki.

– Jeśli chcesz być poetą, musisz poświęcić temu swoje życie. Trzeba zacząć w wieku 20 lat i po prostu pisać. Tak samo myślę o powieściopisarzach. Wzdrygam się, gdy ktoś mówi: „każdy ma w sobie powieść” albo coś w tym stylu. Poświęciłem powieści życie. Od 56 lat piszę prozę i oddałem się temu całkowicie. Myślę, że z poezją trzeba postępować tak samo. A kiedy ktoś ma

To kolejna pana powieść z wątkiem choroby Alzheimera.

Ten wątek przewija się od „Amsterdamu”, za którego dostał pan Bookera blisko 30 lat temu. W „Co możemy wiedzieć” jeden z bohaterów zabija chorego na alzheimera, bo uważa, że tak należy.

– Mój syn jest naukowcem. Zajmuje się chorobą Alzheimera. Moja matka zmarła na tę chorobę. Inny bliski członek rodziny też na nią cierpi. Mam pięciu lub sześciu przyjaciół z chorobą Alzheimera w różnych stadiach. Kiedy osiągasz pewien wiek, na pewno będziesz miał przyjaciół z chorobą Alzheimera. Dlaczego to tak fascynujące i straszne? Wynika to ze smutku i z ciężaru odpowiedzialności, jaki to nakłada na wszystkich wokół, bo można obserwować, jak chora osoba po prostu znika. Kiedy ktoś traci pamięć, w zasadzie traci swoją tożsamość, ale proces ten trwa latami. Zaczyna się od niepamiętania imion i rzeczowników. A kończy się tym, że osoba ta jest jednocześnie martwa i żywa. Jej osobowość znika. Gdy choroba mojej matki osiągnęła zaawansowane stadium i ta nie rozpoznawała nikogo, była już martwa. Żyła i umarła jednocześnie. To było straszne. Zawsze powtarzam mojemu synowi: „Musisz się pospieszyć. Bo ja mam już 77 lat”. Prawie jedna trzecia z nas na to zachoruje. A im ktoś jest starszy, tym większe prawdopodobieństwo, że tak będzie. Ale mam nadzieję, że w ciągu najbliższych 15 lat znajdziemy lekarstwo na alzheimera.

Tom Metcalfe zazdrości nam, jego zdaniem żyliśmy

w lepszych czasach. Czytając pana książki, odnoszę nieraz wrażenie, że pan zazdrości samemu sobie, bo życie w latach 70. było dla pana lepsze.

– Nie wiem. To dla mnie trudne pytanie. Oczywiście wolałbym być młody niż stary. Wtedy miałem więcej radości, więcej apetytu. Podejmowałem większe ryzyko. Po prostu chciałem więcej od życia. Teraz mógłbym spokojnie zostać w domu w sobotni wieczór i czytać książkę. Nigdy nie siedziałbym w domu z książką w sobotni wieczór, kiedy miałem 27 lat. Gdybym tylko mógł nacisnąć przycisk i sprawić, żeby ten 27-letni człowiek mógł żyć moim obecnym życiem... Bo mieszkam w bardzo pięknym starym domu na pięknej wsi, mam cudowną żonę, wspaniałe wnuki, wspaniałe dzieci. W latach 70., kiedy zaczynałem pisać, bywałem czasem trochę szalony z samotności i wariowałem, gdy nie mogłem znaleźć odpowiedniego tematu na powieść lub utknąłem w martwym punkcie. Był taki czas, że zapędziłem się w mroczny ślepy zaułek i uznałem, że muszę zrobić sobie przerwę od pisania. Dopiero w mojej piątej książce – „Dziecko w czasie” – zacząłem zgłębiać tematy, które miały mnie zajmować przez resztę mojego pisarskiego życia: nauka, historia, początki miłości, koniec miłości, polityka, zmiany społeczne. Jeśli się nad tym dobrze zastanowię... Miałem wtedy znacznie więcej niepokoju, ale także szaleństwa i zabawy. Teraz odczuwam głębsze szczęście, mam lepsze życie niż wtedy.

W jakim sensie?

– Na poziomie osobistym mam bogatsze relacje przyjacielskie i miłosne niż w latach 70. Wtedy zawsze prześladował mnie demon związany z pisaniem, związkami emocjonalnymi, przyjaźniami. I nie miałem pieniędzy. Ale to akurat nie było wielkim

” PRZEŻYJEMY DWIE LUB TRZY WOJNY NUKLEARNE, OGROMNE FALE MIGRACJI, A LICZBA LUDNOŚCI ZMNIEJSZY SIĘ MNIJ WIĘCEJ O POŁOWĘ. ALE PRZETRWAMY. TAK TO WIDZĘ

45 lat i decyduje: „Cóż, napiszę trochę poezji”... W porządku, czemu nie. Ale to nie czyni cię poetą.

Czy historia może być dobrym sędzią, czy nie do końca?

To jest jeden z tematów pana książki: ludzimy się, że przyszłość oceni nas właściwiej.

– Nie warto polegać na przyszłości, liczyć, że wyda ostateczny osąd na nasz temat. Bo ludzie będą oceniać poezję, sztukę i wszystko inne przez pryzmat swoich własnych zmartwień, obsesji, uprzedzeń i skłonności do zapominania. Jako ludzkość nie możemy wspiąć się na jakąś górę prawdy, stanąć na jej szczycie i poznać wszystkiego.

Jest takie powiedzenie: „historia będzie sędzią”. Będzie to bardzo stronniczy sędzia, tak jak my jesteśmy bardzo stronniczy w naszej teraźniejszości. A na dodatek przyszłość pewnego dnia stanie się przeszłością kogoś innego. Wszyscy jesteśmy uwięzieni w naszych czasach. Jak mówię w powieści, jesteśmy „jak mucha w butelce”. I to dodatkowo ogranicza nasze zrozumienie.

problemem, nie potrzebowało się ich zbyt wiele. W latach 70. czynsze były bardzo niskie. Nie mieliśmy takich urządzeń, jak komputery czy iPhone'y. Nie miałem samochodu. Miałem tylko trzy koszulki i dwie pary dżinsów. Raz w tygodniu chodziłem do pralni i płaciłem pięć szylingów. Życie było więc dość proste. Ale teraz czuję się szczęśliwszy.

Jak poprawić swoje życie, aby być choć trochę szczęśliwszym? Jaka jest pana rada?

– Zygmunt Freud został kiedyś zapytany, co jest kluczem do udanego życia. Odpowiedział, że potrzebne są trzy rzeczy: dobre zdrowie fizyczne, miłość i przyjaźń oraz satysfakcjonująca praca. To było bardzo praktyczne, biorąc pod uwagę, że pochodziło od Freuda. I tak właśnie jest. Dbaj o swoje zdrowie, pielęgnuj przyjaźnie i znajdź pracę, którą pokochasz. Natomiast wbrew temu, co gdzie indziej mówił Freud, seks wydaje mi się przereklamowany. Zwłaszcza po trzydziestce.

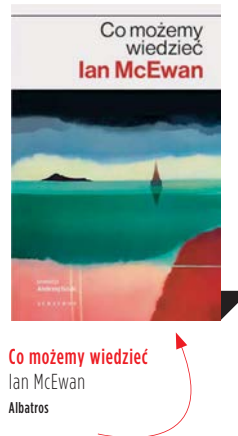
Jakieś 10 lat temu, opisując ówczesną atmosferę, powiedział mi pan: „Faszizm już wisi w powietrzu”. Jak jest dzisiaj?

– Faszizm zbliżył się nieco bardziej. Jest w Ukrainie w wyniku rosyjskiej inwazji. Uważam, że Putin jest faszystą. I myślę, że prezydent Trump jest kimś, kto pragnie być jak Putin. Wszystkie jego instynkty zacierają się w kierunku dyktatury. Na szczęście się starzeje i nie będzie rządził dłużej niż kolejne dwa i pół roku. Myślę, że ma demencję. To naprawdę realna możliwość. Czasami mówi rzeczy tak szalone, że mam wrażenie, iż traci rozum. Nie sądziłem, że będzie miał drugą szansę na prezydenturę

” POGRAŻAMY SIĘ W ŚWIECIE AI BEZ ŻADNEGO POCZUCIA KIERUNKU. TO KOMPLETNY DZIKI ZACHÓD

ani że będzie to tak radykalne, jak widzimy. Jest o wiele gorzej, niż można było sobie wyobrazić.

Tego, co widzimy w różnych wydarzeniach politycznych tutaj, w Wielkiej Brytanii, nie nazwałbym faszyzmem. Ale na głos mówi się rzeczy, których nie można było powiedzieć 20 lat temu. Podobnie we Francji, w Niemczech, gdzie działa AfD, we Włoszech, w niemal całej Europie. To, co wisiało w powietrzu, gdy wtedy rozmawialiśmy, jest jeszcze bardziej wyczuwalne. Dlatego musimy skoncentrować się na oporze. Zdziwiał mnie, że Ameryka tak się uciszyła w obliczu Trumpa. Zbyt mało protestują, po prostu przyjmują to jako coś nieuniknionego. Mimo że Trump jest tak skorumpowany i sam zresztą o tym bez przerwy mówi. Ale muszą uważać, bo nadchodzi moment, po którym nie da się już odzyskać otwartego społeczeństwa. Spójrzmy na to, co dzieje się w Izraelu, na to, co robi tamtejsza prawica. Zachowuje się, jakby upiła się władzą i bronią. A jak jest w Polsce? Martwi się pan?



Oczywiście. Tak dziś jest: zaczynamy dzień od martwienia się, co będzie dalej. Pytanie osobiste. Ma pan 77 lat. Kiedyś wspominał pan, że po przebudzeniu myślał o sobie jak o kimś, kto ma 30, 32 lata. A teraz?

– To się zmieniło. Jeszcze jakieś cztery-pięć lat temu po otwarciu oczu byłem przekonany, że mam nadal 32 lata. Teraz tak już nie jest. Starzenie się jest jak prowadzenie samochodu, którego nie zmieniłeś od lat. Samochód to twoje ciało i pewnego dnia zauważasz, że odpadło lustro boczne. Ktoś

w nocy ukradł przedni zderzak, a tylne drzwi już się nie otwierają. A potem samochód nie zapala. Musiałem mieć wszczepione nowe kolano. Na razie mogę przejechać 5 km. Myślę, że do przyszłego miesiąca będę w stanie przejechać 20 km. Sądzę, że do końca roku dam radę robić 30 km. Wtedy znów, gdzieś w głębi serca, będę miał 32 lata. Bo będę mógł chodzić na piesze wycieczki, które tak kocham. A gdy zrobię sobie drugie kolano, będę mógł grać w tenisa. Ale teraz rano budzę się z bólem w kolanie po operacji. I od razu przypomina mi się, jaka jest prawda.

Ktoś mi powiedział, że największą rekompensatą za bycie starszym jest posiadanie wnuków. Jaka jest pana największa rekompensata?

– Wnuki umieściłbym na samym szczycie. Właśnie wtedy, gdy wydaje ci się, że już nigdy nie poznasz nikogo nowego, przeżywasz ten romans. W późnym życiu następuje kolejny wybuch miłości. Tyle że obiekt twojego romansu ma zaledwie metr wysokości. Jeśli masz dzieci i wnuki, chcesz, by projekt zwany ludzkość przetrwał.

Myślę, że był moment w moim życiu, kiedy zdałem sobie sprawę, że jestem od teraz na innej ścieżce. Byłem w samolocie, który właśnie wylądował, zgasła kontrolka pasów bezpieczeństwa i wstałem, żeby wyjąć bagaż ze schowka nad głową. I wtedy piękna młoda kobieta zapytała mnie: „Czy mogę pomóc panu zdjąć bagaż?”. Pomyślałem: „Och, jestem na nowym etapie. Moja relacja z ludzkością, z tą piękną kobietą, jest zupełnie inna. I nadszedł czas, by to zrozumieć”. Nie wyznaję żadnej religii. Ale coraz bardziej godzę się z ideą śmierci. Pojawił się u mnie pewien rodzaj spokoju, którego nigdy wcześniej w życiu nie zaznałem.

Skąd ten spokój przyszedł?

– Cóż, wiem, że to się stanie. Nie mogę z tym walczyć. Umrę. Odchodzę w całkowity niebyt. Na zawsze. I to się już dzieje. Kiedy myślałem o tym w wieku 30 lat, ogromnie mnie to przerażało. Myślałem, jakie to straszne. Teraz czuję się z tym trochę lepiej. Nie do końca, ale trochę lepiej. To jedna z lepszych rzeczy w byciu 77-latką: pewien rodzaj spokoju. Chyba że nie mogę znaleźć kluczy, portfela, okularów. Wtedy cały mój spokój od razu znika. ■

maciej.nowicki@newsweek.pl

Podróżowanie bez etykiet

Etyczne podróżowanie to coś więcej niż turystyczny wybór – to sposób patrzenia na świat, który łączy ciekawość z odpowiedzialnością za miejsca i ludzi, których spotykamy na swojej drodze.

Wyobraźmy sobie folder promujący wycieczki do Polski. Na okładce drewniana chata, kobieta w łowickim stroju i podpis: „Smak egzotyki w sercu Europy”. W środku ani słowa o nowoczesnych miastach, technologii czy kulturze współczesnej. Tylko skanseny, pierogi i surowa słowiańska dusza. Karykatura? Oczywiście. Problem w tym, że w podobny sposób opowiadamy o krajach globalnego Południa.

Egzotyka dobrze się sprzedaje. Kontrasty przyciągają uwagę. Gdy coś jest inne, barwne i niecodzienne, łatwo uczynić z tego główną oś narracji. Powstaje opowieść uproszczona – niekoniecznie fałszywa, ale niepełna, a niedopowiedzenia bywają równie szkodliwe jak nieprawda. Częstym schematem jest utożsamianie egzotycznego z autentycznym. Tradycyjna wioska bywa uznawana za bardziej prawdziwą niż nowoczesna metropolia, ubóstwo za bardziej typowe niż klasa średnia, a rękodzieło za bardziej reprezentatywne niż współczesne formy gospodarki.

Równie krzywdzące mogą być narracje utrwalające podział świata na „cywilizowaną” Północ i „dzikię” Południe lub wizja jednolitej, egzotycznej Afryki sprowadzanej do krajobrazu sawanny i skrajnej biedy. Takie opowieści odbierają podmiotowość ludziom, czyniąc z nich element tła podróźniczej historii.

Etyczne podróżowanie nie polega wyłącznie na wyborze ekologicznego transportu czy jedzenia w lokalnych



Mankoliva, Madagaskar

restauracjach. To przede wszystkim kwestia odpowiedzialności za interpretację rzeczywistości. Kluczowe staje się pytanie o perspektywę – czy odwiedzane społeczności traktujemy jak partnerów, czy jak tło dla własnej historii? Czy potrafimy przyznać, że tygodniowy pobyt nie czyni z nas ekspertów od kultury czy historii danego miejsca? Etyczne podróżowanie zaczyna się od języka. Od refleksji nad tym, czy nie wpadamy w sidła stereotypów. Ta sama uważność dotyczy współczesnego biznesu, który coraz częściej definiują nie tylko wyniki, ale też odpowiedzialność za sposób, w jaki pracownicy oddziałują na otoczenie – także podczas spotkań z kontrahentami lub podróży służbowych.

Coraz więcej osób dostrzega znaczenie rzetelnej komunikacji o świecie. Wychodząc naprzeciw tym oczekiwaniom, Polska Akcja Huma-

nitarna oferuje szkolenia z zakresu etycznego podróżowania i odpowiedzialnego opowiadania o świecie, które uczą, jak unikać szkodliwych stereotypów i budować komunikację opartą na szacunku. Program obejmuje również zagadnienia dotyczące m.in. mądrego pomagania i antydystryminacji, które ułatwiają zrozumienie mechanizmów wykluczenia, co pozytywnie przekłada się na kulturę włączającą w firmie. Tworzymy dedykowane warsztaty integracyjne, łączące budowanie zespołu z głębokim sensem społecznym i poczuciem sprawstwa. Więcej informacji znajdziesz na: www.pah.org.pl/biznes.

Kupując szkolenie dla swojej firmy, wspierasz pomoc niesioną przez PAH. ●





BESTIARIUM POLSKIE

Krzysztof Varga

Bandyci kontra faszyści

M

otto: „Po śmierci życie jest łatwiejsze”.

Alfie Solomons

Cokolwiek teraz się ogląda, nawet rzeczy stare, to wszystko zdaje się aktualne, a przez to przerażające. Człowiek patrzy na serial o gangsterach, rozgrywający się niemal sto lat temu, i widzi, że to opowieść o roku 2026.

W nerwowym drzeniu czekałem na film „Peaky Blinders: Nieśmiertelny”, bo będąc wyznawcą serialu „Peaky Blinders”, wiedziałem, jakie zagrożenia to ze sobą niesie. Bałem się mianowicie katastrofy artystycznej pełnometrażowego finału fenomenalnej opowieści. I stało się – jest katastrofa, a co gorsza, nie można powiedzieć, że to piękna katastrofa, bo to katastrofa brzydka, a wręcz paskudna. Postać Tommy’ego Shelby’ego, gangstera rządzącego międzywojennym Birmingham, została ośmieszona, podobnie jak trzymająca za gardło fabuła serialu. W tym pozał się Boże grande finale historia okazała się mocną jak sparciwały balon, który nawet nie może pęknąć, a jedynie syczy żałośnie uchodzącym z niego powietrzem.

Pokrótkie, aczkolwiek z niesmakiem, przedłożę tu streszczenie tego zawstydzającego nieszczęścia filmowego. Oto jest rok 1940 i na Anglię spadają niemieckie bomby, w tym na Birmingham, gdzie ginie cała żeńska załoga fabryki amunicji. Samotny i nieszczęśliwy Tommy Shelby ukrywa się przed światem w zapyziałej posiadłości i nie chce mieć nic wspólnego ani z wojną, ani ze swoim synem o imieniu Duke, który został nowym hersztem Peaky Blinders. Duke jest tak zdemoralizowanym bandytą, że wykorzystuje niemieckie bombardowania, żeby rozkradać fabryki, bić rodaków i spiknąć się z Niemcami w celu wprowadzenia do obiegu milionów sfałszowanych funtów. W istocie taka historia miała miejsce: naziści w ramach operacji „Bernhard” naprawdę wyprodukowali stosy fałszywych pieniędzy, by zalać nimi Wielką Brytanię i spowodować załamanie gospodarki, skoro nie mogli rzucić Brytyjczyków na kolana za pomocą Luftwaffe. Historia fenomenalna, bo to było największe fałszerstwo w dziejach, ale nawet to w „Nieśmiertelnym” jest równie ciekawe jak esej o wędkarstwie muchowym.

Tommy Shelby jest taką ruiną człowieka, że nawet zaczyna pisać książkę. To kompletny upadek – dawniej człowiek, którego bali się wszyscy żywi, a nawet wielu umarłych, teraz zamiast naciskać spust pistoletu, stuka w klawisze maszyny do pisania: żalność i wstyd niewystawiony. Do tego pojawia się nieoczekiwane nieznana mu bliźniacza siostra jego zmarłej kochanki, która ma relacje z duchami i zajmuje się magią. Nie ma gorszego patentu

na ratowanie nędznego scenariusza, jak nieoczekiwane pojawienie się bliźniaczki zmarłej kochanki.

Kiedyś obdarzony niepokojącą urodą Cilliana Murphy’ego Thomas Shelby był Aniołem Zagłady, gdy w zwolnionym tempie szedł przez miasto, z pochyloną głową, z szeroko rozwartymi ramionami i w rozpiętym płaszczu. Był częścią tej siły, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie czyni dobro. Ale gdy pragnął czynić dobro, to sprawiał potworne zło, a wokół niego pozostawały już tylko ruiny i zgliszcza. Naturalnie wszyscy zakochali się w Tommym, mimo że był bezlitosnym zabójcą, zakochali się w Peaky Blinders, bo ci mieli styl i fason, przyjęli do swoich domów całą rodzinę Shelbych i kibicowali im nawet przy największych niegodziwościach, jakie ci popełniali.

Brat Tommy’ego Arthur nie dość, że był niepojętym psychopata, to jeszcze do tego kompletnym głup-

Zakonspirowana wewnątrz brytyjskich elit skrajnie prawicowa Sekcja D spiskowała i mordowała w „Peaky Blinders”. Umiecie sobie wyobrazić dzisiaj taką organizację wewnątrz jakiegoś formalnie demokratycznego rządu? Ja umiem jak najbardziej

kiem. Szanowałem Tommy’ego, nie znosiłem Arthura, kochałem ciotkę Polly. A to wszystko znaczy, że miałem osobisty stosunek do bohaterów, rzecz w dzisiejszym kinie z jakiegoś powodu coraz rzadsza. Im więcej nowych filmów widzę, tym mniej się angażuję w ich bohaterów.

Wielkość filmu czy serialu poznajemy po doskonałych postaciach drugoplanowych. Dobrą postać głównego bohatera byle amator potrafi sklecić, ale dać wyraziste figury na drugim i trzecim planie, o, to wymaga inteligencji, talentu, a nawet błysku geniusza. I to wszystko miał serial „Peaky Blinders”, nic zaś z tego nie posiada film „Peaky Blinders: Nieśmiertelny”. Ma za to śmiertelną nudę, martwą historię, znumifikowanych bohaterów.

Postaci Tommy’ego, Arthura, ciotki Polly były napiane, poprowadzone i zagrane fenomenalnie, ale tacy herosi drugiego planu jak płatny zabójca Aberama Gold, a szczególnie Alfie Solomons – to dopiero były perły! Żydowski gangster Alfie to był olimpijski popis Toma Hardy’ego, dowód na to, że człowiek naprawdę może pokochać gangstera, szczególnie gdy ten jest fikcyjny.

Rzecz jednak najważniejsza: bracia Shelby, a także kilku ich zaufanych łajdaków przeszli piekło I wojny światowej,

a nie było w dziejach wojen większego piekła niż I wojna światowa. Zostali przez wojnę złamani, mieli klasyczne PTSD i koszmarnie sny. Z kontekstu zrozumiałem, że walczyli w bitwie pod Passchendaele, na porośniętych makami słynnych polach Flandrii, które wchłonęły pół miliona zabitych i zostawiły w głowach tych, którzy przeżyli, chaos i obłęd.

I dlatego właśnie bracia Shelby, mimo że są bezlitosnymi gangsterami, gdy w Wielkiej Brytanii rodzi się faszyzm, gdy na scenę wkracza Oswald Mosley ze swoją Brytyjską Unią Faszystów, postanawiają do faszystów strzelać. Oswald Mosley żył naprawdę, naprawdę był faszystą i naprawdę chciał wprowadzić w Wielkiej Brytanii rządy na wzór hitlerowskich. Nic mu się złego nie stało, dożył spokojnej starości i napisał wspomnienia, a ja odnoszę wrażenie, że Mosley powraca dzisiaj, wcielając się w polityków nowej ery, zwanych eufemistycznie populistami.

Oprócz Mosleya, zabójców z Irlandzkiej Armii Republikańskiej, protestanckich Billy Boys, czyli gangusów z Glasgow, pracujących dla faszystów, w serialu pojawiają się również fikcyjna Sekcja D – skrajnie prawicowa organizacja zakonspirowana wewnątrz brytyjskich elit politycznych, biznesowych, kościelnych, wojskowych, zwana też dowcipnie Ligą Ekonomiczną. Sekcja D spiskowała, mordowała, likwidowała nawet pracowników wywiadu, jeśli ci chcieli przeszkodzić w plenienu się faszyzmu.

Umiecie sobie wyobrazić dzisiaj taką organizację wewnątrz jakiegoś formalnie demokratycznego rządu? Ja umiem jak najbardziej.

Mosley, gdy lepiej poznał Tommy'ego, powiedział mu: „Nie ma pan klasycznego wykształcenia, ale stanowi pan idealną równowagę między Dionizosem a Apollinem. Nie-racjonalne szaleństwo kontrolowane przez rozum i auto-refleksję”. Tommy nie miał klasycznego wykształcenia, ale czytał książki. Na stoliku w jego sypialni leżały „Objaśnianie marzeń sennych” Freuda i „Ryszard II” Szekspira. Nie czytał Nietzschego, to wiemy, bo zapytał go o to Mosley w trakcie jednej z ich diabolicznych rozmów. I diaboliczność Tommy'ego okazywała się anielskością w porównaniu z diabolicznością Mosleya. Tommy chciał zabić serialowego Mosleya, ale mu się to nie udało, bo Mosley go zawsze wyprzedzał o krok i umykał sprawiedliwości ludowej.

Przemowa Mosleya na przyjęciu u Shelbich w piątym sezonie nie była przerażająca dlatego, że Mosley wykrzyczał stek antysemitów i faszystowskich sloganów, ale dlatego, że jego charyzmatyczny popis cynizmu spotkał się z aplauzem zebranej tam eleganckiej i kulturalnej publiczności. Żadnych tam szumowin, ale samej elity, właśnie zakochującej się w człowieku, który woła na koniec „Britain first!”. Mosley to krzyczał w 1929 r., a jakby krzyczał dzisiaj. **N**

Krzysztof Varga jest pisarzem, publicystą, a także autorem tekstów piosenek zespołu Dr Misto

Newsweek

od 2001 roku

Adres redakcji tygodnika: 02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 49 / Kontakt z czytelnikami www.newsweek.pl, redakcja@newsweek.pl

Redaktor naczelny: Michał Szadkowski / Zastępcy redaktora naczelnego: Dariusz Ćwiklak, Emilia Stawikowska / Redaktorzy prowadzący: Łukasz Ramlau, Andrzej Olejniczak / Dyrektor artystyczna: Magdalena Mamajek-Mich /

Sekretariat redakcji: Katarzyna Klejnocka, Magdalena Jarco /

Redaguje zespół: Katarzyna Burda, Dominika Długosz-Gierszewska, Jacek Gądek, Dawid Karpiuk, Renata Kim, Piotr Milewski, Maciej Nowicki, Jacek Pawlicki, Karolina Rogaska, Dorota Romanowska, Jacek Tomczuk, Elżbieta Turlej, Katarzyna Wężyk, Agnieszka Żądło /

Felietoniści: Dariusz Ćwiklak, Renata Grochal, Katarzyna Janowska, Katarzyna Kasia, Henryk Sawka, Sławomir Sierakowski, Andrzej Stankiewicz, Krzysztof Varga /

Newsweek.pl: Mateusz Wojtalik (szef wydawców) / Wydawnictwo i wydawcy: Karolina Brzezińska, Olga Kołakowska, Paweł Kościński, Anna Podlaska, Dominik Szczepański, Marcin Wierczkowski, Rafał Wójcik /

Media społecznościowe: Igor Iwanuk / Foto: Jacek Gruszecki, Ewa Falkiewicz, Marek Szczepański /

Studio graficzne: Grzegorz Brodowski, Urszula Gardy, Izabela Królikowska, Aleksandra Kuc, Sylwia Niedzadzowska, Michał Peas / Korekta: Iwona Trzaskoma, Małgorzata Tamitowska, Klaudia Smulska /

Asystentka redaktora naczelnego: Kamila Skowron, kamila.skowron@newsweek.pl

Wydawca: RINGIER AXEL SPRINGER POLSKA Sp. z o.o., Członek Izby Wydawców Prasy i Związku Kontroli Dystrybucji Prasy, www.ringieraxelspringer.pl / Adres: ul. Domaniewska 49, 02-672 Warszawa,

recepca główna tel.: (22) 232 00 00, 232 00 01 / Kontakt ws. bezpieczeństwa produktu: Bezpieczeństwo produktu: GPSR@ringieraxelspringer.pl /

Prezes zarządu: Aleksander Kutela / Prezes honorowy: Wiesław Podkański / Dyrektor generalny: Marcin Biegłuk / Dyrektor finansowy: Krzysztof Stopa / Dyrektor wydawniczy treści premium: Jakub Makulski /

Menedżerka wydawnicza: Joanna Skolimowska / Dyrektor personalna: Monika Remiszewska /

Dyrektor ds. komunikacji korporacyjnej: Karolina Sznajder / Dyrektor marketingu: Emil Nowiński / Head of Press Monetization Hub: Anna Dygasiewicz, zespół: Marcin Czyż, Elżbieta Jung, Ryszard Korlak, Aneta Kulesz, Marta Mikiel,

Ewelina Milczek, Agnieszka Skiba, press@ringieraxelspringer.pl / Biuro reklamy: Piotr Kupis, tel. 695388021, piotr.kupis@ringieraxelspringer.pl / Marketing: Agata Surmacz-Močko /

Prenumerata: littera.pl, zakładka PRASA / Zamówienia B2B: Menedżer ds. sprzedaży bezpośredniej i trade marketingu: Agnieszka Ślusarczyk-Salicka (agnieszka.salicka@ringieraxelspringer.pl) /

Menedżer ds. prenumeraty: Sylwia Kowalska (sylwia.kowalska@ringieraxelspringer.pl) /

Księgowość: Mirosław Mikos (dyrektor) / Kolportaż: Rafał Kamiński (dyrektor) / Produkcja: Mariusz Gajda (dyrektor), Jarosław Sokołowski / Druk: P/mint

Sprzedaż internetowa wydań pojedynczych i archiwalnych: littera.pl, zakładka PRASA Kontakt: <https://littera.pl/kontakt> e-mail: sklep@littera.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo redagowania nadesłanych tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 ustawy Prawo prasowe. Zabroniona jest bezumowna sprzedaż czasopisma po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po innej cenie jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Newsweek magazine Published by Newsweek LLC, EDITORIAL STAFF: Editor in chief: Jim Impoco / Deputy Editor: Bob Roe / International Editor: Nicholas Wapshott / Managing Editor: Kira Bindrim / BUSINESS STAFF: Chief Content Officer, IBT Media: Johnathan Davis / Chief Executive Officer, IBT Media: Etienne Uzac



*Gosia była w szoku.
Ktoś stworzył fałszywe
video, na którym mówi
rzeczy zupełnie niezgodne
z jej przekonaniem
i z wiedzą naukową*



OFIARY INTERNETOWYCH FAŁSZERSTW

Skradzione twarze

Jej koleżanka zobaczyła nagranie na TikToku i pomyślała: „**Ta dziewczyna wygląda zupełnie jak Gosia**”. Ale coś się nie zgadzało

TEKST KAROLINA ROGASKA ZDJĘCIE WOJCIECH ROBAKOWSKI

Córkę Marzeny zaczęły męczyć ostre bóle brzucha. Kilka razy czuła się tak źle, że nie poszła do szkoły. W końcu kobieta uznała, że potrzebna jest porada lekarza. – Michaśka się bardzo opierała. Mówiła, że to nic takiego, że pewnie jej przejdzie. Ale dała się namówić. Rodzinny wysłał nas do ginekologa, sugerując, że to może być problem z jajnikami – opowiada.

Córka wpadła w histerię. Marzena myślała: ma 16 lat, to będzie jej pierwsze takie badanie, pewnie się stresuje. Im bliżej było do wizyty, tym częściej Michalina prosiła: „Mamo, odwołaj to, już mi lepiej”. – W końcu pękła i przyznała, że symulowała te bóle. Chciała uniknąć szkoły. Gdy zapytałam dlaczego, pokazała mi ekran telefonu, a mnie zmroziło – wyznaje kobieta.

Na wyświetlaczu zobaczyła nagą Michalinę, klęczącą przed zwróconym tyłem do aparatu mężczyzną. Córka zaczęła natychmiast tłumaczyć, że to tak naprawdę nie ona, że jeszcze nigdy nie uprawiała seksu, że ktoś ze szkoły musiał to zrobić i teraz rozsyła tę i inne podobne „fotografie” jej rówieśnikom. Pisząc przy tym, że „Michalina to k*rwisko”.

– Nie miałam wątpliwości, że to trzeba natychmiast zatrzymać. Tylko kompletnie nie wiedziałam jak – mówi Marzena. Córka wytłumaczyła jej, że zgłaszanie



konta, z którego były wysyłane stworzone za pomocą AI obrazy, nic nie dawało. Zaraz powstawało kolejne.

NISZCZENIE PRZYSZŁOŚCI

MARZENA ZGŁOSIŁA SPRAWĘ w szkole córki. – Umówiłam się z dyrektorką liceum. Pokazałam jej wszystko. Te zdjęcia, wiadomości, screeny. Ona też była wstrząśnięta – opowiada. Obiecała, że znajdzie osobę, która za tym stoi. Wytypowała kilkoro „podejrzanych” i przeprowadziła z nimi rozmowy. W końcu trafiła. To był chłopak z równoległej klasy.

Doszło do spotkania z jego rodzicami. Marzena siedziała naprzeciwko nich. Widziała, że są kompletnie rozbiti. Przepraszała, tłumaczyli, że syn „nie zdawał sobie sprawy”. Prosiła, żeby nie zawiadamiać żadnych służb, bo to zniszczyłoby mu przyszłość. Dyrektorka oznajmiła, że zawiesi go w prawach ucznia. A rodzice obiecali, że będzie miał szlaban na telefon.

Marzena zgodziła się na taki układ, ale tylko dlatego, że Michalina też prosiła ją, by sprawy nie rozdmuchiwać. Miała już dość, chciała spokoju. – Pytałam, czy chce zmienić szkołę, powiedziała, że nie. Że to byłby tylko dodatkowy stres, że bałaby się, że w kolejnej stanie się coś podobnego – wyznaje.

Jej córka się zmieniła. Stała się cicha, wycofana. Pojawiły się problemy ze snem. Mówiła, że boi się, że ktoś jeszcze ma te zdjęcia, że na nie patrzy. Marzena zapisała ją na terapię.

Michalina powoli wraca do siebie. W tym roku zdaje maturę, cieszy się, że pójdzie na studia. Marzena jest dumna, że córka chce iść na medycynę, ale jednocześnie bardzo się o nią boi. Ma wyrzuty sumienia, że nie zachowała się odpowiedzialnie, myśli, że może źle zrobiła, odpuszczając w tamtej sprawie. Czasem czuje, że sama powinna pójść po pomoc do psychoterapeuty. – Świat, w którym przyszło żyć młodym, jest przerażający. A ja czuję się wobec tego bezsilna – kwituje.

NIE DA SIĘ TEGO ZATRZYMAĆ

FIRMA SENSITY AI, ZAJMUJĄCA SIĘ zwalczaniem i wykrywaniem deepfake'ów, szacowała w 2021 r., że nawet 90 proc.

z nich zawiera treści erotyczne. Do tego ogólna liczba fałszywych zdjęć i wideo drastycznie rośnie. Jak podaje agenda ONZ zajmująca się równością płci, liczba samych deepfake'owych filmów dostępnych online wzrosła między rokiem 2019 a 2023 o 550 proc.

Psychoterapeutka Zuzanna Butryn tłumaczy, że dla psychiki nie ma większego znaczenia, że to był materiał wygenerowany. Znaczenie ma to, że inni mogli go zobaczyć i uznać za prawdziwy. – Reakcja emocjonalna jest bardzo podobna jak w przypadku rzeczywistego naruszenia – mówi.

”

Świat, w którym przyszło żyć młodym, jest przerażający. A ja czuję się wobec tego bezsilna

– MÓWI MAMA 16-LETNIEJ MICHALINY, KTÓRA PAŁA OFIARĄ INTERNETOWEGO FAŁSZERSTWA

Wyjaśnia, że w części przypadków rozwijają się objawy depresyjne: obniżony nastrój, poczucie bezradności, utrata energii. Pojawia się przekonanie, że „nie da się tego zatrzymać”. – Zdarsza się, że takie doświadczenie ma charakter traumatyczny. Wtedy możemy mówić o objawach zbliżonych do PTSD – natrętnych wspomnieniach, unikaniu, ciągłym poczuciu zagrożenia – podkreśla psychoterapeutka.

Deepfake – niezależnie od tego, czy ma charakter seksualny, czy nie – obniża też zaufanie do ludzi. Butryn zauważa, że w czasach, gdy rośnie liczba takich przypadków, wstawianie samemu zwykłych zdjęć czy filmów może generować stres. Szczególnie narażone na negatywne skutki są nastolatki oraz osoby, dla których obecność w sieci jest częścią pracy zarobkowej.

ZUPEŁNIE JAK ONA

JEJ KOLEŻANKA ZOBACZYŁA nagranie na TikToku i pomyślała: „Ta dziewczyna wygląda zupełnie jak Gosia”. Ale coś się nie zgadzało – przecież Gosia w życiu nie reklamowałaby niesprawdzonych suplementów, które rzekomo mają moc leczenia każdej przypadłości. – Kiedy dostałam od niej wiadomość, byłam w szoku – mówi Gosia. Jest farmaceutką, w social mediach edukuje na temat cukrzycy i tego, jak żyć zdrowiej. Przykłada dużą wagę do tego, co publikuje, bo chce pomagać, nie szkodzić.

Okazało się, że filmy, na których „wychwalała” wątpliwy produkt, krążą nie tylko po TikToku, ale też Instagramie, Facebooku i YouTube. Ktoś wykorzystał publikowane przez nią treści i stworzył wideo, na którym mówi rzeczy zupełnie niezgodne nie tylko z jej osobistymi przekonaniem, ale też z nauką.

Chociaż zauważała, że ruch ust się nie zgadza, że zęby wyglądają dziwnie, to była przekonana, że wiele osób może się nabrać. – Nawet moja mama była zdezorientowana – podkreśla Gosia. Dodaje, że główną grupę jej odbiorców na YouTube stanowią osoby starsze, mniej uwarzliwione na zmiany technologiczne. Obawia się, że część z nich – ze względu na zaufanie do niej – mogła uwierzyć w moc suplementów, które rzekomo reklamowała.

BEZOWOCNA WALKA

GOSIA POSTANOWIŁA, ŻE ZE WZGLĘDU na swoich odbiorców, ale też własną wiarygodność zawodową, musi coś z tym zrobić. Zaczęła od zgłaszania sfałszywionych filmów na platformach. Zadałając zareagował właściwie tylko YouTube, który usunął film. TikTok wysłał automatyczny komunikat, że treści nie naruszają zasad społeczności.

Kobieta odezwała się też do firmy, której produkty były promowane w ten sposób. Dowiedziała się, że oni za to nie odpowiadają – współpracują z ludźmi, którzy sprzedają produkty i otrzymują za to prowizję. Twierdzili, że nie są w stanie zidentyfikować, kto konkretnie stworzył profile, na których wykorzystywano wizerunek Gosi i innych ekspertów.

Poszła na policję. Mimo że miała masę screenów, usłyszała, że nic nie da się zrobić, jeśli nikt jej bezpośrednio nie groził. – Najbardziej uderzyło mnie to, że ta sprawa nie została nawet formalnie odnotowana. Nikt nie spisał moich danych, nie powstał żaden ślad – opowiada.

Ludzie z organizacji walczących z cyberprzestępstwami też rozkładali ręce. Radzono, by zgłaszała materiały bezpośrednio do platform, czyli żeby wróciła do punktu wyjścia. – Towarzyszyło mi głównie wkurzenie i czułam bezradność wobec tych deepfake'ów – przyznaje. Jest zła, bo walka zajęła jej dużo cennego czasu i okazała się bezowocna. Chciałaby, żeby prawo w końcu zaczęło nadażać za rzeczywistością, w jakiej żyjemy.

PRESJA I SILNE REAKCJE

SPECJALISTA DO SPRAW UCZENIA masywnego w NASK Michał Koźbiał mówi, że aby deepfake „jakoś wyglądał”, tak naprawdę wystarczy już jedno zdjęcie. Choć oczywiście im więcej materiałów źródłowych, tym bardziej wiarygodny efekt.

Ekspert podpowiada, na co zwracać uwagę, jeśli mamy wątpliwość, czy oglądany przez nas materiał jest prawdziwy. – Jeśli jest bardzo emocjonalny, wywołuje silne reakcje – to już powinno zapalić lampkę ostrzegawczą – mówi.

Częste jest też nienaturalne powoływanie się na własny autorytet – ktoś zaczyna np. od przedstawienia się: „Jestem XYZ i jestem szanowanym, docenianym dziennikarzem”. Warto też zwracać uwagę na to, czy dana osoba w ogóle mogłaby coś takiego powiedzieć. Lekarz nie powinien reklamować leków, polityk – inwestycji finansowych. Jeśli do tego film czy zdjęcie są opublikowane na małym, nieznanym profilu – prawdopodobnie mamy do czynienia z oszustwem.

Dobrze się również przyjrzeć, czy na wideo nie ma zaburzeń: rozmycia wokół ust, nienaturalnych ruchów, lekkiego „drgania” obrazu oraz czy tło jest spójne. – Podpowiedzią jest też nienaturalny akcent, zmiany barwy głosu w trakcie wypowiedzi – zaznacza ekspert.

WYŚCIG ZBROJEŃ

NIESTETY, W POLSCE nie ma jeszcze jednoznacznych regulacji dotyczących deepfake'ów. Przy tym, jak tłumaczy Koźbiał, duże platformy nie są transparentne co do swoich zasad. Bywa, że nieodpowiednio reagują na zgłoszenia. W wielu przypadkach są one analizowane automatycznie przez algorytmy. Jeśli materiał już wcześniej „przeszedł” przez system i nic się w nim nie zmieniło, może zostać ponownie uznany za zgodny z zasadami. Choć jednocześnie niektóre platformy pracują nad usprawnianiem metod wykrywania deepfake'ów,

Do tego twórcy narzędzi do generowania treści wprowadzają różne zabezpieczenia, np. znaki wodne albo fingerprinting. – Zabezpieczenia te są często niewidoczne dla ludzkiego oka, ale łatwe do sprawdzenia przy użyciu programu. Problem polega na tym, że jeśli ktoś działa w złej wierze, i tak to obejdzie – stwierdza ekspert.

Dodatkowo oszuści stosują różne techniki, które mają utrudnić rozpoznanie oszustwa, np. szumy czy nakładki wideo. Koźbiał nazywa obecną sytuację „wyścigiem zbrojeń” – jedni tworzą coraz nowsze zagrożenia, drudzy coraz lepsze zabezpieczenia.

Tłumaczy, że osoba, która została wykorzystana do stworzenia deepfake'a, nie jest jednak całkowicie bezbronna. Można powołać się na tzw. prawo do zapomnienia i żądać usunięcia materiału, można też wykorzystać przepisy RODO, bo wizerunek jest daną osobową.

W przypadku oszustw w grę wchodzi kodeks karny, a przy treściach o charakterze seksualnym – również przepisy dotyczące naruszenia intymności seksualnej. Chociaż to, na ile takie działania będzie skuteczne, zależy od konkretnego przypadku.

CZUŁAM SIĘ OSACZONA

KINGA TWORZY EROTYCZNE ZDJĘCIA, które za opłatą można zobaczyć na jednej z platform dla dorosłych lub wysłać je bezpośrednio klientom. Jeden z nich postanowił to wykorzystać. Za pomocą AI tworzył dziesiątki filmów pornogra-

ficznych, w których „występowała” Kinga. W materiałach stawiającą często w roli ofiary skrajnej przemocy seksualnej.

– To były rzeczy, których w życiu bym nie nagrała. Czułam się osaczona, gdy wysyłał mi je, jeden za drugim, chociaż mówiłam mu, żeby przestał – opowiada. Jej stanowcze „nie życzę sobie” tylko go rozsierdziło. Zaczął jej grozić, że rozpowszechni filmy. Wyobraziła sobie, że będzie się musiała tłumaczyć z czegoś, czego nie zrobiła.

Przeszło jej przez głowę, żeby zawiadomić policję. Obawiała się jednak, że spotka się z dodatkowym zawstydzaniem i jej sprawa nie zostanie potraktowana poważnie. Tym bardziej że miała już rozczarowujące doświadczenia z funkcjonariuszami. Zdarzyło się, że kiedy siedziała ze znajomymi w parku, podszedł do nich jakiś mężczyzna i się obnażył. Kinga zrobiła zdjęcia, nagrała wideo. Poszła z tym na komisariat. Funkcjonariusze obrócili to w żart, dopytywali, „czy miał dużej”.

POCZUCIE SIŁY

POSTAWIŁA NA INNE ROZWIĄZANIE. Mężczyzna na wszystkich platformach używał tego samego nicku. Do tego miał otwarte profile, a na nich zdjęcia z żoną. Zapytała, czy mają poinformować, o jego zachowaniu. To go natychmiast uspokoiło. Od tego czasu nie dostała od niego żadnej wiadomości.

– Wiem, jakie ryzyka wiążą się z tym, że wrzucam do sieci tak wiele materiałów. To jednak nie zmniejsza nieprzyjemnych odczuć, gdy ktoś tworzy przemocowe narracje na twój temat – mówi. Dodaje, że wiele jej koleżanek z branży też przeżyło coś podobnego. I gdy opowiedziała im o swoim doświadczeniu, dostała ogromne wsparcie.

Cała sytuacja – chociaż stresująca – dała jej też poczucie siły. Kinga zobaczyła, że może liczyć na społeczność, którą ma dookoła siebie. I okazało się, że była w stanie odwrócić sytuację. – On chciał, żebym się bała, żebym straciła grunt pod nogami. A skończyło się tak, że to ja go przestraszyłam – mówi. **N**

karolina.rogaska@newsweek.pl

Newsweek NA WIELKANOC

EMERYCI WCIAŻ W BIEGU

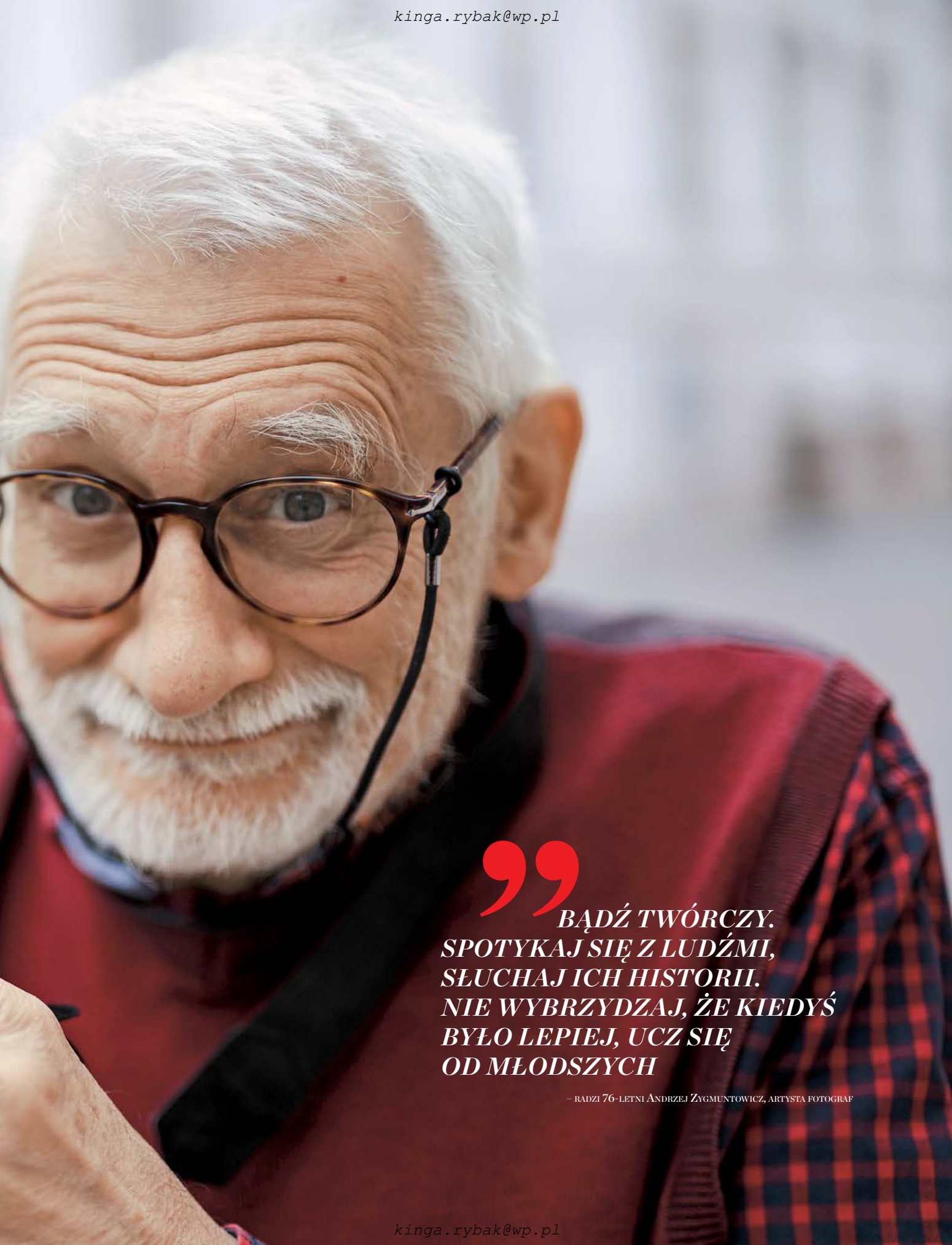
RUCH TO ŻYCIE

Dawno powinni być na emeryturze,
ale nadal pracują. Uważają, że dzięki
temu są zdrowsi i bardziej pogodni.

**W Polsce prawie milion emerytów
pracuje. I z każdym rokiem będzie
ich więcej**

TEKST ELŻBIETA TURLEJ ZDJĘCIA MAREK ZAWADKA





”
**BĄDŹ TWÓRCZY.
SPOTYKAJ SIĘ Z LUDŹMI,
SŁUCHAJ ICH HISTORII.
NIE WYBRZYDZAJ, ŻE KIEDYŚ
BYŁO LEPIEJ, UCZ SIĘ
OD MŁODSZYCH**

– RADZI 76-LETNI ANDRZEJ ZYGMUNTOWICZ, ARTYSTA FOTOGRAF

Bo lubię. I mogę – mówi 88-letnia lekarka internistka Elżbieta Zawistowska, kiedy pytam, dlaczego nadal pracuje. – Nie wyobrażam sobie bezczynności. Praca trzyma człowieka w pionie, pozwala czuć się potrzebnym, nadaje strukturę dnia.

Pracuje na pół etatu w przychodni na warszawskim Powiślu. Po trzy godziny dziennie, wymiennie od 9.00 do 12.00 i od 14.30 do 17.00. Dojazd zajmuje jej – z postojem na światłach – pół godziny. Jeździ samochodem, rzadko zdarza się, że wsiada do tramwaju. – Moi stali pacjenci to również seniorzy. Zawsze starannie ubrani, z kindersztubą – mówi. – Średnio 80-latkowie, ale najstarszy skończył 103 lata. Bywa, że są zdrowi od młodszych: dorastali w czystym środowisku, jedli zdrowo i bez konserwantów, mieli mniej stresów w pracy niż pokolenie ich wnuków.

Elżbieta pracę zaczęła w 1962 r. Była pierwszą lekarką w rodzinie. Dziadkowie mieli ziemię w Sochaczewie pod Warszawą. Ojciec był inżynierem melioracji po SGGW, mama przed wojną skończyła szkołę dla panien. Na skutek komunistycznej indoktrynacji dzieciaki w szkole podstawowej przeżywały Elżbietę pasożytem. Mimo to dobrze wspomina tamte czasy: brała udział w zawodach gimnastycznych, grała w siatkówkę w reprezentacji szkolnej. Sport dawał zastrzyk adrenaliny, wyrzut endorfin, energię do działania i przestrzeń do nauki.

W początkach pracy nie miała jednak czasu na dodatkowy wysiłek fizyczny. W latach 60. i 70. pensje lekarzy, tak jak nauczycieli, były kiepskie. Miała małe dziecko, pracowała na półtora etatu w przychodni rejonowej, do tego wizyty domowe i w nocnej opiece lekarskiej. Najtrudniej było nocą. Bywało, że musiała jeździć na meliny i do ofiar przemocy domowej. Zazwyczaj sama, czasem tylko – jako ochrona – towarzyszył jej kierowca karetki. – Zahartowałam się, wyćwiczyłam w stanowczości i spokoju – wspomina. – Przydawało się w pracy z pacjentami, którzy bywali agresywni i roszczeniowi. Z biegiem lat, lecząc kolejne dziesiątki chorych, nauczyłam się czytać ludzi jak otwarte książki. Co pacjent, to inny człowiek i problem do rozwiązania, ale czasem od wejścia do gabinetu wyczuwałam, co mu dolega i jak mogę pomóc.

Z biegiem lat nauczyła się również pomagać sama sobie: wróciła do sportu, który pozwalał zresetować umysł i zachować ciało sprężystość. Skończyła 40 lat, kiedy w Polsce zaczęła się moda na aerobic. Dwa razy w tygodniu chodziła na te rytmiczne i wymagające wytrzymałości ćwiczenia. Po pięćdziesiątce odkryła – powoli zyskującą w Polsce na popularności – jogę. Nauczyła się też jeździć na nartach i razem z córką Dorotą dwa razy w roku wypuszczała się poszusować po polskich i europejskich szlakach.

WCIĄŻ DO GÓRY

RUCH TO ŻYCIE – Elżbieta Zawistowska powtarza pacjentom, którzy starzeją się razem z nią. Kiedy ktoś pyta o tajemnicę jej zdrowia i wigoru, mówi o równowadze i umiarze. Każda skrajność jest szkodliwa: od restrykcyjnych diet traktujących ludzi jak monolit, przez katowanie ciała ćwiczeniami ponad siły, po drastyczne zabiegi służące zatrzymaniu starości. Tej wie-

dzy nie da się przyswoić na studiach. To nauka płynąca z ponad 60 lat pracy z cierpiącym człowiekiem. – Ludzie traktują ciała jak maszyny. Nawet na przeziębienie domagają się antybiotyków. Dziwią się, kiedy mówię, że leżenie też jest lekiem: organizm może skupić się na walce z chorobą, a nie drenować się dodatkowym wysiłkiem. Bywa, że z podejrzliwością traktuję moje zalecenia, żeby zamiast kupować baterie leków, płukać bolące gardła wodą z solą – mówi Elżbieta. Ale dodaje: – Dla większości pacjentów mój wiek i doświadczenie są jednak wartością dodaną. Doceniają też to, że nie stoję w miejscu, że wciąż się uczę.

Seniorów, którzy tak jak Elżbieta pracują nawet po osiemdziesiątce, coraz częściej nazywa się perennialsami. Określenie pochodzi od angielskiego słowa „perennial”, czyli „roślina wieloletnia”, która żyje nawet setki lat i wciąż wytwarza nasiona. Radzi sobie w trudnych warunkach. W niskich temperaturach albo palącym słońcu nadal pnie się do góry. Polscy perennials potrafią adaptować się do zmian. Również w pracy. Z badań wynika, że między pracownikami z różnych grup wiekowych nie ma istotnych różnic w zdolności dostosowywania się do nowych narzędzi technologicznych. Młodszy pracownicy częściej zgłaszają trudności w ogólnej adaptacji niż nadal pracujący seniorzy. Problemem w łączeniu doświadczeń różnych pokoleń jest tylko brak umiejętności zajmujących się tym menedżerów. Mimo to pracodawcy w Polsce zaczynają doceniać potencjał perennialsów. W listopadzie ubiegłego roku, co wynika z badań ZUS, pracowało blisko 900 tys. osób z prawem do emerytury. To o 20 tys. więcej niż w 2024 r. W ciągu ostatnich dziewięciu lat liczba pracujących emerytów wzrosła o 51,7 proc.

Jednym z pierwszych biur pośrednictwa między pracodawcą a emerytem jest działające w Gdańsku Centrum Pracy Seniorerek i Seniorów. W 2018 r. centrum oferowało 270 miejsc pracy dla kandydatów 60+. Do połowy marca 2026 r. takich propozycji było już 1100. Wśród nich powtarzają się oferty na stanowiska administracyjne i biurowe oraz wsparcie obsługi klienta. Z każdym rokiem w Gdańsku rośnie zapotrzebowanie na specjalistów technicznych, takich jak pracownicy branży stoczniowej. – Nasi doradcy kompleksowo wspierają seniorów – mówi Aneta Piotrowska, kierowniczka Centrum Pracy Seniorerek i Seniorów. – Uczymy m.in. wypełniania formularzy aplikacyjnych, szkolimy w zakresie rozmów rekrutacyjnych i pracujemy nad poczuciem własnej wartości, kiedy senior skarży się na brak pewności siebie w konkurowaniu z młodszymi.

Łączeniem poszukujących pracy emerytów i potencjalnych pracodawców zajmuje się również prowadzone przez kieleckiego biznesmena Tomasza Pokrzepę Polskie Centrum Aktywizacji Juniorów i Seniorów. Na początek maja zaplanowano w Kielcach pierwsze w Polsce targi i kongres, podczas których starsi i młodszy będą mogli skorzystać ze swoich doświadczeń. Również w pracy.

ZADANIA Z WYOBRAŹNI

STAROŚĆ TO SZCZEGÓLNY CZAS. Za nami ogrom doświadczeń, ale też pokusa rezygnacji – z ruchu, ciekawości i zaczynania. Pojawia się myśl, że nie wypada, że za późno, że nic nowego się nie



88-LETNIA LEKARKA ELŻBIETA ZAWISTOWSKA PO PIĘCDZIESIĄTCE ODKRYŁA JOGĘ, NAUCZYŁA SIĘ TEŻ JEŹDZIĆ NA NARTACH

zdarzy. A to nieprawda. To nasze myślenie odbiera nam radość i działa jak samospełniająca się przepowiednia – przekonuje podczas internetowego kursu o starości „Im starszy, tym lepszy”, dostępnego na platformie Positive Life, psycholog i psychoterapeuta, 81-letni Wojciech Eichelberger. Jedno z zadań dla uczestników kursu: Opisz, jakim drzewem się czujesz.

– Jestem jak buk, szarosrebrzysty, wciąż pnący się do góry. Lubię to drzewo, bo kojarzy mi się z Bieszczadami, gdzie pomieszkiwałem i hipisowałem w latach 70. – odpowiada 76-letni Andrzej Zygmunowicz, artysta fotograf, kurator i komisarz wystaw fotograficznych. Od ponad 20 lat pracuje na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego i w Studium Fotografii ZPAF. I nie zamierza przestać. Lubi uczyć. – Dzielę się ze studentami nie tylko wiedzą techniczną i historią fotografii, ale przede wszystkim zdradzam im patent na ciekawe życie, również zawodowe – mówi. Jego patent w dużym skrócie: – Bądź twórczy, nie bój się eksperymentować. Spotykaj się z ludźmi, słuchaj ich historii. Nadażaj za zmianami, nie wybrzydź, że kiedyś było lepiej, ucz się od młodszych. Ciesz się z drobiazgów. I przede wszystkim: bądź wolny, będzie ciężko, ale w ostatecznym rachunku to się opłaca.

Historia Zygmunowicza może być dla studentów dowodem, że trzymając się tych zasad, można osiągnąć sukces. Początkowo fotografował równoległe z pracą na etacie. Skończył Politechnikę Warszawską, znalazł zatrudnienie w Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej, był nauczycielem w szkole specjalnej i ekspertem technicznym w Centrum Zdrowia Dziecka. Po egzaminie mistrzowskim i zdobyciu legitymacji Związku Artystów Fotografików już nigdy nie wrócił na etat. Przez dekadę gierkowską, stan wojenny, karnawał Solidarności, do przełomu 1989 r. zajmował się dwoma tematami: dokumentował codzienność i fotografował akty. – W tamtych latach osób fotografujących nagość było niewiele. Kilka razy, przy okazji wystaw aktów, usłyszałem, że jestem zbrojcem i pornografem – mówi Zygmunowicz. – Dziś nagość jest na wyciągnięcie ręki, w telefonie, a ciało jest traktowane jako produkt. Mimo to jesteśmy bardziej pruderyjni niż w czasach PRL. Kilka lat temu miałem mieć wystawę w Zamościu. Nie doszło do niej: galeria, gdzie miały wisieć moje akty, była przeszklona i mieściła się naprzeciw kościoła. Trudno wyobrazić sobie, aby nie tylko w tym miejscu zawisła wystawa dotycząca aborcji, a ja pamiętam słynny w latach 70., poświęcony temu tematowi cykl zdjęć Anki Musiałówny. Dziś nagość i aborcja przestały być tabu. Ich miejsce zajęły mniejszości, problemy psychiczne i rówieśnicza przemoc.

Zygmunowicz jest przekonany, że również przez tego typu historie – dostosowując przekaz do współczesnego tempa życia – można pokazać 20-latkom przemiany społeczne. Trudno jednak wymagać od nich, aby sami z siebie wyszli ze swoich baniek i spojrzeli na rzeczywistość szerzej. – Mało kto korzysta dziś z dobrodziejstw wyobraźni, ja staram się ją pobudzić – mówi. – Pokazuję studentom 100 zdjęć na 100 lat odzyskania niepodległości. W ten sposób widzą, co z czego wynika i łapią dynamikę

zmian. Proszę, żeby zrobili 21 zdjęć w promieniu 100 metrów od domu. W ten sposób wyrwam ich z telefonów i próbuję wzbudzić ciekawość tym, co tu i teraz.

ISKIERKA ŻYWOTNOŚCI

WOJCIECH EICHELBERGER w swoim kursie o starości pisze, że mózg starych ludzi nie przestaje się uczyć. Robi to, ale inaczej. Badania wskazują – przekonuje psychoterapeuta – że ciekawość poznawcza w późnym wieku rośnie, co skutkuje większym przyswajaniem wiedzy. Przez lata aktywności umysłowej, pracy, nauki czy wolontariatu wzrasta tzw. rezerwa poznawcza. Przypomina sieć dróg w wyobraźni, im gęstsza, tym łatwiej ominąć utrudnienia. Czyli lepiej poradzić sobie z kryzysami neurodegeneracyjnymi. Słowem: seniorzy przez lata angażujący się np. w pracę cieszą się lepszym zdrowiem psychicznym, niższym poziomem stresu i dłuższym życiem.

” Z PRZERAŻENIEM OBSERWUJĘ, JAK MOI NIEPRACUJĄCY RÓWIEŚNICY PODUPADAJĄ NA ZDROWIU

77-LETNIA HELENA POKRZEPA, PIELĘGNIARKA I POŁOŻNA
ŚRODOWISKOWA Z KIELC

O codziennym, żmudnym budowaniu rezerwy poznawczej opowiadają Warszawianka Jolanta Kwasiborska i mieszkająca w Kielcach Helena Pokrzepa.

Jolanta Kwasiborska w sierpniu skończy 85 lat. Od 2001 r. pracuje na kasie w jednym z warszawskich sklepów sieci Auchan. Wcześniej, aż do osiągnięcia wieku emerytalnego, była kasjerką walutową i recepcjonistką w Hotelu Grand. – Lubiłam tę pracę – mówi. – Płacili średnio, ale spotykałam się z ludźmi, miałam koleżanki i kolegów. Po sześćdziesiątce musiałam zwolnić etat młodszym. Przez trzy miesiące siedziałam w domu i myślałam, że oszaleję. Przez kilkadziesiąt lat pracy rzadko chodziłam na zwolnienia lekarskie. Byłam zdrowa i pełna sił. Nie wyobrażałam sobie, że na resztę życia usiądę w fotelu przed telewizorem i będę wychodzić z domu tylko na zakupy.

Na szczęście szybko dostała szansę na pracę w Auchan. Najpierw na etat, potem połówkę, ostatnio na dwie piąte etatu. Przyjeżdża do pracy trzy razy w tygodniu, na sześć godzin z 15-minutową przerwą. Jeszcze do niedawna dojeżdżała swoim autem, ostatnio przesiadła się do tramwaju i metra. Lubi te dojazdy: jest wśród ludzi, którzy tak jak ona są aktywni i sprawni. Najbardziej jednak lubi swoją pracę. Kiedy ma wolne, ćwiczy myślenie i wyobraźnię, rozwiązując krzyżówki, ale nie może doczekać się powrotu na kasę, rozmów z kolegami i klientami. – Nikt nie traktuje mnie

ulgowo, a ja nie chcę, aby ktoś patrzył na mnie przez pryzmat wieku – mówi Jolanta. – Dziennie przesuвам na taśmie kilkadziesiąt produktów, czasem tylko klient wyłącza mnie i sam przenosi np. zgrzewkę napojów. Czasem ktoś mi gratuluje tej iskiarki żywotności. Przyjmuję komplementy i mimo lat zbliżających mnie do dziewięćdziesiątki nie zamierzam przestać pracować.

– Z przerażeniem obserwuję, jak moi niepracujący rówieśnicy podupadają na zdrowiu – mówi 77-letnia Helena Pokrzepa, pielęgniarka i położna środowiskowa z Kielc. – Kilku znajomych odeszło. Zgaśli dosłownie z dnia na dzień.

Helena modli się, żeby jak najdłużej pracować. Nawet jak ma drugą zmianę, zrywa się o 5.30, parzy kawę, czyta Harlequina albo – podobnie jak Jolanta – robi gimnastykę umysłu, czyli rozwiązuje krzyżówki. A potem idzie pieszo – dla zdrowia – do przychodni. Pacjenci ją rozpoznają na ulicy, uśmiechają się, czasem powiedzą coś miłego. Zdarza się, że spotyka również dawnych pacjentów ze szpitala, gdzie była położną, i z onkologii, gdzie przez lata pracowała jako pielęgniarka oddziałowa. W przychodni słyszy, jak matki mówią do dzieci: „Zobacz, ta pani była u ciebie, jak tylko się urodziłeś!”. – Patronaże, czyli wizyty w domu noworodka, to najwspanialsza część mojej pracy – mówi. – Ważę nowo narodzone dziecko, pobieram krew z pięty, obserwuję, czy dobrze wygoił mu się pępek i czy nie ma żółtaczki. Niestety, rodzi się coraz mniej dzieci. W marcu w moim rejonie urodziło się tylko troje. W latach 70. miałam od 30 do 40 patronaży w miesiącu. Starzejemy się i wkrótce nikogo nie będzie dziwić pracujący 80-latek.

KWIAT PAPROCI

OSTATNIA WYSTAWA ZDJĘĆ 76-letniego Andrzeja Zygmunto-wicza to cykl robionych przez 20 lat fotografii kwiatów zaszuszonych, w rozkładzie, zlewających się z papierem, na którym dużo wcześniej zostały ułożone. Wystawa nosi tytuł „Kwiat paproci”. Z podtytułem: „Od straty do odrodzenia”. – To opowieść o starzeniu się? – pytam. – Dla każdego o czymś innym – odpowiada Zygmunto-wicz. – Z pewnością jednak dotyczy pożegnań, których nie sposób uniknąć.

On przeżył śmierć żony, odejście przyjaciół. Dzięki pracy i kolejnym projektom fotograficznym jest wciąż – jak mówi – w procesie. Ostatnio fotografuje nekropolie.

88-letnia Elżbieta Zawistowska przyznaje, że starzenie się ciała uczy ją pokory. Jeszcze do końca ubiegłego roku chodziła trzy razy w tygodniu na jogę. Dwa lata temu ostatni raz wyjechała na narty i szusowała po stokach Andory. Po operacji wszczepienia endoprotezy musiała zwolnić. Jogę w ostatnich tygodniach zastąpiła spacerami i codziennym rozciąganiem się. Traktuje to jednak jako marny erzac i wierzy, że wróci do asan. Czeką ją jeszcze zabieg kardiologiczny, bo z powodu miażdżycy tętnic łapie zadyszkę i nie podbiegnie do tramwaju tak szybko jak kiedyś. Ale nie daje się. Regularnie chodzi do teatru. Błyskawicznie opłania sztukę wypisywania e-recept i e-skierowań, a pacjentów – jak kiedyś – czyta niczym otwarte książki. I każdego dnia powtarza nie tylko im, ale też sobie: Nie zapomnij: ruch to życie. **N**

elzbieta.turlej@newsweek.pl

POLITYCZNE ZŁOTO

Andrzej Stankiewicz

Detronizacja pierwszego kibola



Są dwa możliwe uzasadnienia konfliktu prezydenta z liderami świata kibolskiego. Jedno jest takie, że prezydent na naszych oczach przechodzi przemianę. Że jest jak dobry ksiądz Robak, który porzucił grzechy Jacka Soplicy. Jak patriota Babinicz, który wyrósł z hulaki Kmicica. Jak Konrad Wallenrod, który działając pod przykryciem, unicestwia zło. Skoro prezydent zawetował przepisy mające ułatwić jego kumpłom z półświatka kiwanie prokuratury, to mógł się kierować imperatywem moralnym godnym bohatera romantycznego. Dobrze, żartuję – imperatywu nie ma, za diabła.

Pozostaje zatem wersja druga. Nawrocki i jego ludzie kompletnie nie zdawali sobie sprawy, czym dla liderów świata kibolskiego, którzy są na bakier z prawem, jest Kodeks postępowania karnego. A jest to konstytucja każdego podejrzanego i oskarżonego.

Przygotowana przez rząd nowelizacja KPK miała być odejściem od zamordyzmu wprowadzonego przez Zbigniewa Ziobrę. W ustawie zapisano m.in. zmianę zasad przyznawania statusu „świadków koronnych”, a to dzięki takim skruszonym gangsterom prokuratura rozbiła kibolskie gangi. Poza tym nowe przepisy wprowadzały zakaz wykorzystywania tzw. owoców zatrutego drzewa, czyli dowodów zdobytych przez policję lub prokuraturę niezgodnie z prawem, chodzi np. o materiały pozyskane podczas nielegalnego przeszukania czy inwigilacji bez zgody sądu. Nowelizacja wprowadzała też ograniczenie aresztu do 12 miesięcy, a zatem to byłyby koniec aresztów wydobywczych, obliczonych na złamanie osadzonego.

Normalnie kibolski kodeks marzenie. A Nawrocki go zawetował. No i zawyły stadiony w całej Polsce. W skoordynowanej akcji na meczach w Gliwicach, Lublinie, Krakowie, Poznaniu, a nawet w Gdańsku, na stadionie ukochanej Lechii prezydenta, pojawiły się podobne transparenty: „K. Nawrocki – niekończące się areszty, nielegalne dowody, 60-tkom [chodzi o świadków koronnych – red.] podajesz rękę”, „K. Nawrocki – po cichu ustawę wetujesz, wieloletnie areszty bez dowodów akceptujesz”. „Prezydencie zapomniłeś, dzięki kogo głosom wygrałeś”. Najdalej poszli sympatycy pierwszoligowego ŁKS Łódź: „Je*** cię ku***”.

Wojna jest przypadkowym efektem zaniedbań Nawrockiego i jego ministrów, ale to nie znaczy, że nie jest poważna. Wręcz przeciwnie. Z jednej strony kibole poczuli się upokorzeni i odrzuceni przez Nawrockiego, który nie znalazł czasu, żeby się z nimi spotkać przed ogłoszeniem

weta. Z drugiej – Nawrocki nie ma prostych możliwości usatysfakcjonowania kiboli. Pałac prezydencki liczy, że prędzej czy później wściekłość liderów kibolskiego półświatka minie. Być może, ale miłość nie wróci. Konflikt ma niebawem poważne przyczyny. Dotyczy w istocie tego, czy liderzy światka kibolskiego będą mieć zarzuty, czy nie, czy trafią do aresztu i na jak długo. To konflikt – nie wahał się użyć tego określenia – natury egzystencjalnej. Ciężko będzie liderom „Torcidy”, „Sharks” czy „Psycho Fans” myśleć ciepło o swym dawnym koledze z ustawek, gdy będą siedzieć, bo kolega zawetował kodeks.

Nawrocki nie zrozumiał szansy, jaką przypadkiem dał mu rząd. Gabinet Tuska mozołnie rozlicza się z czasami PiS – tak mozołnie, że zniechęcił część własnych wyborców do głosowania w wyborach prezydenckich. Próba odkręcenia przepisów z czasów Ziobry, które wzmac-

To konflikt natury egzystencjalnej. Ciężko liderom „Torcidy”, „Sharks” czy „Psycho Fans” myśleć ciepło o dawnym koledze z ustawek, gdy będą siedzieć, bo kolega zawetował kodeks

niały prokuraturę względem zatrzymanych, zajęła dobre 2,5 roku. Tak zrodziła się właśnie nowelizacja KPK. Nawrocki mógł ją podpisać i kibole byliby mu dożgonnie wdzięczni. Jemu, nie Tusкови, Bodnarowi czy Żurkowi.

Prezydent nie może ostentacyjnie ułaskawiać swych kolegów kiboli i kryminalistów. Taka przynajmniej padła obietnica: żadnych takich ułaskawień w pierwszej kadencji. A zatem jedyną przysługą, jaką mógł im wyświadczyć, była zmiana prawa, która utrudniała ich ściganie i ułatwiała im obronę. No i nie wyświadczył. W prawie karnym jest tak, że jeśli w śledztwie przepisy się zmieniają na bardziej łagodne, to podejrzanemu ma prawo z nich skorzystać. W tym sensie na nowelizacji mogli zyskać dobrzy znajomi pana prezydenta: „Wielki Bu” i „Olo”, którzy są dziś na utrzymaniu aresztów. Nie skorzystają, ale powinni mieć pretensje tylko do siebie. Nie zrozumieli przesłania doktora Nawrockiego, który im robił wykłady o Sergiuszu Piaseckim – przedwojennym przestępcy, który przeszedł przemianę i dlatego wyszedł wcześniej zza krat. Słowem – skoro „Bu” i „Olo” nie przeszli przemiany, to posiedzą. I nie mają co liczyć na żaden kodeks. Kurczę, więc może prezydent to jednak Robak, Babinicz i Wallenrod? **N**



Cesarzowa Katarzyna Wielka
po 1762 r., na portrecie
w zbiorach Ermitażu
w Sankt Petersburgu



SIMON SEBAG MONTEFIORE (UR. 1965) JEST BRYTYJSKIM HISTORYKIEM I PREZENTEREM TELEWIZYJNYM. WIĘKSZOŚĆ JEGO KSIĄŻEK STAŁA SIĘ ŚWIATOWYMI BESTSELLERAMI. W POLSCE UKAZAŁY SIĘ M.IN.: „STALIN. DWÓR CZERWONEGO CARA”, „STALIN. MŁODE LATA DESPOTY”, „ROMANOWOWIE 1613-1918”, „JERUZOLIMA. BIOGRAFIA”, „ŚWIAT. HISTORIA RODZINNA”. OSTATNIO UKAZAŁO SIĘ U NAS WZNOWIENIE JEGO KSIĄŻKI „KATARZYNA WIELKA I POTIOMKIN”

Newsweek NA WIELKANOC

MONTEFIORE DLA „NEWSWEEKA” NA ŚWIĘTA

NAJWIĘKSI KOCHANKOWIE W HISTORII ŚWIATA

Katarzyna Wielka i Potiomkin uznaliby Putina za kogoś bardzo ograniczonego – twierdzi słynny historyk **SIMON SEBAG MONTEFIORE**

ROZMAWIA MACIEJ NOWICKI

NEWSWEEK: Nazywano go „Księżciem Ciemności” i „Alfonsem Carcy”. Dlaczego nawet po śmierci Grzegorz Potiomkin był wręcz znienawidzony?

SIMON SEBAG MONTEFIORE: Jako zdobywca stoi w jednym rzędzie z Piotrem Wielkim, a jak na Rosję, był chyba najbardziej ludzkim ze wszystkich mężów stanu, których znamy, włączając w to ostatnich panów Kremla. Jednak po śmierci oceniano go według jego stylu życia, a nie tego, co zrobił. A był arogancki, uwielbiał przepych, wziął za kochanki swoje siostrzenice. Był też faworytem Katarzyny, co stanowiło kolejną okoliczność obciążającą. Po śmierci carcy tron objął jej syn Paweł, który nienawidził Potiomkina jeszcze bardziej niż własnej matki i rozkazał, by historycy pisali o nim jak najgorzej. W XIX w. pruderyjni Romanowowie brzydzili się nim. W okresie sowieckim zajmowano się Piotrem Wielkim i Iwanem Groźnym, Katarzyna Wielka i jej faworyt uchodzili za ucieleśnienie dekadencji. Gdy zacząłem pisać jego biografię, nikt się nim nie interesował.

Co sprawiło, że Katarzyna zakochała się w synu prowincjonalnego oficera? Przez lata błagał ją, by przyjęła go jako swojego kochanka.

– Najprawdopodobniej pociągał ją od samego początku, ale wiedziała, jaki jest układ: nie wystarczy, że weźmie Potiomkina jako swego kochanka, bo był niezwykle ambitny i zamierzał dominować nad Rosją. Przyjęła go w końcu, ponieważ znalazła się w strasznym kryzysie. Nie potrafiła pokonać chłopskiej rebelii Pugaczowa, chciano ją zmusić, aby oddała tron Pawłowi. Za wszelką cenę potrzebowała silnego sprzymierzeńca, a Potiomkin miał wystarczającą pewność siebie, by jej pomóc. Władza feldmarszałka była ogromna. Miał pełny dostęp do skarbu państwa, z którego korzystała dotychczas wyłącznie Katarzyna, podróżował w otoczeniu ipsis królewskiej świty, a w całej Rosji witano go z honorami zarezerwowanymi wyłącznie dla rodziny cesarskiej. Niczym car troszczył się o lud, gardził szlachtą, nadawał rangi i majątki na podległych sobie terenach. Od jego poleceń nie było odwołania.

Lekceważył książąt, generałów i ambasadorów, którzy tłoczyli się w przedpokoju, aby wkraść się w jego łaski. Nieraz leżąc na kanapie na wpół nagi i okryty futrem, wzywał któregoś z nich kiwnięciem palca. A gdy pewnego razu oprowadzał po swoim pałacu oficerów i zaczęli się zachwycać jego złotą wanną, wykrzyknął: „Jeśli nasr...e do niej po same brzegi, będzie wasza”.

W jaki sposób Katarzyna i Potiomkin osiągnęli razem tak wiele?

– Całkowicie sobie ufali, byli niezwykle błyskotliwi, mistrzowsko dostosowywali się do sytuacji i improwizowali. Doskonale potrafili odczytywać nastroje w otoczeniu, ale w polityce to nie wystarcza. Wykazywali się empatią, wybierali do współpracy utalentowanych ludzi... I mieli szczęście, bo oprócz wizji dysponowali także zasobami niezbędnymi do osiągnięcia wielkich rzeczy.

Katarzyna Wielka była prawdopodobnie najbardziej utalentowaną kobietą politykiem czasów nowożytnych, jeśli za te czasy uznać również XVIII w. A Potiomkin miał genialną wyobraźnię polityczną, ale w przeciwieństwie do wielu wizjonerów potrafił faktycznie coś osiągnąć. Lubił robić wrażenie zblazowanego, ale była to tylko poza. W rzeczywistości harował od świtu do nocy, co zniszczyło jego zdrowie.

O ile trudniejsze było dla Katarzyny rządzenie Rosją jako kobiecie? Do tego zabiła męża, była uzurpatorem i nie była nawet Rosjanką.

– Miała zaledwie 14 lat, kiedy została sprowadzona do Rosji przez cesarzową, aby poślubić następcę tronu. Ponieważ jednak reszta rodziny królewskiej również była niemiecka (Piotr Wielki wydał swoje córki za mąż za niemieckich książąt), uczyniła się niejako najbardziej rosyjską z Niemców. Stała na czele czegoś w rodzaju antyniemieckiej, prorosyjskiej partii skupionej wokół czołowych gwardzistów, którzy zabili jej męża. I na szczęście dla niej w Rosji byli przyzwyczajeni do rządów kobiet – wcześniej panowały już cztery niemal jedna po drugiej.

Pomogło też to, że Katarzyna była bardzo dobra w kierowaniu mężczyznami: dostojna i władcza, ale też ciepła i atrakcyjna. Trudno było jej dowodzić na polu bitwy, ale właśnie dlatego Potiomkin był tak przydatny.

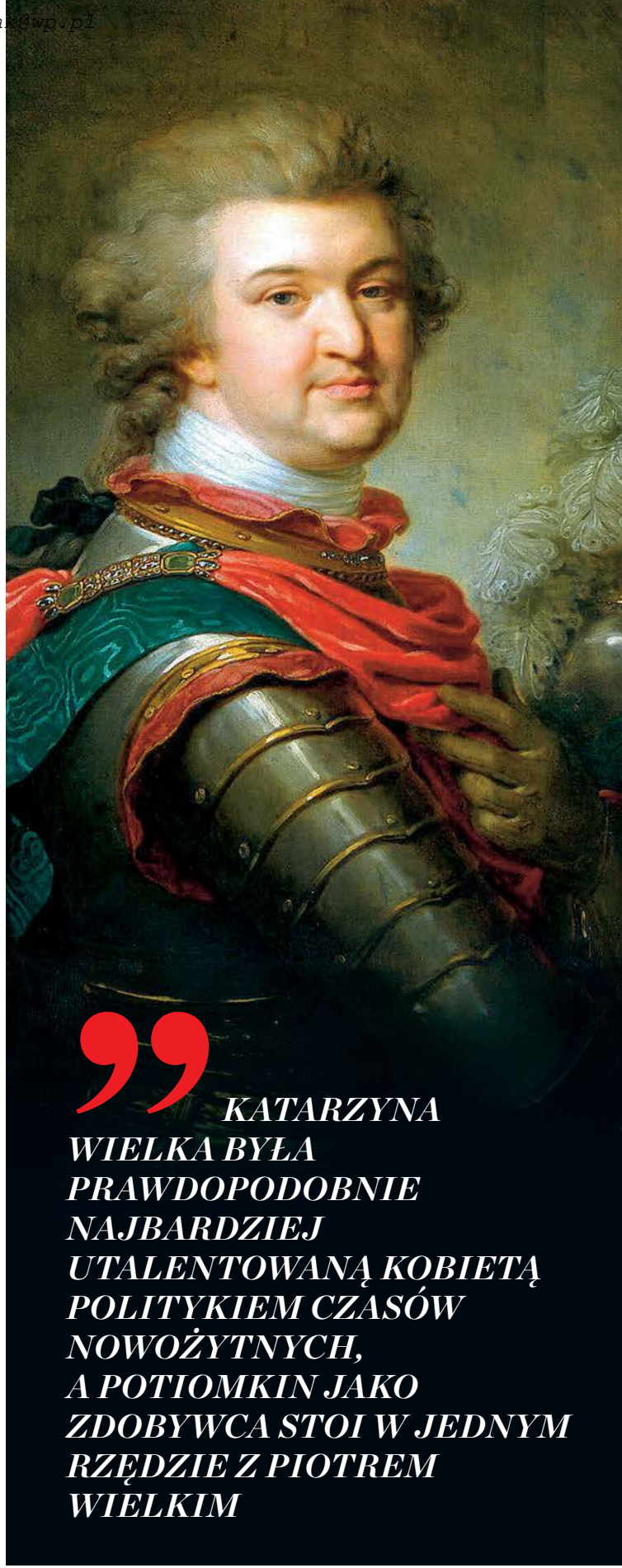
Dlaczego tradycja faworytów, którzy tak jak Potiomkin często brali udział w rządzeniu krajem, jest tak ważna w historii Rosji?

– System faworytów wydaje się rosyjską specyfiką, ale w rzeczywistości jest charakterystyczny dla wszystkich rządów absolutystycznych. I nie musi być to monarchia: na dworach Mao, Stalina czy Saddama faworyci byli normą. Najpierw tyrani ich awansowali, a potem często niszczyli. Ba, nawet Margaret Thatcher miała faworytów.

Istnieją dwa rodzaje faworytów: tacy jak Potiomkin, którzy rządzą, oraz tacy jak młodszy kochanek Katarzyny, którzy nie odgrywali większej roli politycznej.

W Rosji władca był absolutny, więc faworyt – jeśli był postacią o silnym charakterze – miał status niemal absolutny, dopóki cieszył się cesarską łaską. Pełnili funkcję głównego ministra i koordynatora rządu, jeśli byli w tym dobrzy. Ale Potiomkin stał się kimś więcej niż faworytem – został współwładcą.

Syn Żdanowa [Andrieja – czołowego współpracownika Stalina – red.] opowiadał mi kiedyś, jak Stalin i jego ojciec rozmawiali



”

**KATARZYNA
WIELKA BYŁA
PRAWDOPODOBNIEN
NAJBARDZIEJ
UTALENTOWANĄ KOBIETĄ
POLITYKIEM CZASÓW
NOWOŻYTNYCH,
A POTIOMKIN JAKO
ZDOBYWCA STOI W JEDNYM
RZĘDZIE Z PIOTREM
WIELKIM**

nad Morzem Czarnym o historii. „Na czym polegał geniusz Katarzyny Wielkiej?” – zapytał Stalin. I sam sobie odpowiedział: „Jej wielkość polegała na tym, że wybrała księcia Potiomkina do sprawowania rządów nad państwem”. To jedna z najważniejszych cech przywódcy – wyłowienie uzdolnionych ludzi, a potem zachęcenie ich, aby się wzięli do roboty. Bez tego nie ma wielkich rządów.

Jeśli jednak faworyt był źle wybrany i niekompetentny, mógł zrujnować rząd. Najlepszym przykładem jest Rasputin, ostatni carski faworyt, który bardzo przyczynił się do zniszczenia monarchii.

W jakim stopniu Katarzyna była oświeconą władczynią, a w jakim despotką? Nazywa pan panowanie Katarzyny i Potiomkina najbardziej humanitarnym w historii Rosji.

– Standardy w Rosji nie są zbyt wysokie. Błyskotliwi i obdarzeni wyobraźnią, tolerancyjni i wspaniałomyślni, namiętni i ekscentryczni, ceniący uroki życia, pracowici i ambitni – bardzo różnili się od obecnych przywódców, ponurych potomków Związku Sowieckiego. Wraz z Potiomkinem kochali władzę. Jako imperialiści wierzyli w terytorialną ekspansję Rosji. Dziś rosyjski imperializm jest dla nas absolutnie nie do przyjęcia, ale tak właśnie myśleli przywódcy w XVIII w.

Katarzyna była autokratką, choć z pewnością nie despotką. Rozkoszowała się nieraz złowieszczymi aspektami swej władzy. Namiętnie czytała raporty policyjne, a potem, jak każdy autokrata, wywoływała w swych ofiarach przerażenie, dając im do zrozumienia, że wie o nich wszystko.

W powszechnej wyobraźni Katarzyna zapisała się jako nimfomanka. Jak powstał ten mit? Twierdzi pan, że miała w gruncie rzeczy niewielu kochanków.

– Jest to bardzo niesprawiedliwe i typowe dla męskiego szowinizmu tamtych czasów oraz dla historyków, którzy potem pisali o czasach Katarzyny. Nie ma w tym nic niezwykłego – tego rodzaju historie opowiadane są właściwie o wszystkich wpływowych kobietach sprzed XX w.

Katarzynie przypisywano 300 kochanków, ale prawdziwa liczba to raczej tuzin. Nie jestem pewien, czy 10-12 kochanków przez całe życie to dowód rozwiązłości. Oczywiście jej opinię psuł fakt, że im była starsza, tym młodszych wynajdowała sobie kochanków. Jednocześnie nigdy nie miała takiego, którego by nie darzyła uczuciem. I nie zdradzała ich, była ucieleśnieniem monogamistki.

Pod koniec życia jej seksualne poczynania stały się legendą oraz obiektem szyderstw.

– Jeden z odwiedzających Rosję Anglików pisał: „Zastanawiano się, który z kanałów zbudowanych w kraju kosztował najwięcej. Nie ma żadnych wątpliwości: z pewnością najwięcej pieniędzy pochłonął Kanał Jekatierinski”. Wśród dyplomatów krążyły też pełne fantazji pogłoski, że upodobanie Katarzyny do rosyjskich mężczyzn brało się stąd, że „rosyjskie nianki stosują różne praktyki wyciągania, kiedy dziecko jest małe, co daje niesamowite efekty, jeśli chodzi o długość ich przyrodzenia”. Według kolejnej ze złośliwych plotek tak bardzo uwielbiała „wspaniałą broń Potiomkina”, że kazała wykonać jej porcelanową replikę, aby pocieszać się podczas jego coraz dłuższych nieobecności. Miał być przechowywany w Ermitażu. Opowiadano, że artyści i pisarze z Sankt

Simon Sebag Montefiore

Katarzyna Wielka i Potiomkin

Znak Horyzont



Petersburga pielgrzymowali tam na początku XX w., aby podziwiać ten niezwykły przedmiot.

„Wioski potiomkinowskie” to mit, a jednak to właśnie z nimi bardzo kojarzymy Potiomkina. Skąd wzięła się ta legenda?

– To zniesławienie i oszczerstwo, ale taka jest polityka. Prawdopodobnie wymyślił to jego rywale i wrogowie, a potem podchwyciła to zagraniczna prasa. Potiomkin był współwładcą lub pre-

mierem Rosji przez 17 burzliwych lat, ale naprawdę stał się sławny po 1787 r., kiedy Wielka Brytania, Prusy i Francja zaczęły się interesować przetrwaniem imperium osmańskiego, które Potiomkin próbował pochłonąć i włączyć do Rosji... Chciano mu zaszkodzić. Potiomkin wybudował dosłownie setki osiedli, założył Odessę, Sewastopol, Chersoń, Dniepropietrowsk. Rzekome „wsie potiomkinowskie” to dzisiaj nieraz milionowe miasta. Od podstaw stworzył Flotę Czarnomorską. Dokonał na południu imperium istnych cudów i nie musiał stawiać domów z kartonu ani przewozić chłopów z inwentarzem z miejsca na miejsce, jak twierdzili oszczercy.

Seks odgrywał bardzo ważną rolę w związku Katarzyny i Potiomkina. Czytając pana książkę, trudno oprzeć się wrażeniu, że miała na jego punkcie seksualną obsesję.

– Z listów jasno wynika, że mieli bardzo dobre relacje seksualne. Następcy Katarzyny z dynastii Romanowów nie znosili Potiomkina i czuli się zakłopotani nieprzyzwoitym charakterem jego relacji z Katarzyną. Listy te były ukrywane aż do początku XX w., kiedy część z nich opublikowano w ocenzurowanej wersji. To prawdopodobnie najwspanialsze listy miłosne, jakie kiedykolwiek napisano. Zapomnijmy o Napoleonie i Józefinie, o Antoniuszu i Kleopatrze.

Seks stanowił doskonały fundament ich przymierza. Spotykali się w nocy, nieraz w pałacowej bani – jedli, uprawiali miłość i planowali przyszłość cesarstwa. Wszystko ustalali wspólnie, w trakcie bardzo burzliwych dyskusji.

Sprytnym posunięciem było wynegocjowanie „małżeństwa” opartego na podziale władzy po tym, jak ich romans się wypalił. Oboje zakochiwali się i utrzymywali stosunki seksualne z innymi kochankami, ale pozostali partnerami do końca życia i to partnerstwo było dla nich najważniejsze. Ten niezwykły model wywołał lawinę negatywnych komentarzy o cesarzowej nimfomance i cesarskim alfonsie.

Kochankami Potiomkina były często jego młodziczki siostrzenice, zresztą najpiękniejsze dziewczyny na dworze. Sprowadził pięć z nich z prowincjonalnej wioski do Petersburga, gdzie stały się najbogatszymi dziedziczkami w Rosji. Natomiast Katarzyna miała serię gwardzistów, którzy często byli adiutantami Potiomkina. Doradzali sobie nawzajem w sprawach swoich romansów. „Na litość boską, robisz z siebie głupca z tą dziewczyną. Pozbądź się jej” – pisała ona. A on ostrzegał: „Ten mężczyzna jest ci niewierny. Uważaj na niego, robi z ciebie idiotkę”. Katarzyna wściekała się, ale potem odkrywała, że miał rację. Miała ponad 60 lat

i sporą nadwagę. Piękni, dwudziestoletni gwardziści oczywiście chętnie zostawali jej kochankami (miała na to swój eufemizm: mawiała, że „Rosja potrzebuje, by uczyła przyszłych urzędników państwowych wiedzy o świecie”), ponieważ była dla nich i dla ich rodzin niezwykle hojna, stawali się jednymi z najbogatszych ludzi w Rosji. Minusem było oczywiście to, że młodzieńcy zakochiwali się w kimś w swoim wieku i zaczęli zdradzać swoją cesarzową.

Co więcej, ten osobliwy układ sprawiał, że kochankowie Katarzyny pisali do Potiomkina, jakby był ich teściem. A siostrzenice i kochanki Potiomkina nieustannie pisały do Katarzyny, traktując ją jak swego rodzaju teściową. Stały się zresztą najlepszymi przyjaciółkami Katarzyny i niemal jej córkami.

Potiomkin spał z trzema siostrzenicami?

– Dziś to nas niezwykle szokuje, ale w tamtych czasach w Rosji kazirodcze związki wuj – siostrzenica nie były niczym niezwykłym. Cerkiew prawosławna przymykała na to oko. Zresztą Wolter też sypiał ze swoją siostrzenicą.

Grzechem Potiomkina było to, że kochał siostrzenice zbyt otwarcie. Podobnie jak szokowała współczesnych otwartość Katarzyny w postępowaniu z faworytami, z czego stała się sławna.

Co miał Potiomkin, a czego brakowało Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu – polskiemu kochankowi, którego podziwiała w młodości i na dodatek wyniosła na tron?

– Potiomkin był niesamowicie zdolnym i wizjonerskim politykiem i stała za nim cała potęga rosyjskiego imperium. Poniatowski nie dość, że nie miał silnego charakteru, to Polska była wtedy bardzo słabym państwem, całkowicie zdominowanym przez Rosję. Katarzyna kochała Poniatowskiego całym sercem w czasach swego nieszczęśliwego małżeństwa. Polak miał styl, był najbar-

ziej wyrafinowanym ze wszystkich kochanków Katarzyny. Ale drażniły ją jego sentymentalizm i polityczna naiwność. Zrobienie z niego króla Polski było jej pierwszym politycznym sukcesem. Mogła nadal kontrolować Polskę, bo Poniatowski nadawał się do tego idealnie. Marzył o poślubieniu Katarzyny, ona oczywiście nigdy o tym nawet nie myślała.

Pod koniec życia królem Polski chciał zostać Potiomkin.

Istniała jakakolwiek szansa, że Katarzyna się na to zgodzi?

– Nie znamy odpowiedzi. Polskie plany są największą zagadką ostatniego roku jego życia – zmarł w 1791 r. Polski tron był jego planem awaryjnym, dzięki któremu ocalałby politycznie, gdyby Katarzyna zmarła przed nim. Mógłby to pewnie osiągnąć, ale nie sądzę, żeby podobało mu się zmaganie z polskimi magnatami i konstytucją. W pewnym sensie łatwiej byłoby stworzyć dla niego nowe księstwo, być może w Mołdawii lub Rumunii. Faktem jest też, że po śmierci Katarzyny doszłoby do starcia z carem Pawłem i skończyłoby się to bardzo źle. Miał więc w pewnym sensie szczęście, że zmarł przed Katarzyną.

Po opublikowaniu książki „Katarzyna Wielka i Potiomkin” Putin poprosił pana o memorandum na temat Potiomkina i Katarzyny Wielkiej.

– Chciał wiedzieć, jak podbili Krym i Ukrainę. Uważał to za gigantyczny sukces, mający fundamentalne znaczenie dla mocarstwowej pozycji Rosji. W pierwszych miesiącach prezydentury Putina skontaktował się ze mną potajemnie wysoki rangą urzędnik Kremla: spotkaliśmy się w londyńskim hotelu, zadał mi mnóstwo pytań. Powiedział mi, że pewna osoba na najwyższym stanowisku, której tożsamości nie można ujawnić, rozgląda się za historycznymi wzorami dla państwa rosyjskiego i prosi mnie o napisanie krótkiego memorandum.

Było to w 2000 r., więc nie przywiązywałem do tego wagi. Putin wydawał się liberalnym reformatorem. Napisałem podsumowanie tego, jak to zrobili, a potem w nagrodę Putin dał mi dostęp do archiwów Stalina, których żaden zachodni historyk wcześniej nie widział. I tak właśnie napisałem książki o Stalinie. Te z kolei bardzo nie podobały się Putinowi i rosyjskie archiwa zostały przede mną zamknięte na dobre.

Po ataku na Ukrainę w 2022 r. Putin wysłał do Chersonia oddział specnazu i nakazał przeniesienie szczątków Potiomkina do Rosji. W jakim stopniu działania rosyjskiego prezydenta nawiązują do polityki prowadzonej przez Katarzynę Wielką i Potiomkina?

– Putin w przeciwieństwie do Stalina nie jest intelektualistą, ale czyta biografie przywódców. W swoich przemówieniach nieraz przytaczał epokę Katarzyny, aby uzasadnić nadchodzącą wojnę z Ukrainą. To, co zrobili Katarzyna z Potiomkinem, stanowi część rosyjskich roszczeń historycznych do Krymu i Ukrainy. To dlatego ukradli zwłoki Potiomkina z Chersonia. Ciekawe, co Putin z nimi zrobi. Może zbuduje mu wielki grobowiec w Moskwie?

A co Potiomkin i Katarzyna myśleliby o Putinie?

– Uznaliby go za bardzo ograniczonego. **N**

”
W 2000 R. WYSOKI URZĘDNIK KREMLA POWIEDZIAŁ MI, ŻE PEWNA OSOBA NA NAJWYŻSZYM STANOWISKU ROZGLĄDA SIĘ ZA HISTORYCZNYMI WZORAMI DLA PAŃSTWA ROSYJSKIEGO I PROSI O KRÓTKIE MEMORANDUM. PUTIN CHCIAŁ WIEDZIEĆ, JAK KATARZYNA I POTIOMKIN PODBILI KRYM I UKRAINĘ

maciej.nowicki@newsweek.pl

Daj KLAPS! dezinformacji

KLAPS!, czyli ponad 300 wartościowych spotkań w 50 kinach w całej Polsce, to projekt edukacyjny łączący temat zdrowia, projekcje filmów i bezpieczną przestrzeń do rozmów. Co wiemy o trzeciej edycji?

KLAPS! to projekt, który widzowie pokochali ze względu na przystępną formę i edukacyjny charakter. Do jego głównych założeń należą: walka z błędnymi stereotypami, a także promowanie szacunku, empatii i zrozumienia. Podejmowane tematy są istotne zwłaszcza dziś – w świecie pełnym mitów i wstydu wokół zdrowia. Formuła projektu łączy starannie wyselekcjonowane seanse filmowe, konkursy, upominki i spotkania z ekspertami. Rzetelne informacje o zdrowiu i profilaktyce były podawane z dużą odpowiedzialnością i wrażliwością oraz w atrakcyjnej formie: dziesięciominutowe odcinki edukacyjne cechują się dynamiczną narracją, która pozwala szybko przyswajać wiedzę.

Za projektem KLAPS! stoi prezes Kinads Media i ambasador kin studyjnych Kinga Dołęga. Dzięki doświadczeniu w zakresie dystrybucji i promocji (unikatowe i skuteczne kampanie tworzone od lat w ramach Kinads) wie, jak dotrzeć do tysięcy widzów. Doktor nauk medycznych Agnieszka Nalewczyńska oraz fundacja SEXEDPL, pionier edukacji seksualnej w Polsce, są natomiast gwarancją wysokiego poziomu merytorycznego. Zakończona właśnie edycja projektu koncentrowała się wokół sześciu tematów, które pobudzały do intensywnej i pogłębionej dyskusji. Wśród nich znalazły się: świadomość raka piersi, profilaktyka u mężczyzn, libido, zmiany hormonalne, wzajemne wsparcie partnerów



w zakresie zdrowia, a także endometriozą, czyli chorobą dotykającą miliony kobiet w Polsce i na świecie.

Już wkrótce rozpoczną się zapisy na trzecią edycję KLAPS!, która potrwa od października 2026 do marca 2027. Zdrowie i badania profilaktyczne, zarówno dla kobiet, jak i mężczyzn, będą tematem przewodnim nowej odsłony cyklu – ponownie opowie o nich doktor nauk medycznych Agnieszka Nalewczyńska, a w odcinkach edukacyjnych wystąpią goście specjaliści. Kina w całej Polsce – gdzie ludzie naprawdę patrzą i słuchają – znów staną się bezpieczną przestrzenią dla rozmów bez tabu na tematy dotyczące zdrowia fizycznego i psychicznego. Łącząc edukację, ekspercką wiedzę i angażujące projekcje filmowe, KLAPS! ponownie udowod-

ni, że istnieje duża potrzeba bezpiecznej przestrzeni, w której można zadać ważne pytania i zdobyć sprawdzoną wiedzę od ekspertów.

Wydarzenia z cyklu KLAPS! to doskonały sposób, żeby dotrzeć ze swoją marką lub produktem do tysięcy zaangażowanych widzów, którzy są otwarci na nowe doświadczenia, a w kinie szukają wartościowej przestrzeni do rozmów i nauki, a nie tylko rozrywki. Inклюzywność i angażująca forma w połączeniu z odpowiedzią na aktualne potrzeby społeczne sprawia, że KLAPS! jest wyjątkowym i ważnym projektem na mapie Polski. Stań się jego częścią już dziś! ●



Rodzina w komplecie.
Od lewej: Milenka,
Natalka, Sławek, Basia
Chruślińska, Ania,
Antek. Nowa Iwiczna,
25 marca 2026 r.



WYCHOWUJĄ DZIECKO Z FAS

Mamo, ale ja cię kocham aż do serca



Od początku coś było nie tak. Julia nie jadła, nie spała, krzyczała. Dopiero po dziewięciu latach ktoś spojrział i powiedział: FAS. – Myślałam, że się przewrócę – mówi Agnieszka, która adoptowała Julię

TEKST AGNIESZKA ŻĄDŁO ZDJĘCIE FILIP KLIMASZEWSKI

Agnieszka twierdzi, że nigdy nie była „materiałem na matkę”. – Dzieci się mnie bały. Jak mnie widziały, zaczynały płakać – śmieje się.

Jednak starali się z mężem o dziecko. W końcu lekarz powiedział im: „Łatwiej będzie wam trafić szóstkę w totka”. Zaczęli myśleć o adopcji. Czuli, że „tak się robi”, że życie ma swoją kolejność.

Ośrodek adopcyjny, do którego trafili, zamiast przygotowywać ich na trudne momenty, prowadził warsztaty robienia zabawek z recyklingu. – Nikt nam nie powiedział, że możemy się bać, że możemy czegoś nie wiedzieć – wspomina Agnieszka.

Pierwszy raz zobaczyli ją w Lublinie. Miała osiem miesięcy, była drobniutka. – Dziecko jak dziecko, nie było zachwytych, miłości od pierwszego wejrzenia, żadnego romantycznego patosu – mówi.

W drodze powrotnej psycholożka siedziała obok. – Zaczęła mnie przepytwać, czy ją biorę. Tu i teraz – Agnieszka zaciska dłonie. – Ja nie wiedziałam, jak się nazywam. Mózg mi eksplodował. A ona pyta: „To jak?”

Kiedy powiedziała, że nie wie, usłyszała, że może nie nadaje się na matkę. – Miałam histerię. Myślałam, że skończę na OIOM-ie – wspomina.

Potem pojechali tam jeszcze kilka razy. Już bez psycholożki. I zdecydowali się.

WSZYSTKO I NIC

W DOKUMENTACJI BYŁO PODEJRZENIE FAS (fetal alcohol syndrome, płodowy zespół alkoholowy), ale napisano, że zostało wykluczone. Jedyнным problemem miało być chore serce, ale dla Agnieszki to nie był problem, skoro można to wyleczyć.

– Moje dwie młodsze siostry miały porażenie mózgowe. Wiedziałam, co znaczy ciężka niepełnosprawność. Nie chciałam tego na siebie brać i otwarcie mówiłam o tym w ośrodkach – opowiada Agnieszka.

Od początku coś było nie tak. Julia nie jadła, nie spała, nie można jej było położyć choćby na chwilę. – Ja nie mogłam

nawet zjeść. Poza tym była malutka. W wieku ośmiu miesięcy nosiła rozmiar 62, taki jak niektóre noworodki.

Dziewczynka krzyczała. Nie płakała – krzyczała. – I nie wiedziałam dlaczego. Głodna? Nie. Spragniona? Nie. Zmęczona? Może. Zgadywałam – wspomina.

Lekarze mówili: dysharmonia rozwoju. – Czyli wszystko i nic – stwierdza Agnieszka. Jeździli od specjalisty do specjalisty. Neurolog, psycholog, rehabilitacja, integracja sensoryczna.

Dopiero po dziewięciu latach ktoś spojrział na dziewczynkę i powiedział jedno słowo: FAS. – Myślałam, że się przewrócę – mówi Agnieszka. – Dziewiąć lat i nikt tego nie zobaczył, że kobieta, która urodziła moją córkę, zostawiła jej nie tylko imię, ale też poważne, nieodwracalne problemy zdrowotne.

Nagle wszystko zaczęło się zgadzać: brak poczucia głodu u córki, problemy ze snem, nadpobudliwość, zaburzenia emocji, brak rozumienia własnego ciała.

– Do dziś jest tak, że kiedy ona mówi „boli mnie brzuch”, to może znaczyć wszystko – opowiada Agnieszka. – Że chce pić. Albo spać. Albo iść do toalety.

„DLACZEGO TAKA JESTEM, MAMUSIU?”

DIAGNOZA NIE ROZWIĄZAŁA problemów, ale pokazała kierunek. – Niewiele to zmieniło w szkole, bo FAS oficjalnie nie istnieje ani jako choroba, ani powód do wydania orzeczenia o potrzebie kształcenia specjalnego. Julia ma wpisane w dokumentach „zagrożenie niedostosowaniem społecznym”. – Nauczyciele znają się na autyzmie i ADHD, ale nic nie wiedzą o zaburzeniach mojej córki.

Nauczyciel każe Julii uczyć się tabliczki mnożenia. – A ja się cieszę, że ona potrafi znaleźć wynik w tabelce – prycha Agnieszka. Dziewczynka ma kłopoty z pamięcią, zaburzone funkcje poznawcze. Dla niej liczą się konkrety: jak coś widzi, rozumie.

Dopiero po roku nauki języka rosyjskiego nauczycielka zorientowała się, że Julia nie zna liter. Przez cały rok nikt tego nie zauważył. Zeszyt był wypełniony, zadania odrobione, wszystko wy-

glądało poprawnie, tyle że większość zapisywała za nią Agnieszka.

Dziś Julia ma 12 lat. Pewne rzeczy, normalne dla jej rówieśników, dla niej są nieosiągalne. Kiedy dostaje pieniądze, nie potrafi nimi zarządzać. Podobnie jest z codziennymi czynnościami: zrobienie zakupów, ugotowanie czegoś, uporządkowanie przestrzeni są poza jej zasięgiem. Jej samodzielność w przyszłości stoi pod znakiem zapytania.

Agnieszka słyszała od znajomych i rodziny: „Wmawiasz jej chorobę, przesadzasz. Jest taka śliczna, to jak może być chora?”. – To jest najgorsze – mówi z żalem.



To nie jest straszne. To jest po prostu inne rodzicielstwo

– PODKREŚLA BASIA, KTÓRA PROWADZI
RODZINNY DOM DZIECKA

A najlepsze? – Mówię do Julii „córko”, dla mnie to oznacza „hrabino” albo „królowo”. I ona się cieszy. Oznajmiam jej: „Weź się przesuń, bo matka nie może usiąść”. A jak mi się „uleje”, to nakrzyczę, a potem przepraszam ją: „Córko, miałam trudny dzień” i ona mi wybacza. Jesteśmy wobec siebie szczerze, mamy normalną, piękną relację.

Julia pyta czasem, czy będzie mogła spotkać swoją biologiczną matkę. Agnieszka ją poprawia: panią, która cię urodziła, bo matka jest tylko jedna. „Dziecko jest łatwo urodzić, córko, ale być z nim na co dzień trudniej”. – Nakrzyczałabym na nią – rzuca Julia.

Czasem płacze, jak jej coś nie wychodzi: „Dlaczego ja taka jestem, mamusiu?”, „Dlaczego ona piła?”, „Dlaczego mam tak ciężko?”, „Dlaczego sprawiam wam tyle problemów?”. Agnieszka odpowiada wtedy spokojnie: „Jesteś najlepsza w swoim rodzaju. Są rzeczy, które

możemy zmienić, i takie, których nie możemy. I z tym będziemy sobie radzić razem”.

ŁATWO SIĘ POMYLIĆ

JESZCZE KILKANAŚCIE LAT TEMU dostęp do diagnozy FAS czy FASD był bardzo ograniczony – przyznaje Dorota Polańska, dyrektorka Centrum Diagnostyki i Terapii FASada oraz Interwencyjnego Ośrodka Preadopcyjnego w Otwocku. – W Polsce działały dwa, może trzy tego typu ośrodki. Wiedza była niewielka – zarówno wśród lekarzy, jak i wśród osób pracujących z dziećmi. Dziś sytuacja jest zupełnie inna. Powstało wiele ośrodków diagnostycznych w różnych częściach kraju, świadomość wzrosła.

Dodaje, że diagnostyka to niejedyny problem. Przy stwierdzaniu FAS bardzo ważna jest informacja, czy matka rzeczywiście piła alkohol w ciąży. Czasem takiej wiedzy po prostu nie ma. Wtedy łatwo pomylić FAS z innymi zaburzeniami rozwojowymi.

W Polsce nie prowadzi się dokładnych statystyk dotyczących liczby dzieci z płodowym zespołem alkoholowym (FAS) lub jego spektrum (FASD), jednak dostępne szacunki pokazują skalę problemu. Ekspertki przyjmują, że co roku rodzi się ok. 900 dzieci z pełnoobjawowym FAS. Jeśli uwzględnić całe spektrum zaburzeń poalkoholowych – FASD – liczba ta rośnie wielokrotnie: według organizacji zajmujących się problemem może dotyczyć nawet 2 proc. dzieci w Polsce, czyli ok. 9 tys. noworodków rocznie. Jednocześnie FASD jest jednym z niewielu zaburzeń neurorozwojowych, którym można w pełni zapobiec – wystarczy całkowita abstinencja w czasie ciąży.

Problem jest szczególnie widoczny wśród dzieci trafiających do pieczy zastępczej i placówek opiekuńczo-wychowawczych. W niektórych ośrodkach preadopcyjnych i diagnostycznych specjaliści szacują, że objawy FAS lub FASD może mieć nawet większość dzieci kierowanych do pieczy – w jednym z badań rozpoznanie lub wysokie podejrzenie FAS stwierdzono u ponad 70 proc. dzieci przebywających w placówce. Dokładne

dane są jednak trudne do ustalenia, ponieważ informacje związane z adopcją są utajnione, a diagnoza FASD często pojawia się dopiero w wieku szkolnym.

– Wciąż jest wiele osób, które uważają, że małe ilości alkoholu w ciąży nie szkodzi. Albo że piwo czy wino to właściwie nie alkohol. Do tego dochodzi sytuacja, w której kobieta nie wie jeszcze, że jest w ciąży, i w tym czasie pije, uszkadzając dziecko nieodwracalnie, na całe życie – mówi Dorota Polańska, z którą spotykamy się na I Międzynarodowym Kongresie Rodzin Dzieci z FASD.

TO JEST NASZE DZIECKO

NIE MAM W SOBIE ZŁOŚCI DO KOBIEC, które piły w ciąży – mówi Basia Chruslińska. – Nie rozumiem tego, ale nie znając ich historii, trudno mi je potępiać. Z czasem zobaczyłam, że to często jest zupełnie inny świat: przemoc, uzależnienia, brak edukacji, brak wsparcia. Ja mam na plecach dziecko, nie jego mamę – opowiada Basia.

Kiedyś robiła karierę w agencjach reklamowych, dziś prowadzi rodzinny dom dziecka w Nowej Iwicznej pod Warszawą. W tej chwili ma pod opieką ośmioro dzieci, większość ma diagnozę lub podejrzenie FAS – płodowego zespołu alkoholowego. Basia mówi o nich po prostu: „moje dzieci”.

Najpierw był ich biologiczny syn, zdrowy chłopiec. Potem urodził się drugi – Janek – z poważnymi problemami zdrowotnymi. Pierwsze lata spędzili w szpitalach i gabinetach specjalistów. Basia pamięta, jak z mężem próbowali zrozumieć, dlaczego jedno dziecko rozwija się bez problemów, a drugie tak bardzo choruje.

Kiedy już przeszli przez ten najtrudniejszy czas, zgłosili się do ośrodka adopcyjnego. Marzyli o zdrowej dziewczynce. – Po roku czekania odezwała się do nas pewna placówka i powiedziała, że mają ośmiomiesięczną „gwiazdę”.

Na zdjęciach siedziała w dziwnej pozycji, Basia przez chwilę była przekonana, że dziewczynka nie ma nogi. W dokumentach było kilka lakonicznych zdań: małe oczy, nieharmonijny rozwój, problemy neurologiczne. – To brzmi niewin-

nie, ale w praktyce oznacza poważne kłopoty – mówi.

Wtedy jej mąż wypowiedział zdanie, które wszystko zmieniło: – Przy drugim dziecku też nie mieliśmy wpływu, czy będzie zdrowe, czy chore. To się po prostu dzieje. To jest nasze dziecko.

Tak w ich życiu pojawiła się Urszula.

Diagnozy FAS jeszcze nie było – kilkanaście lat temu w Polsce prawie nikt takich diagnoz nie stawiał. Ale z dokumentów było wiadomo, że biologiczna matka piła przez całą ciążę. Rezonans pokazywał zmiany w strukturach mózgu. – Wiedziałam, z czym to się może wiązać – mówi Basia. – Dlatego kiedy kilka lat później lekarze potwierdzili FAS, nie byłam zaskoczona.

Urszula była spokojnym, uśmiechniętym niemowlęciem. Trudności społeczne i edukacyjne zaczęły się później. Dziś ma ogromną wadę wzroku – plus 14 dioptrii, oczopląs, opadające powieki, problemy z ruchomością gałek ocznych. Do tego astma i zaburzenia neurologiczne. Basia mówi o niej w superlatywach.

– To jest najszczęśliwsze dziecko na świecie – śmieje się. – Potrafi nagle zapłakać i stwierdzić: „Nie wiem, czemu płaczę, przecież jestem zadowolona”.

Pamięta też moment, który całkowicie zmienił jej spojrzenie na sukces. Pierwsza klasa, Dzień Matki w szkole. Dzieci występują na scenie, elegancko ubrane, recytują wierszyki. Urszula chodzi na czworakach po scenie, rozplątuje kable, nie mówi ani jednego zdania. Inni rodzice patrzą nerwowo. Na koniec dziewczynka podchodzi do Basi i mówi: „Mamo, ale ja cię kocham aż do serca”.

POTRAFIĄ CZYTAĆ EMOCJE LUDZI JAK KSIĄŻKĘ

PO URSZULI ZACZEŁY SIĘ POJAWIAĆ kolejne dzieci. Najpierw Bartek. Trafił do nich jako trzylatek z pełnym spektrum FAS. Nie chodził, miał za sobą operacje bioder, przedłużanie kości, nosił metalowe ortezy. – Pamiętam, że wtedy pomyślałam: Boże, ile z tym dzieckiem pracy. Oby ktoś je szybko adoptował – przyznaje Basia.

Nikt się nie zgłosił. Dziś Bartek ma 14 lat i mówi do nich „mamo” i „tato”. Kie-

dy miał 10 lat, szansa na adopcję była już praktycznie zerowa. A on sam powiedział, że nigdzie nie chce iść.

Najtrudniejszą historię ma jednak Adam. Do domu Basi trafił po brutalnej przemocy w rodzinie. Jego biologiczna matka złamała niemowlęciu nogę i rękę, rozcięła wargę. Widział też, jak matka zabija szczeniaka.

– Pierwsza próba samobójcza naszego syna była, kiedy miał sześć lat – mówi Basia cicho. – Chciał wyskoczyć z okna. Mówił, że nie chce żyć, że się o to życie nie prosił.

Potrafił też sam się dusić, aż tracił przytomność. – Pierwsze pięć lat to była walka o to, żeby utrzymać go przy życiu. Teraz jest coraz lepiej. Przepięknie maluje. W domu wisi kilka jego obrazów.

Wszystkie dzieci Basi i jej męża mają swoje zwierzęta. W domu są koty, pies i gekony. Urszula jeździ konno. – Każde dziecko musi mieć coś swojego – mówi Basia.

Robi doktorat z pedagogiki o marzeniach dzieci w pieczy zastępczej. Uważa, że zanim dzieci zaczną planować przyszłość, muszą nauczyć się marzyć: – Nie każdy musi iść na Harvard. Jedno chce pracować w stajni, drugie być kolejarzem. I to jest w porządku.

Jej dzieci uczą się powoli. Czasem wieczorem coś zapamiętają, a rano to już znika. Jedną rzecz trzeba powtarzać setki razy. Ale są też rzeczy, które potrafią wyjątkowo dobrze. – Są niesamowicie empatyczne – mówi Basia. – Potrafią czytać emocje ludzi jak książkę.

Dlatego kiedy ktoś pyta ją, czy nie boi się wychowywać dzieci z FAS, odpowiada: – Nie. Bo to nie jest straszne. To jest po prostu inne rodzicielstwo.

– Kocham ją – mówi Agnieszka o swojej córce Julii. – Ona mnie oswoiła i nauczyła innej miłości. Jest taką pogodną dziewczynką. Kocha zwierzęta, jazdę na rowerze, wycieczki i jest harcerką. Ma plany i marzenia. Patrząc na nią, często myślę, że mamy szczęście. Łatwo nie było i nie będzie, ale w życiu potrzebny jest sens, cel, wartość. Julia właśnie tym dla nas jest. **N**

agnieszka.zadlo@newsweek.pl

Newsweek NA WIELKANOC

HISTORIA OSOBISTA

BRZYDKIE SŁOWO NA „U”

Mam 73 lata i uczę się chodzić.
To efektowne zdanie. Ale i prawdziwe.

Udar to nie jest fajna rzecz

TEKST ANTONI PAWLAK ZDJĘCIE MAREK SZCZEPAŃSKI





Wszystko zaczęło się kilka tygodni temu, w piątek rano. Od rana czułem się dziwnie. Byłem osłabiony, a świat wyglądał trochę jak za szybą. Ale co tam słabości, muszę przecież odwiedzić Anię na stację SKM, żeby mogła dojechać do pracy. Do stacji są od nas ponad 4 km, więc trudno od niej wymagać, by chodziła piechotą.

- Trochę dziwnie wyglądasz - powiedziała, wysiadając z samochodu. - Może nie rób zakupów, tylko jedź prosto do domu, połóż się i odpocznij...

A niby dlaczego mam zakupów nie robić? - pomyślałem. Przecież zawsze po jej odwiedzeniu robiłem sprawunki. Wszedłem do naszego sklepu osiedlowego. Trzymając się kurczowo sklepowego wózka, bo mnie lekko znosiło na boki, kupiłem kilka niezbędnych produktów; chleb, mięso dla psów i takie tam. Załadowałem to do auta i pojechałem do domu. Kiedy rozpakowywałem siatki, poczułem się gorzej. Usiadłem w fotelu. Odpocznę trochę, to mi przejdzie - pomyślałem. Po jakichś 20 minutach poprawiło się, więc wstałem i poszedłem do kuchni zrobić psom żarcie. Wrzuciłem zawartość puszek do psich mich i pochyliłem się, by je podstawić zwierzętom. I wtedy stało się...

I

TO BYŁO TAK, jakby ktoś nacisnął mały guziczek, co spowodowało wyłączenie dolnych partii ciała. Nogi nagle zwiotczały, a ja ciężko zwałem się na podłogę. Żadnych zawrotów głowy, żadnej utraty przytomności. Stałem – leżę.

Stałem – leżę. W dodatku nie byłem w stanie się podnieść. Ręce miałem sprawne, ale nogi bezwładne. Rozglądałem się po kuchni, szukając jakiegoś ratunku. O, jest krzesło. W dodatku w zasięgu ręki. Próbowałem się na nim podeprzeć, potem na jakiejś szafce. Nic to nie dało. Co się lekko na rękach uniosłem, to znowu padałem. Nie pomagało mi to, że jak runąłem, to popękało mi kilka żeber. Bolało jak cholera.

Tak więc leżę na podłodze i ogarnia mnie bezsilność. Wiem, co powinienem zrobić, żeby wstać, ale nie mogę, nie potrafię, nie mam siły. Z rozpaczą rozglądam się wokół. Widzę, jak jeden pies łakomie zajada rozsypane na podłodze śniadanie. Drugi spogląda na mnie z zadumą. A koty? Koty jak zawsze obojętne i zajęte tylko sobą.

A skoro już leżę i nie mogę wstać, to zaczynam analizować sytuację. A właściwie nie tyle analizować, ile wpadać w coraz większą histerię. Jako pierwsze jak zawsze pojawia się kretyńskie pytanie: Dlaczego akurat ja? Ku..., dlaczego to właśnie ja? A potem wyobraźnia pędzi jak rozszalała kobyła. Czy kiedykolwiek będę umiał wstać? Czy uda mi się jeszcze kiedyś postawić choć jeden krok? Czy będę kiedyś chodził?

Daremne próby podniesienia się z podłogi wywołują histeryczną wściekłość. Wałę pięścią w podłogę. A potem niknie furia i w jej miejsce pojawia się żałość – zaczynam płakać jak dziecko.

Po jakichś 45 minutach udało mi się przeczłochać do pokoju i wdrapać na kanapę. I jak już trochę się uspokoiłem – wysłać wiadomość do Ani z pytaniem, czy ma klucz od furki, „bo nie będę mógł otworzyć”. Oddzwoniła natychmiast. Wysłuchała, co mi jest, i krótko zakomunikowała; „Jadę”. Wezwała też swoją córkę i mojego syna.

Przyjechali w tym samym czasie. Kiedy we troje wbiegli do domu, to jakby ktoś promień światła wrzucił w ten ponury dzień. Nareszcie nie byłem sam!

Nie byłem sam, ale ze mną było coraz gorzej. Nie tylko nie mogłem wstać z kanapy, nie mogłem nawet usiąść. Byłem zupełnie wiotki. Co chwilę ktoś z nich podawało mi rękę i próbowało usadzić. A ja, już puszczony, przez chwilę kiwałem się na boki, a potem się przewracałem. Nie jest źle – pomyślałem – jest fatalnie.

W końcu towarzystwo z wysiłkiem wzięło mnie pod pachy, zaprowadziło do sypialni i ułożyło na łóżku. Odetchnąłem, ale tylko na chwilę. Przejście tych kilku metrów było takim wysiłkiem, że się obficie zsiakałem. Było to dla mnie zupełnie nowe doświadczenie i nowy dojmujący wstyd – zsiakać się przy ludziach.

To sikanie pozostało na dłużej. Ania kupiła mi pampersy. Zakładała mi je, zdejmowała. Za każdym razem myślałem: to nie tak miało być! Coś, co zaczęło się jako fascynująca przygoda bez zobowiązań, potem przeszło w głębokie uczucie. Teraz wkracza w nową fazę. W fazę, której nawet nie potrafię nazwać. Przecież

jak postanowiliśmy się razem zestarzeć, żadnemu z nas nie przyszło do głowy, że na drodze do wspólnego starzenia pojawią się między nami pampersy.

Wieczorem decydujemy się na szpital. Ania dzwoni do znajomego ratownika medycznego. Po jakiejś godzinie facet przyjeżdża. Wnosi mnie do auta i jedziemy do jednego z podmiejskich szpitali.

II

JECHAŁEM Z OBAWAMI. To nie miał być mój pierwszy pobyt w szpitalu. Wiedziałem oczywiście, że szpital leczy. Ale nie tylko. Szpital także sprowadza nas, pacjentów, do właściwego wymiaru. Do roli pyłku, który nic nie znaczy. Pyłku, który zawadza światu w jego sprawnym działaniu. Jest wrzodem na dupie. Czymś zbędnym, zakłócającym harmonię świata.

Dotyczy to w szczególności pielęgniarek, salowych i tak dalej. Czyli tych, którzy zajmują się najbardziej niewdzięcznymi zajęciami. One – bo to głównie kobiety – są zakompleksione i pazerne. Gołym okiem widać, że są przekonane, iż zostały stworzone do wyższych celów niż zmienianie pacjentom pampersów. Żeby zechciały nocą wyjść z pokoju pielęgniarek, zazwyczaj potrzebna jest finansowa zachęta. A może to nie jest norma, może po prostu miałem pecha, że akurat na takie trafiłem? Może.

Noc na SOR. Leżę na łóżku. Nagle widzę starszego pana w podkoszulku i pampersie. Energicznie chwytając się łóżek i szaf, idzie. Z pomieszczenia obok dobiega zaspany głos pielęgniarki.

– A ty, dziadek, gdzie ku...?

– Do ubikacji idę...

– Do łóżka mi tu zaraz, pampersy masz, to w nie szcza!

Dziadek zawrócił zniechęcony.

Obok mnie leży gruby facet. Wesoły, sympatyczny, uczynny. W pewnym momencie zdejmuje koszulę. A na jego brzuchu widzę pokaźnych rozmiarów tatuaże – swastyka i znaki SS. Ot, rodzimy folklor.

Rano pochyla się nade mną lekarka dyżurna.

– Pana żona przyjechała. Wpuścić?

– Byłbym wdzięczny...

Odeszła. Żonę wpuściła, ale żeby kobieta się zbyt nie rozpuściła, lekarka przetrzymała ją w poczekalni jeszcze jakieś 40 minut. Niech zna swoje miejsce.

W końcu po dwóch dobach zwalnia się miejsce na oddziale i mnie tam przenoszą.

Rankiem na salę szpitalną wpada lotna brygada sprzątająca. Starsze zazwyczaj panie sprawdzają, który z nas się w nocy zsiakał, który się zesrał. Panie zmieniają pampersy i pościel. Robią to sprawnie, nie szczczędząc nam przy tym złośliwości.

– Znowu się pan zeszczał – mówi do mnie na cały głos jedna z nich. – Nie może pan, do cholery, do kaczki lać jak każdy normalny człowiek? Pan to chyba specjalnie robi...

Specjalnie? Znowu czuję się małeńki, zgnojony.

Przez półotwarte drzwi słyszę, jak na korytarzu panie rozmawiają o mnie.

– Nic dziwnego, że on tak szcza. Bez przerwy coś pije, to i szczać musi. On pije, a żona mu jeszcze jakieś napoje donosi.



”
**UDAR SPOWODOWAŁ,
 ŻE ODKLEIŁY MI SIĘ
 NIE TYLKO NOGI. ODKLEIŁA
 SIĘ TAKŻE ODPORNOŚĆ
 NA WZRUSZENIA**

Na początku bałem się, że nie będę w stanie czytać. Do szpitala Ania spakowała mi kilka książek. Bałem się do nich zajrzeć. W końcu, po paru dniach, otworzyłem zbiór opowiadań Marka Twaina. I poszło. Na szczęście. Teraz czytam jak potłuczony, jakbym chciał nadrobić stracony czas.

Udar spowodował, że odkleily mi się nie tylko nogi. Odkleila się także odporność na wzruszenia. Nigdy do nich nie byłem specjalnie skłonny. A tu raptem dają w telewizji „Znachora” Hoffmana. I zaczynam łkać ze wzruszenia. Rozmawiam przez telefon z przyjacielem i zaczynam połykać łzy. Ania wraca z pracy, patrzę na nią i płaczę. Dziwne i niepokojące.

A może to wcale nie jest wzruszenie? Może to jakaś forma uzalania się nad sobą?

III

PO TYGODNIU WYPISALI MNIE ze szpitala. I dali skierowanie na rehabilitację. Ale pomyśleliśmy z Anią, że tym razem nie skorzystamy z państwowej służby zdrowia. Nie mamy do niej zaufania. Ania znalazła w internecie jakiś zakład rehabilitacyjny. Prywatny i bardzo drogi – dwutygodniowy pobyt kosztował ponad 12,5 tys. zł.

Pojechaliśmy. Wpierw przez jakieś 20 minut nikt się nami nie interesował. Potem zaczęła się seria nieporozumień.

Przede wszystkim próbowano mnie zakwaterować w dwuosobowym pokoju, chociaż miałem zamówioną jedynekę. Po interwencji udało się to wyprostować. Ale potem było już tylko gorzej.

Zgodność zapisów w umowie z rzeczywistością była niska. Miałem być pod stałą opieką lekarską. Na wejściu nikt mnie nie zbadał. A i przez następnych kilka dni lekarza nie widziałem nawet z daleka. Była też możliwość konsultacji z psychologiem. Kiedy o taką konsultację poprosiłem, usłyszałem, że to niemożliwe, bo „pani psycholog jest na urlopie w Dubaju i przed zakończeniem pańskiej terapii nie wróci”.

O zmierzenie ciśnienia musiałem się co dzień upominać. Choć jest ono konieczne przed rozpoczęciem terapii. Za to zaproponowano mi wodoroterapię.

Chciało mi się palić, więc zapytałem sanitariusza, jak rozwiązać ten problem.

– W pokoju panu nie radzę – odpowiedział – bo tu są czujniki dymu. Ale niech pan wyjdzie na dwór po prostu...

W pokoju były drzwi balkonowe, przez które z pewnym trudem przecisnąłem się z wózkiem. A tam ceglany chodniczek i trochę zaniedbany trawnik. Stałem, opierając się o wózek i łapczywie zaciągałem się papierosem. W pewnym momencie pomyślałem; zaraz, a po co ja właściwie stoję? Wózek ma coś w rodzaju krzeselka więc mogę sobie usiąść... Usiadłem. A właściwie nie tyle usiadłem, ile spróbowałem usiąść. I wylądowałem na ziemi. Pomimo rozpaczliwych prób nie udawało mi się podnieść. Próbowałem chwytać się wózka, kęp trawy. Bez rezultatów. Po półgodzinie przyszła terapeutka zaaplikować wodoroterapię i pomogła mi wstać.

Tak więc ośrodek za ponad 12 tys. oferował mi spanie, wyżywienie, wodoroterapię i dwie godziny lekkich zajęć terapeutycznych dziennie. Trochę mało.

Doszliśmy więc z Anią do wniosku, że to nie jest ośrodek terapeutyczny dla udarowców, ale zwykli naciągacze. I nie czekając na zakończenie turnusu, wyjechaliśmy do domu. Oczywiście żądając zwrotu większości zapłaconych pieniędzy. O dziwo zwrócili.

IV

NIE DALEKO NASZEGO DOMU jest pracownia terapeutyczna ciesząca się uznaniem. Więc co drugi, trzeci dzień Ania mnie tam wozi. Zajęcia trwają godzinę i są bardzo intensywne. Po takiej godzinie ćwiczeń obolały wyczołgują się z sali. Ale są efekty. Dość nieśmiało zacząłem samodzielnie chodzić. Bez wózka, bez balkonika.

Tak więc pięć tygodni po udarze mózgu zacząłem chodzić. A byłem pewien, że już nigdy nie będę. Na razie chodzę głównie po domu, jeszcze niezgrabnie i z obawą, że się przewrócę. Nie przewracam się.

To zasługa ostrych ćwiczeń. Ale to przede wszystkim zasługa Ani. Jej determinacji, uporu, jej poświęcenia. Jej wiary, nadziei i miłości. **■**

Antoni Pawlak



KTO DORADZA JAROSŁAWOWI KACZYŃSKIEMU

Mózgi prezesa

Dlaczego Kaczyński ujawnia wyniki tajnych badań sondażowych tylko kilku osobom w partii? Kto stale bywa w jego gabinecie? **Dlaczego już nie słucha profesorów?**

TEKST JACEK GADEK ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI

Ukrył się nawet na zdjęciu z prezydentem Karolem Nawrockim, choć sam był jednym z bohaterów tego dnia w pałacu prezydenckim. Przycupnął za plecami wyższego kolegi. Wystaje tylko jednym okiem i nosem.

– No, to musi być on – śmieje się jeden z polityków PiS, patrząc na to zdjęcie.

Po skrawku twarzy trudno go rozpoznać, ale to Piotr Agatowski – od grudnia doradca społeczny prezydenta. Odbierał nominację razem z 12 innymi świeżo upieczonymi doradcami i doradczyniami.

Na dwóch kolejnych zdjęciach jest najslabiej widoczny. Niewysoki, niepozorny. To jedne z niewielu publicznych fotografii, na których w ogóle można go zobaczyć.

A Agatowski to najważniejszy człowiek spoza partii w otoczeniu Jarosława Kaczyńskiego. Regularnie wpada do gabinetu prezesa PiS na Nowogrodzkiej. Jest specem od badań sondażowych. W pałacu prezydenckim to jeden z dwóch specjalistów od sondaży. Drugim jest Tomasz Matynia.

– Badania z pałacu trafiają też na Nowogrodzką – słyszymy.

Tak charakteryzuje Agatowskiego człowiek, który go zna: – Wycofany. Badacz. Ma swoje rady i analizy dla prezesa i prezydenta. Nie jest w żadnej frakcji. Nie chce błyszczeć.

Natomiast jego żona nie trzyma się w cieniu. – Żona ma większe parcie na karierę – mówi człowiek z obozu PiS.

Aleksandra Agatowska zasiadała we władzach spółek z udziałem skarbu państwa – była prezeską PZU Życie – i w radach nadzorczych Alior Banku, PZU Zdrowie oraz Enei.

PRZYJACIEL DUDY, DORADCA NAWROCKIEGO

BYŁ DORADCĄ PREZYDENTA Andrzeja Dudy jeszcze z Krakowa – strategiem jego kampanii i specjalistą od badań sondażowych. Rozmówca z obozu PiS: – Był blisko z Dudą. Kumplowali się.

Duda wiele mu zawdzięcza. Drobny przykład: to Agatowski w 2015 r.

wymyślił, żeby Andrzej Duda dał Bronisławowi Komorowskiemu proporcję PO w czasie debaty prezydenckiej w TVN. Jeden ze sztabowców wspominał w książce „Duduś. Prezydent we mgle. Kulisy pałacu Andrzeja Dudy”: – To był trik genialny w swojej prostocie. Platforma po prawie ośmiu latach rządów była już podmęczona i jej logo szkodziło Komorowskiemu.

Współpracownicy nazywali Agatowskiego „pierwszym hipnotyzerem” Dudy. Bo prezydent tak bardzo się wsłuchiwał w jego rady.

”

Kaczyński wie, że partia jest intelektualnie słaba. Inteligenckiej partii jednak nie chce, bo taka się w Polsce nie przyjmie

– MÓWI CZŁOWIEK Z PiS

Wypłynął w mailach ujawnionych przez kanał internetowy Poufna Rozmowa – to były wiadomości wymieniane za pomocą prywatnych skrzynek przez ważnych ludzi w obozie PiS w czasie rządów tej formacji. Zostały wykradzione ze skrzynki Michała Dworczyka (byłego szefa KPRM, a dziś europoła PiS). Na przykład w 2019 r., gdy trwał strajk nauczycieli, Agatowski radził działaczom PiS, by podkreślali, że na strajku cierpią dzieci i rodzice, a w mediach sugerowali, że Grzegorz Schetyna jest powiązany z protestującymi. „Dziś słyszałem rozmowę dwóch osób popierających opozycję, że pokłócili się, kto zostaje w domu i że już ich szlag trafia. To musimy przekierować na Scheta” – czytamy w mailu. A to tylko drobna próbka z jego zakulisowego doradztwa.

Wielokrotny sztabowiec PiS: – Działanie badaczy nastrojów społecznych jest szalenie istotne. On ma duży wpływ na sukcesy PiS z poprzednich lat.

W jego biogramie na stronie pałacu prezydenckiego można przeczytać, że jest absolwentem socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego o specjalizacji socjologia gospodarki i badania rynku.

TYLKO DLA WYBRANYCH

PIOTR PRZYNOSI BADANIA, które są ściśle tajne. Prezes nie pokazuje ich nawet ludziom z kierownictwa partii, poza paroma wyjątkami – mówi człowiek z PiS.

Inny dodaje: – Agatowski to stały bywalec u prezesa.

W ostatnim badaniu, twierdzą nasi rozmówcy z PiS, sprawdzano, jakie tematy polaryzują ludzi. A teraz Kaczyński zażyczył sobie, aby po trzech miesiącach Piotr Agatowski przyniósł mu badania, jak odbierany jest start Przemysława Czarnka, kandydata partii na premiera w 2027 r.

Na Nowogrodzkiej narodził się nowy zwyczaj. Dostęp do wewnętrznych badań ma w zasadzie kilka osób: Joachim Brudziński, Adam Bielan, Mariusz Błaszczak, Piotr Milowański. Mają je też znać: Tobiasz Bocheński, Przemysław Czarnek, Patryk Jaki.

Dlaczego wprowadzono takie ograniczenia? – Niestety, były wycieki tych badań – słyszymy w PiS.

– Milowański zna je, żeby wiedział, w jakim kierunku dyscyplinować strukturę partyjne – tłumaczą nasi rozmówcy. – Jak ktoś w terenie będzie robił coś, co jest w kontrze do wniosków z badań, to sekretarz generalny ma go naprostować.

SALONIK ZAMIERA

WAŻNYM MIEJSCEM SPOTKAŃ intelektualistów związanych ze środowiskiem PiS był przez lata salonik Anny Bieleckiej. Ale już nie jest.

To było miejsce dysput prezesa Prawa i Sprawiedliwości z intelektualną elitą prawicy, profesorami, twórcami, ale też politykami. W kamienicy przy ul. Wilczej, gdzie mieszka Anna Bielecka – pierwsza żona Czesława

**Doradcy społeczni
powołani przez prezydenta
Karola Nawrockiego.
Piotra Agatowskiego
należy szukać pod lewym
kandelabrem, pałac
prezydencki w Warszawie,
12 grudnia 2025 r.**



©Przemysław Keler/KPRP

Bieleckiego, byłego kandydata PiS na prezydenta Warszawy w 2010 r.

– Salonik zamarł. Za bardzo szedł w jedną stronę – Morawieckiego – słyszemy w środowisku PiS. A bywała tam śmietanka konserwatystów: prof. Zdzisław Krasnodębski, prof. Ryszard Legutko, Maciej Łopiński, prof. Krzysztof Szczerski, prof. Andrzej Zybortowicz, Michał Lorenc, Antoni Libera. Tam omawiano pomysły, by Julia Przyłębska była prezeską Trybunału Konstytucyjnego, a Piotr Gliński – kandydatem na premiera technicznego, a nawet prezydenta.

Kaczyński lubi rozmowy z intelektualistami, profesorami. Ma takich w swoim otoczeniu, ale oni wolą się nie wychylać z tym, że doradzają prezesowi PiS.

– Jarosław Kaczyński uwielbia profesorskie rozmowy. Jednocześnie wie, że partia jest intelektualnie słaba. Inteligentnej partii jednak nie chce, bo taka się w Polsce nie przyjmie – mówi człowiek z PiS.

PROFESOROWIE OD „KUCHTY”

POLITYK PiS SIĘ ŚMIEJE: – Z profesorów w PiS najbardziej wpływowy jest teraz Czarnek.

Wskazując Czarneką jako kandydata partii na premiera, Kaczyński powoływał się na swoje rozmowy z innymi profesorami. Mówił to 7 stycznia na spotkaniu ścisłych władz PiS. Jak pisaliśmy w „Newsweeku”, prezes przywoływał też

wyniki badań – a więc pracę Piotra Agatowskiego – i tłumaczył, że kandydat na premiera powinien być „młody”, czyli do 50. roku życia, i niezgrany.

Człowiek z PiS: – Jarosław Kaczyński się usprawiedliwia, gdy podejmuje taką decyzję jak ze wskazaniem Czarneka. Chciał się usprawiedliwić przed Morawieckim, więc powoływał się na profesorów.

Najbardziej wpływowi dziś profesorowie i doktorzy w PiS to dr Tobiasz Bocheński, prof. Przemysław Czarnek i dr Patryk Jaki

Czarnek nie bardzo pasuje do tego modelu, bo to rocznik 1977 (będzie miał 50 lat w roku wyborów) i jest jednym z najbardziej znanych polityków tej formacji, byłym ministrem edukacji narodowej.

Kaczyński zasłonił się profesorami, aby uzasadnić skreślenie Morawieckiego, który bardzo chciał być kandydatem na premiera. W praktyce jest tak: Kaczyński wysłucha partyjnych i jednopartyjnych intelektualistów, ale decyzję podejmuje sam.

Doświadczenia PiS z nobliwymi gremiami są kiepskie. W 2014 r. Nowogrodzka powołała swoją radę programową. Byli w niej m.in.: Witold Modzelewski, Jacek Czaputowicz, Piotr Gliński, Ryszard Bugaj, Barbara Fedyszak-Radziejowska.

Były członek rady programowej PiS: – Mało ważna instytucja, ozdobnik. Ta rada rzadko się zbierała. Nie był to naprawdę pracujący think tank. Rozmawiałem z Jarosławem Kaczyńskim i on nie miał takich intencji, by był to tylko ozdobnik. Ale projekt rozszedł się po kościach, nie był sukcesem.

Grono akademików na nowo skrzykuje teraz wokół siebie były marszałek Sejmu Marek Kuchciński. Ale jego polityczna pozycja jest dziś znacznie słabsza niż kiedyś. – „Kuchty” dawno nie widziałem na Nowogrodzkiej. Czasami oczywiście rozmawia z prezesem, ale teraz jest w trzecim szeregu w partii – mówi bywalec Nowogrodzkiej.

Człowiek z PiS, bliski frakcji Mateusza Morawieckiego: – U „Kuchty” są nobliwi ludzie. No fajnie, niech sobie pogadają.

Znany polityk PiS: – Przestrzegam Kaczyńskiego przed gronem profesorów. Gó... wiedzą o tym, jak wygląda polityka. To salonowcy.

Inny polityk PiS: – Kuchciński zaprasza profesorów, ludzi, których ceni. Ich wnioski, przemyślenia zanoszą potem prezesowi.

Kolejny, dobrze znający „Kuchtę”: – W tym roku Kuchciński bardzo się wzięł do roboty.

Były marszałek Sejmu organizuje spotkania w wąskich gronach z ludźmi związanymi z prawicą, często starszej daty, ale wciąż chcącymi się angażować. To prof. Andrzej Nowak, prof. Andrzej Zybertowicz (dziś jest społecznym doradcą prezydenta), Waldemar Kraska (lekarz i senator PiS). Prof. Wojciech Roszkowski nie, bo – jak słyszymy – jego syn (prezes Instytutu Jagiellońskiego Marcin Roszkowski) jest zbyt blisko z Mateuszem Morawieckim. Nowogrodzka zasięga też rad ekspertów z Instytutu Sobieskiego.

Spotkania organizowane przez Kuchcińskiego odbywają się nie tylko w stolicy. – Nie wszystkim chce się jechać do Warszawy – tłumaczy człowiek z PiS.

– To jest rodzaj klubów dyskusyjnych – słyszymy od osoby z PiS. Na żadnej dużej konwencji programowej – jak ta w Katowicach w zeszłym roku – nie zostanie wymyślone nowe 500+, sztandarowe punkty programu, w zaciśnięciu już prędeży.

Poza tym partia – jak przyznają ludzie bliscy Nowogrodzkiej – nie ma wielkich pieniędzy na badania sondażowe, a nastroje społeczne mogą też badać ludzie ze środowisk sympatyzujących z PiS. – Jak ktoś na zewnątrz robi badania i analizy, to dlaczego PiS miałoby z nich nie skorzystać? – pyta nasz rozmówca.

Teraz te spotkania odbywają się skrycie. Gdy PiS było u władzy, wyglądały inaczej. – Kiedyś się odbywały w siedzibie PiS albo w Sejmie, teraz są spotkania na mieście – mówi były uczestnik tych zebrań.

Inny wówczas bywalec, dziś bardzo daleki od PiS: – Marek Kuchciński kompletnie się nie nadawał na lidera takich spotkań. Nie miał żadnego autorytetu i słusznie go nie miał, bo nie miał też kompetencji.

Ale miał przy sobie – cenionego w środowisku PiS – dr. Tomasza Żukowskiego. Ten sam o sobie pisze, że był ekspertem w kampaniach wyborczych i współpracował z PiS. Był też doradcą prezydenta Lecha Kaczyńskiego

i Kuchcińskiego, gdy ten był marszałkiem. Do dziś jest w orbicie PiS.

„MAŚLARZE” RZĄDZA

NOWOGRODZKA ZREZYGNOWAŁA z usług swoich jeszcze do niedawna profesorskich tuzów: Ryszarda Legutki i Zdzisława Krasnodębskiego. Do 2024 r. byli posłami do Parlamentu Europejskiego, ale prezes zaoferował im tak słabe miejsce na liście PiS, że stracili mandaty.

Profesor Legutko skupia się teraz raczej na pisaniu o Sokratesie, a nie na doradzaniu PiS. Profesora Krasnodębskiego też nie ma już w bliskim zapleczu Nowogrodzkiej. Dwa lata temu prezes Kaczyński upokorzył strasznie zwłaszcza Legutkę – usunął go z funkcji szefa delegacji PiS w PE i zastąpił Dominikiem Tarczyńskim. Do dziś prezes lubi czasami cytować tych dwóch profesorów w wystąpieniach publicznych

i powoływać się na ich autorytet, ale nie odgrywają już politycznej roli. Kaczyński nie potrzebował akademików, ale żołnierzy.

Profesorowie, którzy są politykami, to coraz węższe grono w środowisku PiS. Jest prof. Zbigniew Rau – były szef MSZ trząśnięty przed Kaczyńskim, gdy był ministrem. I do ostatniego dnia nie spodziewał się, że Rosja zaatakuje Ukrainę w 2022 r.

Profesor Ryszard Terlecki wypadł z bliskiego kręgu Kaczyńskiego. To widać gołym okiem: w pierwszym rządzie ław w Sejmie po prawicy prezesa ustąpił miejsca Czarnkowi, a sam przesiadł się do czwartego rządu. Najbardziej wpływowi dziś profesorowie i doktorzy w PiS to dr Tobiasz Bocheński, prof. Przemysław Czarnek i dr Patryk Jaki. Czyli „maślarze”. **N**

jacek.gadek@newsweek.pl

REKLAMA



SZANSA NA ŻYCIE BEZ BÓLU REHABILITACJA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna Krojanty – od 1990 roku specjalizujemy się w nieoperacyjnym leczeniu ostrych i przewlekłych bólów kręgosłupa.

Leczymy również bóle głowy (migreny), dyskopatie, bóle stawów i zespół cieśni nadgarstka. Prowadzimy intensywną rehabilitację po wypadkach i kontuzjach, wylewach, zatorach oraz operacjach ortopedycznych i neurochirurgicznych. Efektem dwóch tygodni leczenia jest zwykle powót do pracy i życie bez bólu.

Zrób prezent swoim rodzicom

+48 52 398 56 56

+48 52 398 56 57

www.krojanty.com.pl



MINISTRA MARTA CIENKOWSKA

Kultura z jajami

Ona mówi to, co myśli, i zupełnie nie ma hamulca, że trzeba się ugryźć w język – twierdzą jej partyjni koledzy. **Ale to niejedyny zarzut wobec ministry kultury**

TEKST DOMINIKA DŁUGOSZ

Nowy Jork, koniec stycznia. Marta Cienkowska spotyka się z przedstawicielami środowisk związanych z kulturą, tą wyższą. W czasie bankietu Peter Gelb, dyrektor Metropolitan Opera, nawiązuje z polską ministrami niezobowiązującą rozmowę. Ponieważ Amerykanin zasiada w Komitecie Honorowym Baltic Opera Festival, zachwała to cykliczne wydarzenie na scenach Sopotu i Gdańska i wyraża zaniepokojenie, bo są podobno problemy z finansowaniem. Cienkowska kiwa głową i przyznaje, że pieniędzy brakuje i ten festiwal to dla niej... „poważny ból dupy”. Zapada cisza. Gelb musi być pod wrażeniem polskiej ministry kultury i dziedzictwa narodowego, bo wielu osobom opowiada tę historię w formie anegdoty.

MARTA SIĘ NIE GRYZIE

ONA MÓWI TO, CO MYŚLI, i zupełnie nie ma hamulca, że trzeba się ugryźć w język. Dlatego tak długo Hołownia nie chciał jej nic dać, bo choć jest świetną organizatorką, kompletnie nie radzi sobie w kontaktach z mediami i nie może się wypowiadać w imieniu partii – opowiadają koledzy Cienkowskiej z Polski 2050.

W kręgach związanych z kulturą ma przydomek Ministra Zajebista, bo niemal za każdym razem, kiedy coś jej się podoba, mówi, że to „zajebiste”. Złośliwicy podejrzewają, że ma taką pieczęć na biurku do akceptacji dokumentów.

W polityce język Marty Cienkowskiej jeszcze nabiera mocy. Próbkę można było poznać, gdy wypłynęły screeny z rozmów polityków Polski 2050 na WhatsAppie.

„Jebać przychylne media. Jak zmienimy zarząd i się weźmiemy do roboty, to wszyscy zapomną o tej napierdalanca i planowanym przez nas przewrocie. Czy jak to ci pseudodziennikarze to zaraz nazwą. Przynajmniej pokażemy jaja” – taką miała strategię na wyjście Polski 2050 z problemów. A w wyborach władz partii radziła wywalenie wszystkich kandydatów na „zbity pysk i obwołanie Hołowni królem”.

Wybory były gwoździem do partyjnej trumny, bo po konflikcie między grupą Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz a ludźmi Pauliny Hennig-Kłoski ugrupowanie rozpadło się na pół. Ministra Cienkowska tłumaczy, że mówi tak, a nie inaczej, bo ma to po ojcu. A część kolegów nie tylko broniła języka ministry, ale i przekonywała, że pani od kultury też może być wyrazista, a język polski jest barwny także wtedy, gdy jest nieparlamentarny.

– Właściwie to nie chodziło o barwę języka. Marta, która odpowiadała w partii za liczenie głosów, chciała przesunąć wybory na nie wiadomo kiedy, bo nie jest w najlepszych stosunkach z Pełczyńską-Nałęcz – tłumaczy politycy Polski 2050. – Ona ma do Szymona i Kaśki bardzo duży żal, bo chciała być szefową kampanii w 2023 r. i chciała być teraz

w prezydenckich, ale zrobili wszystko, żeby nie była. Szymon ją traktował jak „dziewczynę od plakatów”, a nie samodzielną polityczkę, i to stąd wynikało.

PODRÓŻNICZKA

POCHODZI z CIECHANOWA. Pilnie strzeże prywatności, ale wiadomo, że ojciec był szefem kuchni i podobno robił najlepsze schabowe w mieście. Matka prowadzi salon fryzjerski. Znajomi opowiadają, że była bardzo poukładaną, mądrą dziewczyną. Skończyła nauki polityczne i stosunki międzynarodowe, ale koledzy ze studiów wspominają jej zaangażowanie w teatr, który działał na wydziale. Ma dyplom z zarządzania instytucjami kultury.

Z Hołownią związała się, zanim jego polityczny ruch przekształcił się w partię. W kampanii prezydenckiej w 2020 r. jej firma eventowa organizowała kongresy, konwencje, konferencje, spotkania. Drukowała plakaty, produkowała żółte bluzy z logo. Oczywiście nie za darmo, choć niektórzy twierdzą, że sama płaciła za część gadżetów i dopiero potem Polska 2050 oddawała jej pieniądze. Taka inwestycja w polityczną przyszłość.

– Naprawdę jest w tym dobra, to ona wymyśliła żółty autobus, którym Szymon jeździł w ostatniej kampanii. – A że prowadziła firmę już długo, organizację takich rzeczy ma w małym palcu – przekonują.

Właśnie dlatego w wyborach 2023 r. była pewna, że w Ciechanowie „pozamiata”, bo Hołownia wywalczył jej dwójkę zaraz za Piotrem Zgorzelskim. Wicemarszałek Sejmu to jedna z największych ludowych lokomotyw wyborczych i właściwie nie było szans, żeby nie pociągnął całej listy Trzeciej Drogi. I pociągnął, ale drugim posłem tego okręgu z wyborczej koalicji PSL i Polski 2050 został Mirosław Orliński, też ludowiec. Cienkowska dostała tylko 6 tys. głosów.

– Bardzo to przeżyła i chyba trochę na otarcie łez dostała posadę wiceministry kultury – słyszymy w partii.

Zajmowała się w resorcie fundusza- mi z Unii i współpracą międzynarodową. Jej zagraniczne podróże od razu zaczęły budzić spore wątpliwości. Latała za czę- sto i za daleko.

– Wchodzi do biura z jedną walizką, a wychodzi z inną. Chyba cały czas jest w drodze – śmieje się pracownik ministerstwa i tłumaczy: – Ale to trochę taki resort. Trzeba jeździć, spotykać się, załatwiać.

Na przykład do Australii po jedną monetę z 1813 r. skradzioną w Toruniu i wywiezioną na antypody. Przekazał ją ministrowi w budynku ambasady minister kultury Australii. Podróż kosztowała ponad 50 tys. zł, bo – jak tłumaczyła Cienkowska – ma problemy z kręgosłupem i musi latać pierwszą klasą.

Odwiedziła też Japonię, Uzbekistan, Maltę. Do Ghany poleciała na wydarzenie organizowane przez Omenę Mensah – dziennikarkę TVN i żonę biznesme-

Ministra kultury jest na liście do zwolnienia, ale nie dlatego, że wyjątkowo drażni premiera. Po prostu Tuskowi do politycznych układank może pasować ktoś inny

na Rafała Brzoski, która jest filantropką w tym afrykańskim kraju. Problem polegał na tym, że nie wiadomo, w jakim charakterze Cienkowska tam poleciała. W końcu ówczesna ministra Hanna Wróblewska uznała ten wyjazd za prywatny i za prywatne pieniądze. Nawet w Polsce 2050 pojawiły się głosy, że ich partyjna koleżanka jest tak zielona w polityce, że nie umie rozdzielić tego, co prywatne, od tego, co publiczne.

– To samo jest z zatrudnianiem ludzi. Szefową komunikacji w resorcie jest Magda Dorożała. To super dziewczyna, ale jest żoną Mikołaja [wiceminister ochrony środowiska w resorcie Pauliny Hennig-Kloski – red.], więc jak możemy mówić, że nie jesteśmy w polityce dla stołków, a potem wjeżdża ta „rodzina na

swoim” – denerwują się nasi rozmówcy z Polski 2050.

Na posadzie doradcy ministrowi jest też fryzjer Przemysław Lubiński. Na pytanie „Faktu”, w czym będzie doradzał, resort odpowiedział: „W swojej karierze odpowiadał za realizację, koordynację i promocję wydarzeń, imprez i projektów o charakterze branżowym i kulturalnym, koordynował prace zespołów projektowych i odpowiadał za prowadzenie współpracy zaangażowanych podmiotów”. I że są to kluczowe dla organizacji pracy w resorcie kompetencje.

– W partii był nawet taki żart, że teraz z Martą najprościej się umówić u jej doradcy na Booksy [aplikacja do umawiania wizyt w salonach urody – red.] – złośliwie komentują koledzy ministrowi.

CHCIAŁABY BARDZO, ALE TEN TUSK

ZANIM W LIPCU ZESZŁEGO ROKU została ministrami, nie wszyscy w rządzie znali jej nazwisko. Nawet teraz nie wszyscy ministrowie zamienili z nią choć kilka słów. Ale wszyscy na pewno słyszeli, jak została szefową resortu kultury.

Gdy Donald Tusk postanowił przemeblować trochę rząd, jedną z pierwszych do dymisji była Hanna Wróblewska. Ekspertka w kulturze nie mogła dogadać się ze środowiskiem, nie pchnęła do przodu ustawy o mediach, nie zrobiła porządków, a w dodatku musiał przehandlować z „żółtymi” od Hołowni jeden resort. Mocno bowiem narzekali, że lewica ma mniej posłów, a więcej resortów, i że to nie jest sprawiedliwe. Premier uznał, że kultury może pozbyć się bez bólu. Ministrami miała zostać Aleksandra Leo i nawet się zgodziła.

– Popelniła jednak błąd, bo spotkała się z Martą. Ola opowiada, że po rozmowach z Tuskiem nikt nawet do Marty nie zadzwonił, żeby jej powiedzieć, że przejmujemy resort i że będzie nowa ministrami od nas. Dlatego Leo postanowiła to zrobić sama. Spotkała się z Martą wieczorem, a ta roztoczyła przed nią straszne wizje: że sobie nie poradzi w tym gnieździe os, że będą protesty, bo wchodzi ktoś zupełnie spoza środowiska, a w ogóle to Tusk ich oszuka. Olka się wystraszyła i odmówiła tuż przed ogłoszeniem nominacji,

a wtedy Marta wkroczyła cała na biało – opowiada mój rozmówca z Polski 2050.

A skoro Donald Tusk mówi, że władzy nie można dostać, trzeba ją sobie wywalczyć, to zdaniem kolegów Cienkowskiej świadczy to o jej skuteczności.

– Marta jest bardzo konkretna i ma jaja. Mnie to się podoba – mówi jedna z koleżanek z rządu. – Lubię, jak kobiety wiedzą, czego chcą, a ona wie. I mam wrażenie, że postanowiła zostać w polityce, bo jej się spodobało. Może nie wie jeszcze, w jakim miejscu, ale nie zamierza dać się wyrzucić za burtę.

– W CV ma ze 20 różnych wydarzeń kulturalnych, które organizowała jeszcze przed wejściem do ministerstwa, ale szczerze mówiąc, nie znam żadnej z tych imprez – mówi mi osoba z doświadczeniem, która zasiada z ministrami w organizacjach kulturalnych. – Nie chcę powiedzieć, że ona nie wie, co robi, ale nigdy nie była zaangażowana naprawdę mocno w jakąś dziedzinę kultury.

To wrażenie wielu moich rozmówców. Na spotkaniach ze środowiskiem Cienkowska zapewnia, że robi, co się da, ale to nic nie znaczy. Spotyka się z literatami, to ich wspiera, z młodymi filmowcami – to samo, za teatrem jest całym sercem, a koncerty uwielbia pasjami.

– No i niemal każdego przekonuje, że dla Koalicji Obywatelskiej kultura nie jest priorytetem i dlatego nie ma pieniędzy. Ona bardzo by chciała pomóc, ale nic nie może poradzić, bo Domański [minister finansów – red.] jej nie da – relacjonują uczestnicy spotkań z ministrami.

NIE DBA O DOBROSTAN STRON SPORU

To, że KO NIE JEST SPECJALNIE skupiona na kulturze, to akurat prawda. Ale największym zarzutem wobec Cienkowskiej jest to, że „nie robi porządków”, co bardziej dosadnie znaczy: „wszędzie trzyma pisiorów”. Najlepszym przykładem ma być Instytut Pileckiego.

Hanna Radziejowska z berlińskiego oddziału poinformowała resort o nieprawidłowościach w instytucie. Dostała status sygnalistki zgodnie z ustawą, ale zamiast ją chronić, ministerstwo wysłało list do ówczesnego szefa instytutu,

który Radziejowską natychmiast zwolnił dyscyplinarnie. Resort tłumaczył, że status sygnalistki był błędnie przyznany. W końcu pracę stracił szef Instytutu Pileckiego Krzysztof Ruchniewicz, ale w związku z rosyjskimi kontaktami w tle.

Radziejowska stoi na czele berlińskiego oddziału, ale za Ruchniewicza Cienkowska powołała Karola Madeja. I to kolejny powód do krytyki za ukłony w stronę pisiorów. Karol Madej jest absolwentem teologii biblijnej na KUL.

”

Lubię, jak kobiety wiedzą, czego chcą, a ona wie. I nie zamierza dać się wyrzucić za burtę, bo mam wrażenie, że w polityce jej się spodobało

– MÓWI KOLEŻANKA CIENKOWSKIEJ Z RZĄDU

Pracował też w IPN i od lat jest związany z Instytutem Pileckiego. Zdaniem polityków KO to wszystko razem oznacza, że musi mieć związki z PiS.

Ministra postanowiła też przekazać 400 tys. zł konserwatywnym pismom związanym z politykami PiS, co też nie spodobało się koalicjantom. Odpowiadając na pytania „Gazety Wyborczej” o tę decyzję, napisała, że jej „rolą nie jest dbanie o dobrostan którejsz ze stron sporu”.

„Tytuły, które otrzymały tegoroczne wsparcie z rezerwy budżetowej ministra kultury i dziedzictwa narodowego, są w mojej ocenie tak samo ważnymi ośrodkami opinii, jak te, którym przyznano wsparcie na podstawie decyzji ekspertów programu. Z publikowanymi przez te czasopisma opiniami nie ma obowiązku się

zgadzać, ba! nawet zachęcam do szerokiej z nimi dyskusji, jednak nie zmienia to w żaden sposób faktu, że ich obecność jest istotna dla zachowania pluralizmu w dewastowanej polaryzacją debacie społecznej” – tłumaczyła Cienkowska.

Jak na resort, który kojarzy się z galami, wystawami i koncertami, wciąż tam iskrzy od konfliktów i awantur. A to o finansowanie festiwalu Boska Komedia, który w końcu dostał prawie 5,5 mln zł na najbliższe trzy lata. A to o dyrektora Muzeum Literatury, bo ministra nie zgadzała się na obsadzenie stanowiska polityczką KO, na co naciskał PSL-owski baron Adam Struzik. A to w końcu o ustawę medialną, która teoretycznie jest gotowa od półtora roku, ale nie dotarła nawet do rządu, nie mówiąc już o Sejmie.

NA CIENKIEJ LINIE

MINISTRA KULTURY JEST NA LIŚCIE do zwolnienia, ale nie dlatego, że wyjątkowo drażni premiera. Po prostu Tusko wi do różnych politycznych układanek może pasować obsadzenie tego resortu kimś innym.

Po pierwsze, jest nierównowaga po rozpadzie Polski 2050. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz ma dwa ministerstwa, bo Cienkowska wciąż jest polityczką jej partii, a Paulina Hennig-Kloska – jedno i chciałaby drugie.

– Z Katarzyną nigdy nic nie wiadomo, więc Tusk nie zaryzykuje, żeby wyszła z koalicji, a Paulina złożyła już mu hołd lenny i wiadomo, że nie będzie uciekać się do szantaży – wzrusza ramionami były polityk partii Hołowni.

Ale premier może w pewnym momencie uznać, że postawione pod ścianą resztki po Polsce 2050 nie zaryzykują wyjścia z koalicji i chciałaby w resorcie mieć kogoś z własnego obozu. Mówi się o Macieju Wróblu i Aleksandrze Gajewskiej. Wróbel jest wiceministrem kultury, Gajewska wiceministrami rodziny, ale też jedną z kandydatek do walki o prezydenturę Warszawy. Objęcie Ministerstwa Kultury pozwoliłoby jej wyrobić sobie nazwisko. Wtedy bez najmniejszych skrupułów pozbędzie się Cienkowskiej. **N**

dominika.dlugosz@newsweek.pl

Rozmowa z **prof. Jackiem Raciborskim** *Polska Tuska i Polska Kaczyńskiego*

To nie jest kraj dla umiarkowanych wyborców

Formacja obiecująca drogę między PiS a PO nie ma dziś w Polsce wielkiego sensu. Nie przy tym poziomie polaryzacji – mówi **PROF. JACEK RACIBORSKI** z Katedry Socjologii Polityki UW

ROZMAWIA JAKUB MAJMUREK



NEWSWEEK: Przemysław Czarnek twierdzi, że nie ma dziś już w Polsce wyborców umiarkowanych. Polityczne centrum wyparowało?

JACEK RACIBORSKI: To popularna od niedawna hipoteza. Ja się z nią nie mogę do końca zgodzić. Jednocześnie faktem jest, że typowy dla wielu demokracji układ, w którym poglądy polityczne obywateli można było przedstawiać za pomocą krzywej Gaussa, rozpadł się w wielu miejscach na dwa układy z odrębnymi centrami. To trochę przypomina dwumodalny rozkład zmiennej.

To znaczy?

– Taki rozkład ma dwa wierzchołki wyznaczone przez wartości na osi rzędnych (pionowej). Więc na przykład licz-

ba obywateli lokujących się w poszczególnych punktach na 10-stopniowej skali lewica – prawica mogłaby rozkładać się tak, że 30 proc. lokowałoby się przy wartości 3 na skali i 30 proc. przy wartości 7. A więc relatywnie najwięcej osób przynależałoby do centrum obozu lewicy i do centrum obozu prawicy.

Porzućmy jednak takie skalowanie, bo do opisu obozów politycznych potrzebujemy więcej niż dwóch wymiarów. W Polsce mamy od dawna dwa obozy, zarówno na poziomie systemu partyjnego, jak i elektoratu. Można więc powiedzieć, że nie mamy dziś jednego centrum, ale jedno w obrębie obozu rządowego, niegdyś definiowanego jako anti-PiS, drugie wewnątrz obozu pro-PiS.

Są sobie równe?

– Nie muszą być, by zadziałała logika polaryzacji i dwublokowości, czasem trochę silniejszy może być jeden, czasem drugi blok.

Kiedy taki podział zaczyna się w Polsce?

– Wtedy, kiedy polaryzacja PO-PiS, czyli gdzieś w okolicach roku 2007 r. Ten podział umacnia się znacznie w okolicach 2015-2016 r., gdy PiS zaczyna zmiany w Trybunale Konstytucyjnym i mediach publicznych, co spotyka się z protestami drugiej strony i wyzwala wielkie emocje w obu obozach.

On nie zyskał bardzo głębokiego wymiaru afektywnego już po Smoleńsku?

– Zyskał, ale tematyka Smoleńska względnie szybko wygasła, proszę zwrócić uwagę, że prawie w ogóle nie pojawiała się w przekazie PiS w wyborach w 2015 r., Antoni Macierewicz, główny rzecznik koncepcji zamachu, został wręcz ukryty. PiS ponownie ożywia ten spór i związane z nim emocje dopiero po swoim powrocie do władzy, wtedy ruszają prace podkomisji Macierewicza, a obchody smoleńskie zyskują państwowy niemal wymiar, co znów wywołuje bardzo gwałtowne reakcje po drugiej stronie.

Po 2015 r., gdy protesty upowszechniają się i instytucjonalizują w formie KOD, krystalizują się w masach dwa przeciwstawne polityczne światopoglądy. Wcześniejsza międzypartyjna opozycja PO-PiS przekształca się w pełno-krwisty podział socjopolityczny. To jest taki podział, który formuje silne i trwałe polityczne tożsamości. A to znaczy, że zwykli ludzie definiują się na co dzień jako zwolennicy PiS i Kaczyńskiego bądź jako jego przeciwnicy lub wrogowie. I wszystkie inne dzielące Polaków spory stają się wtórne wobec tego podziału.

I między tymi dwoma blokami nie ma miejsca na żadną „trzecią drogę”, żadne klasycznie rozumiane centrum?

Prezes PiS Jarosław Kaczyński podczas konferencji prasowej, Warszawa, 20 listopada 2025 r.



– Jakieś jest, ale niewielkie. Pamiętajmy, że autoidentyfikacja polskich wyborców jest bardzo mocno przesunięta na prawo – ponad 40 proc. deklaruje takie poglądy. Lewicowe około 20 proc., centrowe w ostatnim badaniu CBOS 23-25 proc. To mało.

Jest coraz mniej kwestii, w których opinia publiczna mogłaby kształtować się zupełnie swobodnie, bez wciągania tematu w podział między tymi dwoma blokami. Stanowiska bardzo szybko podlegają polaryzacji. Weźmy kwestię SAFE. Początkowo zdecydowana większość Polaków popierała zaciągnięcie tego kredytu na zakup uzbrojenia, ale pod wpływem propagandy obozu PiS liczba przeciwników tego programu gwałtownie wzrosła i dziś popiera go tylko niewielka większość.

Jak te dwa bieguny mają się do podziału lewica-prawica?

– Wyborcy bloku anti-PiS będą deklarować raczej centrowe i lewicowe poglądy, wyborcy antyrządowi prawicowe. Ale jak zaczniemy badać, co ludzie rozumieją pod tymi deklaracjami, zaczynają się problemy. Bo to jest często zupełnie oderwane od tego, co historycznie znaczył podział prawica-lewica.

PiS łączy np. konserwatywne postulaty światopoglądowe z etatyzmem w gospodarce i wizją państwa, które sprawuje kuratelę nad życiem obywateli, z pewnymi chadeckimi hasłami solidaryzmu społecznego.

”Zwykli ludzie definiują się na co dzień jako zwolennicy PiS i Kaczyńskiego bądź jako jego przeciwnicy lub wrogowie. Wszystkie inne dzielące Polaków spory stają się wtórne wobec tego podziału

Z kolei rząd Tuska coraz częściej sięga po nacjonalistyczny język, dzieli z prawicą widzenie świata, w którym wszyscy Polsce zagrażają, a militaryzację państwa i społeczeństwa widzi jako jedyną odpowiedź na to wyzwanie. I rząd, i prawicowa opozycja ciągle powtarzają, że Polsce bezpośrednio zagraża Rosja i że musimy się zbroić, by przeciwstawić się temu zagrożeniu – choć nie mam pewności, czy większość polityków strony rządowej, a tym bardziej jej wyborców,

Marsz pod hasłem „Po pierwsze Polska” z udziałem popieranego przez PiS kandydata na prezydenta Karola Nawrockiego, Warszawa, 25 maja 2025 r.



naprawdę wierzy, że Rosja zagraża nam już dziś. Nawet jeśli uznają konieczność wydatków na modernizację armii. Podział lewica-prawica jawi się teraz jako wtórny wobec podziału na dwa bloki – pro-PiS i anti-PiS. Najlepiej to widać poprzez analizę przepływów elektoratów w drugiej turze wyborów prezydenckich – narzekano na Zandberga, że nie poparł w niej jednoznacznie Trzaskowskiego, ale ok. 85 proc. jego wyborców jednak zagłosowało na kandydata KO w II turze. Podobnie było z wyborcami Mentzena oraz Brauna i poparciem dla Nawrockiego. Te bloki są dziś bardziej skonsolidowane niż w 2020 r., gdy wyborcy Bosa-ka w II turze podzielili się prawie po równo pomiędzy Dudę a Trzaskowskiego.

Wobec tego nie ma sensu walczyć o niewielką przestrzeń między blokami i trzeba dbać maksymalnie o mobilizację własnego?

– Walczyć trzeba o każdego wyborcę. Ale ta mobilizacja po obu stronach nieuchronnie zmniejsza rolę wyborców o centrowych poglądach lub słabo skryształizowanych.

Można więc powiedzieć, że w 2025 r. Trzaskowski przegrał, bo zamiast mobilizować swój obóz, próbował sięgać po bardziej umiarkowanych konserwatywnych wyborców?

– W kampanii Trzaskowskiego popełniono cały szereg błędów, ale diagnoza, żeby wobec tak wyraźnego przesunięcia

autoidentyfikacji polskich wyborców w stronę prawicy po-walczyć o część tak określającego się elektoratu, nie była pozbawiona racjonalnych podstaw. Te gesty nie wywołały przecież demobilizacji obozu anti-PiS, frekwencja w drugiej turze w środowiskach sprzyjających temu obozowi, a więc w dużych miastach, wśród kobiet, w średnich rocznikach, wśród ludzi wykształconych, była wyższa niż w środowiskach tradycyjnie sprzyjających PiS.

Nie mamy żadnych wskazówek, że tę niewielką grupę wyborców, którzy zdecydowali o wyniku drugiej tury, zniechęciło do uczestnictwa to, co Trzaskowski mówił o edukacji zdrowotnej albo o Ukraińcach, a nie przegranie tematu kawalerki, kibolskiej przeszłości i paniczne ataki na Nawrockiego za wszystko. Takie drobne błędy mogły zdecydować o minimalnych przesunięciach elektoratu. A te w sytuacji równowagi okazały się rozstrzygające.

Czy w takim razie dziś jakaś formacja obiecująca „trzecią drogę” między PiS a PO, np. partia Rafała Brzosi, o której się często spekuluje, miałaby sens?

– Nie, dziś to nie miałoby wielkiego sensu. Nie przy tym poziomie polaryzacji.

Co więc musiałoby się stać w polskiej polityce, by otworzyła się przestrzeń dla podobnej inicjatywy?

– Po pierwsze, musiałoby dojść przynajmniej do zamrożenia konfliktu między Rosją a Ukrainą. Po drugie, do ogólne-

go odprężenia – zarówno w relacjach międzynarodowych, jak i w polityce krajowej. Tak by utrudnić obu blokom maksymalną mobilizację.

Inaczej mówiąc, by wzmocniło się centrum, polityka i udział w wyborach muszą się Polakom trochę „znudzić”?

– Można to tak ująć. Proszę zwrócić uwagę, że my od frekwencji na poziomie 50 proc. w 2015 r. w ciągu ośmiu lat, do wyborów w 2023 r., doszliśmy do ponad 74 proc., a więc poziomu charakteryzującego demokrację z bardzo silnie zakorzenionym nawykiem uczestnictwa w wyborach.

W dodatku przestają obowiązywać pewne tradycyjne wzorce absencji. W ostatnich wyborach młodzież – w prawie wszystkich demokracjach frekwencja wśród najmłodszych wybor-

” PiS jest na dobrej drodze do odzyskania dominacji na prawicy, a zwycięstwo Nawrockiego tchnęło nową energię w KO, dało jej nowego wroga, wobec którego można wywoływać emocje

ców jest niższa od przeciętnej – wzięła udział w wyborach liczniej niż następną grupą wiekową. Zarówno w ostatnich wyborach parlamentarnych, jak i w prezydenckich liczniej głosowały też kobiety niż mężczyźni.

Jednocześnie można wątpić, na ile głęboko zakorzenił się nawyk uczestnictwa – czy jeśli np. znikną silnie polaryzujący liderzy, Kaczyński i Tusk, to nie wróci ono do poziomów z okolic 2015 r. Często rozmawiam z wyborcami PiS i widzę tam autentyczną nienawiść do Tuska, określenia „ten rudy Niemiec” należą do najłagodniejszych. Po drugiej stronie podobne emocje budzi Kaczyński. I te emocje mogą się zmienić, gdy zabraknie obu tych liderów. Ale na razie ten spolaryzowany układ trzyma się mocno.

Nie zgadzam się z ostatnim raportem Sadury i Sierakowskiego, wieszczącym, że dotychczasową polaryzację zastąpi ta między Lewicą w obu odmianach i Konfederacją – też w obu odmianach. Ta prognoza wynikała z założenia, że PiS już znacznie się sypa od wewnętrznych konfliktów w konsekwencji przegranych wyborów 2023 r., a KO po klęsce Trzaskowskiego, ale to się na razie nie dzieje. Można wręcz powiedzieć, że zwycięstwo Nawrockiego tchnęło nową energię w KO, dało jej nowego wroga, wobec którego można wywoływać emocje.

Jednak w niektórych sondażach PiS ma mniejsze poparcie niż obie Konfederacje. To nie pokazuje, że partia Kaczyńskiego nie jest w stanie przekonać

do siebie nawet większości wyborców prawicy i nie jest już hegemonem po tamtej stronie?

– Ale to nie jest ważne, czy liderem prawicy będzie Kaczyński, Bosak, czy mający dziś na to największe szanse Nawrocki – kluczowa jest zwartość tego obozu i jego polaryzacyjny układ z drugim biegunem.

Poza tym jestem przekonany, że PiS jest na dobrej drodze do odzyskania dominacji na prawicy. Efekt Brauna będzie słabł, także Konfederacja Bosaka i Mentzena nie wydaje mi się bardzo przyszłościową formacją, a przynajmniej nie na tyle, by była zdolna zastąpić PiS jako centrum prawicowego obozu, wokół którego krążą wszystkie inne prawicowe siły.

Biorąc to wszystko pod uwagę, postawienie przez Kaczyńskiego na Czarnka, który odpuszcza centrum i mobilizuje prawicowy elektorat wokół PiS, jest racjonalną strategią?

– Bardzo racjonalną. Ona właśnie wychodzi z założenia, że dziś mamy dwa centra i trzeba przede wszystkim konsolidować swój obóz. I z tego punktu widzenia Czarnek to trafny wybór. On nam się może wydawać dość radykalny, ale w ramach szeroko rozumianego obozu prawicy znajduje się mniej więcej pośrodku. Obie Konfederacje są znacznie dalej na prawo od Czarnka, np. Braun otwarcie głoszący polexit.

Zaletą Czarnka jest też jego sposób bycia: bezpośredni, raczej plebejski, mimo jego akademickich afiliacji. Kaczyński ma o wiele bardziej inteligentki sposób bycia, co w dobie populizmów nie jest zaletą.

Obóz rządowy racjonalnie zareagował na wybór Czarnka?

– Trochę się obawiam nadmierowej reakcji. Bo jak przesadzi się w propagandowych atakach na przeciwnika, to czasem się to obraca przeciw atakującym. To dość dobrze opisany w literaturze tzw. efekt bumerangu. Mogliśmy go zresztą zaobserwować przy okazji zeszłorocznych wyborów prezydenckich. I obserwując, jak KO od początku skupiła się na Czarnku, mam pewne obawy, czy to się nie powtórzy. Ale może stoi za tym jakiś polittechnolog, który atakując Czarnka, chce go celowo wzmocnić, zmarginalizować w ten sposób obie Konfederacje i utrzymać korzystny dla obu stron podział KO-PiS.

Bardziej niż ataki na Czarnka i Nawrockiego pomagają dziś obozowi rządowemu pewne sukcesy: odblokowanie KPO i umiejętnie sięganie po inne fundusze UE, dobra sytuacja gospodarcza, niskie bezrobocie, rosnące pensje i emerytury. Rząd dobrze też rozgrywa SAFE. Po wecie: spokojnie, mamy plan B, wdramy go w życie. Demonstracja siły i kompetencji. Wszystko na to wskazuje, że weto okaże się poważnym błędem prezydenta. **N**

Jakub Majmurek

PROF. JACEK RACIBORSKI JEST SOCJOLOGIEM POLITYKI, PRACOWNIKIEM UNIwersYTETU WARSZAWSKIEGO, REDAKTOREM NACZELNYM PISMA „STUDIA SOCJOLOGICZNO-POLITYCZNE. SERIA NOWA”, ZAŁOŻYCIELEM I PREZESEM WYDAWNICTWA NAUKOWEGO SCHOLAR

NAUKA
I ZDROWIE

Newsweek

Z BLISKA

Legwan zielony
od pierwszych dni
po wykluciu musi radzić
sobie sam. Rodzice się
nim nie opiekują



Z JAJKA NA ŚWIAT

Kojarzone jest z odradzającym się wiosną życiem i zwycięstwem nad śmiercią. Jajko jest też symbolem płodności. Starożytni Persowie i Egipcjanie wierzyli, że z niego wykuł się świat, a dla chrześcijan jest nieodłącznym elementem Świąt Wielkanocnych. Symbolizuje zmartwychwstanie Chrystusa. Choć zazwyczaj jajka kojarzymy z ptakami, to składają je także stawonogi (np. pająki i owady), mięczaki (np. głowonogi i ślimaki), ryby, płazy, gady oraz ssaki należące do stekowców, czyli dziobak i kolczatka. Największe jaja na świecie miały metr w obwodzie i ważyły około 10 kg. Składały je wymarłe mamutki, ptaki podobne do strusi, które prawdopodobnie jeszcze w XVII w. żyły na Madagaskarze.





Larwy łososia tuż po wykluciu z ikry, mają woreczek żółtkowy, z którego czerpią substancje odżywcze



Gdy samica krokodyla nilowego usłyszy dźwięki wydobywające się z jaj, bierze je do pyska i zębami rozbija skorupę





Samica pająka z rodzaju *Lyssomanes* po złożeniu jaj otacza je ochronnymi kokonami i cały czas pilnuje



Młody żółw morski kareta rozbija skorupę po około 80 dniach inkubacji i ucieka do wody. Robi to zazwyczaj w nocy, bo ciemność chroni go przed drapieżnikami





Wąż groźnica
niema jest jednym
z niewielu gatunków
żmijowatych,
który składa jaja



Samica głuptaka
niebieskonogiego składa
dwa lub trzy jaja i wysiaduje
je na zmianę z samcem,
a potem oboje rodzice
opiekują się młodymi





Garbik złoty jest jajorodny. Samica składa jaja na powierzchni koralowców. Samiec je zapładnia i ich strzeże, dopóki nie wyklują się z nich młode larwy



Jajami ośmiornicy olbrzymiej opiekuje się wyłącznie samica. Nigdy się od nich nie oddala, aby znaleźć coś do zjedzenia. Ginie z głodu wkrótce po wykluciu się młodych.



Pisklę kury domowej opuszcza jajo po około 21 dniach inkubacji. Aby wydostać się ze skorupki, używa zęba jajowego, który zanika kilka dni po wykluciu





Flaming karmazynowy
składa jaja w gnieździe
ulepionym z mułu
w formie ściętego stożka
z zagłębieniem pośrodku.
Jaja są wysiadywane przez
oboje rodziców





Prof. Magdalena Smoczyńska. Na zdjęciu, które trzyma: Lena Kichler we Francji z Tatianą i NN („Witkiem”) o dotąd nieustalonej tożsamości. Kraków, 26 marca 2026 r.



Lena Kichler
(nr 42) z dziećmi,
m.in. Małą (nr 10),
Natanem (nr 38)
i Maksem (nr 35),
po ucieczce z Polski
pod pomnikiem
Jana Husa. Praga,
marzec 1942 r.

Newsweek NA WIELKANOC

TO MÓJ OBOWIĄZEK WOBEC OCALONYCH

LENA I JEJ DZIECI

Jestem jedyną osobą, która zna ich historie – mówi **PROF. MAGDALENA SMOCZYŃSKA**, która bada dramatyczne losy grupy żydowskich dzieci ocalałych z Zagłady. Pomagała im Lena Kichler, a kiedy zaatakowano stworzony przez nią sierociniec na Podhalu, wywozła dzieci z Polski. Prof. Smoczyńska odszukała je po latach

ROZMAWIA RENATA KIM ZDJĘCIA BARTOSZ SIEDLIK

NEWSWEEK: Dlaczego od ponad 10 lat szuka pani żydowskich dzieci Leny Kichler?

PROF. MAGDALENA SMOCZYŃSKA: To są polskie dzieci, polscy obywatele. Zamordowano im rodziny, zabrano domy, tożsamość, pamiątki. Młodsze spośród nich przez całe życie nie wiedziało niemal nic o swoim dzieciństwie. Gdybym ja, jedyna osoba, która zna ich historie i ma dostęp do polskich źródeł, nic nie zrobiła, to raczej już nikt by tego nie zrobił. Dlatego rekonstruuje ich losy, zbieram dokumenty, odnajduję metryki, fotografie, czasem pomagam ustalić tożsamość ich rodziców, a także polskich opiekunów.

Rozmawiała pani z ponad 50 ocalałymi z Zagłady dziećmi lub ich bliskimi.

– Ci, którzy jeszcze żyją, to są ludzie w podeszłym wieku, od 80 do 95 lat. I czas nagli. Mam w ręku tużpowojenne relacje dwóch chłopców, już nieżyjących, Mańka i Maksa, którzy mówią z ogromną wdzięcznością o osobach, które ich ocaliły. Nie było wtedy jeszcze tytułu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, wprowadzono go w 1963 r., ale oni chcieli odszukać te osoby i im pomagać. To nie było łatwe: byli młodzi, bez zaplecza rodzinnego, sami musieli sobie radzić w Izraelu. Polska stała się odległą: inny kraj, inny język. Przecież nie było wtedy internetu, baz danych. Dlatego chcę

spróbować zrobić to w imieniu tych chłopców, odszukać potomków ich dobroczyńców, uhonorować ich pośmiertnie. To jest mój obowiązek wobec ocalonych dzieci i tych szlachetnych, odważnych osób. To znacznie ważniejsze niż licytowanie się, ilu to Polska ma Sprawiedliwych.

Kim była Lena Kichler?

– Żydówką z Wieliczki, urodzoną w 1910 r., która skończyła gimnazjum hebrajskie w Krakowie, studiowała psychologię i pedagogikę na Uniwersytecie Jagiellońskim pod kierunkiem prof. Stefana Szumana. Ja tam też studiowałam, tyle że 30 lat później. Lena była bardzo zdolna. Kiedy skończyła studia w 1934 r., Szuman zaproponował, by została doktorantką, ale nie mogła się tego podjąć, bo jako najstarsza z rodzeństwa musiała pomagać rodzinie w czasach kryzysu. Została nauczycielką w żydowskiej szkole w Bielsku. Kiedy już po wojnie Lena dowiedziała się, że jej ukochana siostra Fela została rozstrzelana przez Niemców, poszła do Szumana, mówiąc, że chce coś zrobić, potrzebuje celu w życiu. Profesor zaproponował jej zrobienie doktoratu. To była wiosna 1945 r. Od razu zabrała się do badań w przedszkolach.

I wtedy trafiła do Komitetu Żydowskiego w Krakowie.

– Jego siedziba mieściła się przy ul. Długiej 38. Lena któregoś dnia tam zajrzała i zobaczyła tłumy ludzi czekających w kolejkach. Niektórzy byli jeszcze w pasiakach, bo przyjechali prosto z Auschwitz, w stanie skrajnego wyniszczenia. Warunki tragiczne: dzieci spały na schodach, nocami szlochały, opiekę sprawowały strauatyzowane kobiety po obozach, które na nie wrzeszczały. Na Długiej 38 było wszystko, co żydowskie. Śmierć, choroby i głód. Wiadomości o tym, kto zginął, a kto ocalał. Każdy, kto przyjeżdżał na krakowski dworzec, wiedział, że musi od razu tam iść. Ja przez kilkanaście

”
**STAJĘ NA GŁOWIE,
ŻEBY TE DZIECI ZŁAPAĆ, ZANIM
UMRĄ, ALE SAMA JESTEM
OD NICH NIEWIELE MŁODSZA
I ISTNIEJE OBAWA, ŻE TO JA
STRACĘ ROZUM ALBO UMRĘ**

lat mieszkałam po skosie naprzeciwko, na Długiej 31, i chodziłam tam do ośrodka zdrowia. Nie miałam pojęcia, co tam kiedyś było. Teraz wiadomo znacznie więcej, a jednak dotąd nie ma żadnego upamiętnienia tego miejsca. Tymczasem adres „Długa 38” pamiętają dotąd wszyscy ocalali Żydzi, którzy przeszli przez Kraków.

Komitet Żydowski powierzył Lenie zorganizowanie dwóch sierocińców na Podhalu: w Rabce i w Zakopanem.

– Wszystkie ocalałe dzieci były chore, większość miała gruźlicę. Nikt na Podhalu nie chciał wynająć domów ocalałym Żydom,

ostatecznie komitetowi udało się wynająć trzy wille w Rabce i pensjonat Leśny Gród w Zakopanem. Sierociniec w Rabce ruszył już w czerwcu 1945 r. Lena też zatrudniała kobiety po Auschwitz, które utraciły rodziny, ale bardzo starannie dobierała personel. Mówiła im: te dzieci cię potrzebują. Jeżeli się poświęcisz i będziesz je kochać, one też cię pokochają i dzięki temu wyjdiesz ze swojej rozpacz. To jest szansa dla nich i dla ciebie. Zebrała niesamowity zespół. Planując wyposażenie domów, wyznaczyła wysokie standardy: ma się skończyć nędza, każde dziecko ma mieć swoje łóżko, pościel i szafkę. W jasnej jadalni obrusy na stołach. I chleb. Zawsze dostępny na stołach chleb.

Już trzy miesiące po otwarciu sierociniec w Rabce został zaatakowany.

– W sierpniu 1945 r. wille obrzucono granatami i ostrzelano. Inspiratorami tych ataków byli dwaj nauczyciele z prywatnego gimnazjum, którzy namówili do tego swoich uczniów. Głównym pomysłodawcą był ksiądz katecheta i kapelan drużyny harcerek Józef Hojół, czczony po dziś dzień w Rabce jako patriota i antykomunista. W kaplicy w Rabce ten człowiek ma tablicę pamiątkową. Jako „wzorowy wychowawca młodzieży”. To się w głowie nie mieści!

To opowieść o tym, jak głęboki był antysemityzm wśród Polaków.

– W powojennych relacjach Żydów powtarzało się często zdanie, które słyszeli: że jedną rzecz Hitler dobrze zrobił – zlikwidował Żydów i Polacy nie musieli ich sami zabijać. Oraz że szkoda, że problem żydowski nie został rozwiązany do końca. Dlatego te ocalałe dzieci na Podhalu przeszkadzały, miejscowi bali się, że Żydzi wrócą i znowu będzie z nimi problem. Zapominali, że Żydzi stanowili przed wojną istotną część ich klienteli. Po trzecim napadzie sierociniec rabczański zamknięto i 30 dzieci przeniesiono do Zakopanego. Ale tam na początku 1946 r. sytuacja też zrobiła się niebezpieczna. Były zabójstwa Żydów, działała banda Józefa Kurasia „Ognia”. Lena wówczas zadziałała jak matka: na własne ryzyko wywiozła dzieci z Polski, w tajemnicy przed władzami, i żydowskimi, i oświatowymi. Wywiozła 60 dzieci, wraz z 12 osobami personelu. Z pomocą ortodoksyjnej organizacji chasydzkiej udało im się przedostać do Francji. Tam przez trzy lata prowadziła swój dom dziecka w Bellevue pod Paryżem, a wiosną 1949 r. przywiozła dzieci do Izraela i umieściła w kibucu koło Rechowotu.

Jak pani odkryła tę historię?

– Jedenastcie lat temu natrafiłam na tekst w „Gazecie Wyborczej”, był oparty na pracy Karoliny Panz, badaczki Zagłady na Podhalu. Ja wtedy jeszcze byłam katoliczką, więc to, że w Rabce ks. Hojół, instygator tych zbrodniczych ataków, wciąż jest wielbiony, wywołało we mnie odrazę i wściekłość. Akurat odchodziłam na emeryturę i ani się spostrzegłam, a zaczęłam się tym intensywnie zajmować. Ale po chwili uznałam, że nie chcę ostatnich lat życia poświęcać na obcowanie z tym obrzydliwym księdzem antysemitą, który szczerł polskie dzieci na dzieci żydowskie. Uświadomiłam sobie, że bardziej warta zainteresowania jest postać Leny Kichler. Postać, z którą jestem związana przez UJ i przez Długą 38. Ale też przez Rabkę: kiedy w 1970 r. w podróż poślubną pojechalismy z mężem na weekendowe seminarium Towarzystwa Asysten-



Portret Leny Kichler autorstwa Miry Aleksjun.
Obraz z kolekcji prof. Magdaleny Smoczyńskiej

tów UJ do Rabki do Domów Pracy Twórczej Stasin i Niemen, to nie miałam pojęcia, że mieszkamy właśnie w tych willach, które ćwierć wieku wcześniej zostały ostrzelane. Teraz już wiem. Postanowiłam, że napiszę biografię Leny Kichler.

Zacęła pani od lektury jej najważniejszej książki „Moje sto dzieci”.

– Ta książka była w Izraelu w latach 60. lekturą szkolną o Holokauście. We wstępie autorka zapewnia, że wszystkie opisane fakty są prawdziwe. Zmieniła tylko tożsamości, żeby uchronić prywatność osób, które budowały już dorosłe życie w nowej ojczyźnie. Ale w Archiwum Bojowników Getta w Izraelu, które przechowuje spuściznę Leny Kichler, jest lista, na której zestawione są pseudonimy z nazwiskami. Nie wiedziałam, czy można jej wierzyć na słowo. Postanowiłam sprawdzić, na ile jej lekko beletryzowana opowieść może być traktowana jako tekst quasiźródłowy. I ten test wypadł pozytywnie.

Do Izraela jeździła pani wiele razy.

– Bo tam przetrwała większość dzieci Leny. Na początku było trudno, często wyczuwało się opór: „Czego może chcieć ta pani z Polski?”. Ale potem zaczęli mnie sobie polecać i drzwi się otworzyły. Prócz Izraela jeździłam też do Stanów Zjednoczonych, Anglii i Francji. Wszystko za własne pieniądze. Po przejściu na emeryturę na UJ zatrudniłam się na etat profesorski na UMCS w Lublinie, głównie po to, żeby zarobić na te poszukiwania.

W pewnym momencie zrozumiałam, że stoję na głowie, żeby te dzieci złapać, zanim umrą, ale sama jestem od nich niewiele młodsza i istnieje obawa, że to ja stracę rozum albo umrę, zanim skończę tę książkę. Z biegiem czasu zdałam sobie sprawę, że ona nie może być tylko o Lenie, ale również o jej dzieciach i niesamowitym zespole wychowawców.

Na razie kończy pani inny projekt: wydanie kilkunastu wywiadów, które Lena Kichler przeprowadziła z dziećmi tuż po wojnie.

– One są jak na tamte czasy niezwykle, bo Lena nie dopytywała dzieci o szczegóły historyczne, po prostu stworzyła komfortowe warunki i pozwoliła im mówić. Skrupulatnie zapisywała każde słowo. Wywiady prowadziła po polsku. Te relacje wyszły po raz pierwszy w 1948 r. w jidysz, potem po hebrajsku w Izraelu, ale nigdy nie ukazały się w Polsce. Razem z Żydowskim Instytutem Historycznym i wydawnictwem Nisza zdecydowaliśmy, że trzeba by wydać. Właśnie przygotowuję je do druku. Postanowiłam uzupełnić te historie według tego, co wiadomo teraz, po 80 latach, kiedy istnieje ogromna literatura na temat Zagłady, dołożyć do nich przypisy. Uznałam, że trzeba dużo rzeczy posprawdzać, nie tylko dla uzupełnienia świadectw historycznych, ale i dla samych tych dzieci – tych, które jeszcze żyją. I dla tych, które już umarły.

Na przykład dla Maksa.

– Maks został uratowany koło Zborowa na Kresach przez gospodarującą tam starszą Polkę, panią Szumską, która go potajemnie karmiła i ukrywała w psiej budzie. Także przed własnymi dziećmi. Gdy po wojnie młodsze pokolenie Szumskich przeniosło się na zachód, ona została na gospodarstwie. A Maks, wówczas 12-latek, obrabiał gospodarstwo, pielęgnował swoją dobrodziejkę w chorobie, we wszystkim pomagał. Nauczył ją nawet pisać. Ale sam miał gruźlicę i ona błagała go, żeby wyjechał do Polski. „Maksiu, ty umrzesz, jeśli tu zostaniesz”. Ostatecznie wyjechał z Żydami do Krakowa i znalazł się u Leny. Potem bardzo chciał odnaleźć panią Szumską, ale mu się to nie udało, więc muszę ją dla niego namierzyć. Nie zdążyłam go spotkać, znam go tylko z filmu dokumentalnego. To był niezwykle szlachetny, wrażliwy człowiek.

Jest jeszcze Mała, która mieszka w Tel Awiwie.

– Mała miała osiem-dziewięć lat, gdy trafiła do Leny. Była córką rzeźnika z Jarosławia. Jako pięciolatka pasła krowy u Ukraińców, podając się za Polkę. Jej rodzice i dwaj bracia ukrywali się wraz z kilkunastoma Żydami w bunkrze u gospodarza Ukraińca. Sąsiad, zazdrosny o zarobki, wydał go Niemcom. Małą zawołał jakiś chłopak, żeby zobaczyła zastrzelonych Żydów. Przybiegła, w wykopanym dole zobaczyła ciała pomordowanych. Wiedziała, że musi udawać, że jej to nie rusza, bo sama się tam znajdzie. Dopiero po powrocie na pastwisko mogła się rozplakać. Gdy dotarła do Leny, nie знаła imion rodziców, nie miała żadnego dokumentu. Powiedziała mi: „Czasem myślę, że ja może w ogóle nie istnieję”. Zacęłam szukać jej metryki. W Jarosławiu nic nie było, ale w archiwum w Przemyślu znalazło się świadectwo ślubu jej rodziców z maja 1926 r. Dzięki tym danym na stronach genealogicznych znalazłam jej bliską rodzinę ze strony matki, m.in. nieznanego kuzyna w Hajfie, który też nie wiedział o jej istnieniu. Z duszą na ramieniu, czy Mała jeszcze jest wśród nas, zadzwoniłam niedawno

” MALA MIAŁA OSIEM- -DZIEWIĘĆ LAT, GDY TRAFIŁA DO LENY, NIE ZNAŁA IMION RODZICÓW. POWIEDZIAŁA MI: „CZASEM MYŚLĘ, ŻE JA MOŻE W OGÓLE NIE ISTNIEJĘ”

i powiedziała jej o tych znaleziskach. Naszą rozmowę przerwał alarm i 89-letnia Mała musiała o lasce spieszyć do schronu.

Był też chłopiec o imieniu Natan.

– To jedna z najbardziej niezwykłych historii. Po zajęciu Lwowa przez Niemców w lipcu 1941 r. 10-letni Natan zeskoczył niezauważony z ciężarówki, która wiozła go na stracenie. Dawał znak siostrze, ale ona się bała. Rodzice jechali inną ciężarówką z dorosłymi. W relacji Natan opisuje, jak tuła się po swojej dzielnicy: ich mieszkanie jest już obrabowane, sąsiad ojca i jego niedawny współpracownik boi się go przenocować. Ale jedna sąsiadka daje mu chleb. Chłopiec rusza przed siebie. Idzie przez różne miejscowości, jedzie kawałek pociągiem, wszędzie widzi pogromy. Ostatecznie dociera na wieś, gdzie zatrudnia się jako parobek u gospodarza bimbrownika. Wyrzucony po roku przez chlebodawcę (miejscowi chłopcy donieśli mu, że „Janek” coś nie bardzo umie się przeżegnać), decyduje się szukać w lesie sowieckiej partyzantki, bo chce walczyć z Niemcami. Znajduje oddział, który go przyjmuje, nikt mu nie wytyka żydostwa, jest najmłodszy i lubiany. Jest zwiadowcą, biega z meldunkami, zakłada miny. Przy natarciu Armii Czerwonej w kierunku Lwowa oddział partyzancki znajduje się w potrzasku i Natan, który nastąpił na minę, zostaje ciężko ranny. Do Leny trafia jako kaleka, bez oka, bez palców, z kilkunastoma odłatkami w ciele. Jest zgorzkniały, tylko Lenę darzy zaufaniem.

I opisuje jej trasę swojej wędrówki.

– Tyle tylko że Lena zanotowała wszystkie nazwy miejscowości, tak jak je słyszała, o nic nie dopytując. I wyszła z tego geograficzna katastrofa. Nic się nie zgadzało z mapą. Zaczęłam rekonstruować te zapisy: czytałam tekst dziesięć razy, konsultowałam z przyjacielem, który specjalizuje się w dawnych mapach, wreszcie z rosyjskim badaczem sowieckiej partyzantki w Ukrainie. No i mamy to! Udało mi się ustalić całą trasę przebytą przez Natana, krok po kroku. Bez żadnych wątpliwości. Czy to ważne? Tak, dla mnie bardzo ważne.

Wciąż szuka pani jeszcze jednej osoby: „Piłsy”, tajemniczej wdowy z Włoch pod Warszawą.

– Jest to jedyna niezidentyfikowana przeze mnie do tej pory postać, która może mieć kluczowe znaczenie. Jej córki lub ich potomstwo mogłoby wnieść do wojennej biografii Leny i jej siostry Feli istotne świadectwa. W książce „Piłsa” to pseudonim

od nazwiska Piłsudskiego. Osoba ta mówiła, że ma jakieś konksje rodzinne z Piłsudskimi, ale sprawdziłam u wnuków Marszałka i takiej osoby w jego najbliższej rodzinie nie ma. Może ktoś z czytających ten wywiad coś skojarzy i naprowadzi mnie na trop.

Co wiadomo o „Piłsie”?

– Oto dane: najwyżej 50-letnia kobieta mieszkająca w czasie okupacji wraz z siedmioma córkami w drewnianym parterowym domu w podwarszawskich Włochach. Parę lat przed wojną zmarł jej mąż, pracownik jednego z ministerstw, może rolnictwa? Była osobą kulturalną, możliwe, że o koligacjach ziemiańskich, katoliczką, zwolenniczką Piłsudskiego, patriotką o profilu pepesowskim. Brała czynny udział w działalności konspiracyjnej, kolportowała bibułę, może przechowywała broń. W 1942 czy 1943 r., wracając z targu, spotkała Felę, siostrę Leny, która pomogła jej nieść plecak z zakupami. Zaczęły rozmawiać, „Piłsa” zobażyła w niej polską patriotkę. Zaprosiła ją, wtedy bezdomną, do siebie jako pomoc przy dzieciach. Potem wystarała się dla Feli o pracę guwernantki w jakimś zaprzyjaźnionym dworze w Sokołowie lub okolicy. Fela następnie dołączyła do partyzantów, zapewne AK-owskich. Stamtąd przysyłała rodzinie „Piłsy” żywność i wiadomości.

Co jest w pani poszukiwaniach najtrudniejsze?

– Wypieranie tej historii przez lokalne społeczności. Niechęć do upamiętnienia czegokolwiek. Zarówno Rabka, jak i Zakopane wciąż próbują udawać, że nic się nie stało. Słyszałam, że „to nie był żaden pogrom, przecież nikt nie zginął”. Że „to były walki naszych bohaterskich wyklętych z UB i Sowietami”, a dzieci oberwały tylko rykoszetem. A tymczasem dokumenty, relacje, badania historyczne zebrane przez dr Karolinę Panz mówią jasno: to były zbrojne ataki na żydowskie dzieci, które przeżyły piekło. Były chore, wyniszczone, przerażone. Rabczanie i Zakopiańczycy powinni być wdzięczni losowi, że nikt wtedy nie zginął, a Lenie – że ostatecznie ochroniła dzieci. A swoją drogą dla mnie, jako pracownicy Uniwersytetu Jagiellońskiego przez ponad 40 lat, jest naprawdę czymś kuriozalnym, że UJ nie zdobył się na postawienie jakiegos upamiętnienia.

A był w ogóle taki pomysł?

– Sprawę ponoć swego czasu rozważano na poziomie Senatu, ale nie podjęto żadnych decyzji. Wiem o tym z relacji osób trzecich, bo ze mną nikt o tym nie rozmawiał. Wstyd, po prostu wstyd. Czego UJ może się bać w Rabce? A strzelanie do nieletnich kuracjuszy to naprawdę haniebna karta uzdrowiska. Chciałabym, żeby relacje tych 12 dzieci przeczytali ci, którzy uważają, że nic takiego się nie stało. Żeby przejrzyli na oczy i zobaczyli, do kogo wtedy strzelano. Niech sobie spróbują wyobrazić własne dzieci czy wnuki w takiej sytuacji. Wciąż na to liczę, że choć niektórzy z negacjonistów i wielbicieli księdza Hojola czy „Ognia” przejrzą na oczy. Jestem naiwna? Pewnie tak. **N**

renata.kim@newsweek.pl

PROF. MAGDALENA SMOCZYŃSKA JEST PSYCHOLINGWISTKĄ I JĘZYKOZNAWCZYNIĄ, SPECJALISTKĄ W DZIEDZINIE ROZWOJU JĘZYKOWEGO DZIECI

CO TAM PANI W POLITYCE

Renata Grochal

Karzący palec prezydenta



Wydawałoby się, że jeśli chodzi o specyficzny „savoir-vivre”, w polskiej polityce już wszystko było. Było nazywanie politycznych przeciwników „mordami zdradzieckimi” i oskarżanie o zabójstwo brata (Jarosław Kaczyński) czy odszczużanie naszej Najjaśniejszej (Marek Kuchciński), które miało być metaforą Polski sprzątej przez PiS z niepotrzebnych śmieci. Było mówienie do dziennikarzy „Sio!” (Waldemar Pawlak), a nawet nazywanie reporterki „małą w czerwonym” (prezydent Lech Kaczyński o Indze Rosińskiej z TVN24).

Nie jest tajemnicą, że urzędujący notable i pomniejsi politycy na państwowych posadach dziennikarzy nie lubią. To się nieco zmienia, gdy tracą władzę i mija syndrom obłożonej twierdzy, wywołany koniecznością niestannego tłumaczenia się z podejmowanych decyzji, co dla demokratycznej władzy winno być czymś naturalnym, a niestety nie jest.

Jednak atak prezydenta Karola Nawrockiego na dziennikarza TVN24 Mateusza Półchłopa jest czymś bez precedensu w relacjach najwyższego przedstawiciela RP z mediami. Czym Półchłop tak wkurzył prezydenta, że skrywane pod dobrze skrojonym garniturem pierwotne instynkty zawładnęły głową państwa? I to do tego stopnia, że Nawrocki niczym ultras Lechii Gdańsk, którym był w młodości, ruszył w kierunku reportera, wyrażając mu palcem i napominając podniesionym głosem, by „się ogarnął” i „słuchał prezydenta Polski!”. Powoli już się przyzwyczajam do tego, że mamy prezydenta, który jest tak upojony własnym majestatem, że mówi o sobie w trzeciej osobie. W końcu „prezydent Polski” brzmi dumnie.

Jednak zastanawiam się, czy – jak radzi Andrzej Ryś – w jednej z ostatnich ilustracji polskiego życia publicznego – na wyposażeniu dziennikarza idącego na konferencję prezydenta, oprócz tradycyjnego notatnika i mikrofonu, powinien być także ochraniacz na zęby? Nie wiem, czy nieustannie tnące koszty polskie redakcje będą chciały zainwestować w specyficzne środki BHP (bezpieczeństwa i higieny pracy) dla pracowników, ale może się to okazać nieodzowne. Wszak co będzie, gdy prezydent przejdzie od słów do czynów i zacznie natrętnym pismakom ręcznie tłumaczyć swoją politykę?

Mówiąc serio, dziennikarze nie są od tego, żeby poprawiać komfort pracy politykom. Politycy nie muszą nas lubić. Powinni jednak odpowiadać na pytania. Na-

wet najbardziej irytujące. Dziennikarze nie zadają pytań dla własnego widzimisię, tylko w imieniu opinii publicznej. Funkcja prezydenta, premiera, posła czy właśnie dziennikarza powinna być służbą społeczeństwu czy – jak woli prawica – narodowi. Prezydentowi Nawrockiemu mogą się nie podobać TVN, „Wyborcza” czy media publiczne. Jednak ich widzów, czytelników ani słuchaczy nie warto obrażać. Jeśli nie z powodu szacunku do współobywateli, to choćby dlatego, że co kilka lat mają głos przy urnie.

Warto cierpliwie tłumaczyć podejmowane przez siebie decyzje. W przypadku wizyty na Węgrzech i przedwyborczego wsparcia dla najbardziej prorosyjskiego polityka w UE, Viktora Orbána, jest o czym mówić. Właśnie dlatego dziennikarz TVN24 zapytał prezydenta, czy nie przeszkadza mu bliska relacja Orbána z Władimirem Putinem. Co się zmieniło od

Wciąż aktualne jest pytanie, dlaczego Nawrocki na trzy tygodnie przed węgierskimi wyborami spotyka się z Orbánem? Czy chodzi o gest wsparcia dla członka putinowskiej międzynarodówki?

grudnia, gdy Nawrocki odmówił spotkania z premierem Węgier, a jego rzecznik tłumaczył, że chwilę wcześniej Orbán spotkał się ze zbrodniarzem Putinem. Czy Putin przestał nagle mordować ukraińskie kobiety i dzieci, że prezydent nagle uznał, iż zażyłość Orbána z rzeźnikiem z Buczy już mu nie przeszkadza? Moment na spotkanie był wyjątkowo niezręczny, gdyż właśnie wyszło na jaw, że współpracownik Orbána, minister spraw zagranicznych Węgier, donosił o tym, co się dzieje na unijnych szczytach w Brukseli, szefowi rosyjskiego MSZ.

Wciąż aktualne jest pytanie, dlaczego Nawrocki na trzy tygodnie przed węgierskimi wyborami spotyka się z Orbánem, który po raz pierwszy od lat może przegrać elekcję? Czy chodzi o gest wsparcia dla członka putinowskiej międzynarodówki? I czy to suwerenna decyzja Nawrockiego, który przecież tyle mówi o suwerenności. Czy może prosił go o to jego amerykański protektor Donald Trump, który wcześniej wsparł Orbána, licząc na to, że jednak przetrwa on u władzy i dalej będzie rozbił Unię Europejską od środka? **N**

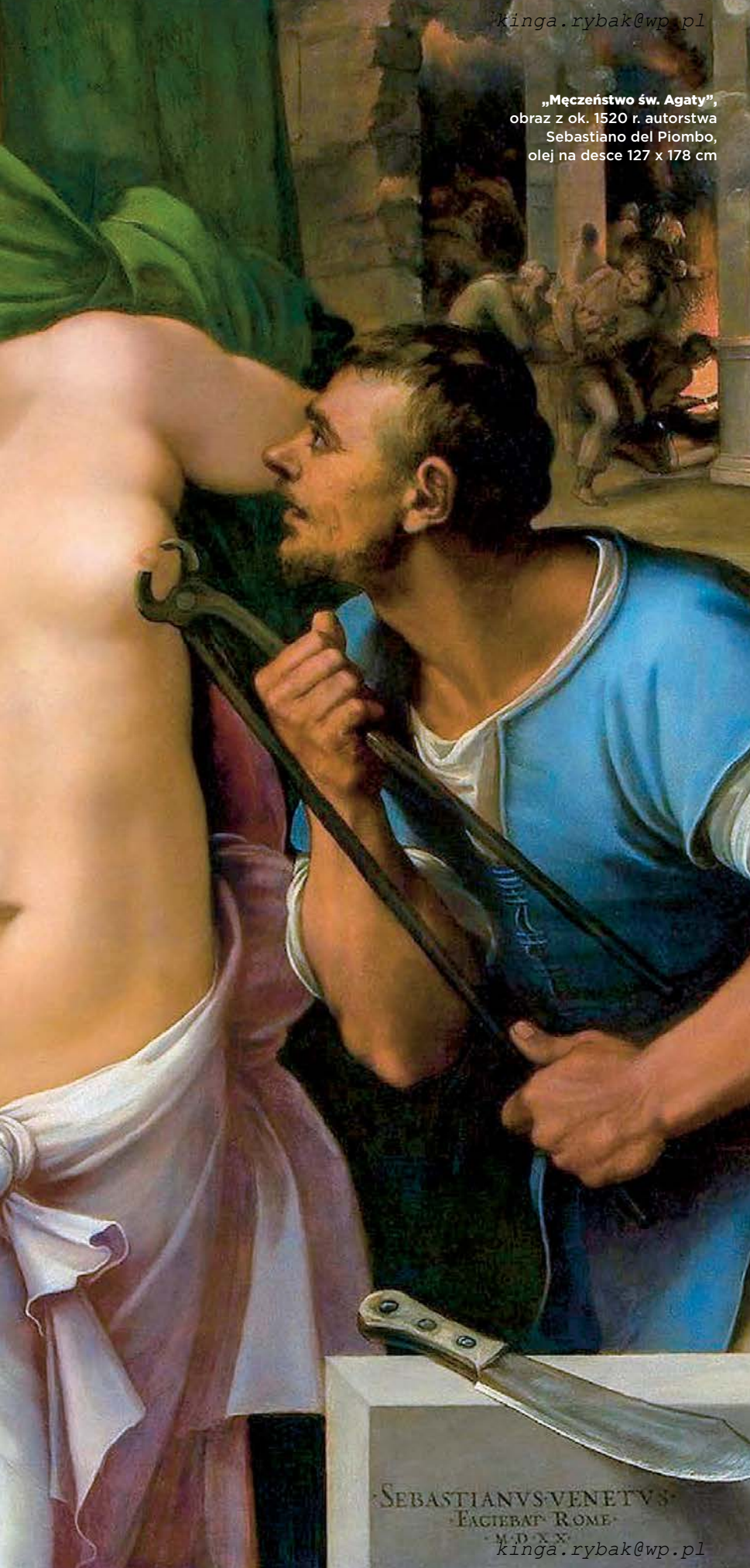
BEZ MĘCZENNIKÓW NIE BYŁOBY POTĘGI KOŚCIOŁA

Neron nie był taki zły

Uważani byli za szaleńców i samobójców,
bo wielu z nich dążyło do męczeńskiej
śmierci na wzór Chrystusa i fanatycznie jej
pragnęło, by udowodnić siłę swej wiary

TEKST KRZYSZTOF VARGA

„Męczeństwo św. Agaty”,
obraz z ok. 1520 r. autorstwa
Sebastiano del Piombo,
olej na desce 127 x 178 cm



Każdy chrześcijański kraj ma swoich świętych męczenników, bo stanowią swoisty znak jakości lokalnego Kościoła. U nas dwóch najważniejszych jest patronami Polski – św. Wojciech i św. Stanisław ze Szczepanowa. Do tego panteonu należy dopisać św. Andrzeja Bobolę, Pięciu Braci Męczenników z 1003 r., a także 49 dominikanów z Sandomierza zamordowanych w czasie najazdu tatarskiego w 1260 r.

DZIWACY I WICHRZYCIELE

DLA SIŁY I ZNACZENIA KOŚCIOŁA W ŚWIECIE, także politycznego, najważniejsza była jednak ofiara tych, którzy ponieśli śmierć za rządów cesarzy rzymskich.

Dzięki „Quo vadis” żyjemy w przekonaniu, że najstraszliwsze prześladowania zdarzyły się w czasach Nerona. Już 20 lat przed powieścią Sienkiewicza powstał obraz Henryka Siemiradzkiego „Pochodnie Nerona”, na którym cesarz z wrednym wyrazem twarzy spogląda na chrześcijan zawiniętych w kokony z chrustu i przytwierdzonych do pali, a niewolnicy za chwilę podłożą ogień. Ale to nie zmarły w 68 r. Neron najbardziej „zasłużył” się w tępieniu nowej religii.

Dopiero Trajan na początku II w. dał „podkładkę” pod przyszłe zorganizowane pogromy, decydując, że „sam fakt bycia chrześcijaninem” (nomen christianorum) zasługuje na karę. W tym momencie każdy, kto wierzył w Chrystusa, miał szansę na szybką ścieżkę do zbawienia poprzez męczeńską śmierć.

Pierwsze potężne prześladowania przeprowadzono za Decjusza i Waleriana w III w., a największe masakry rozpoznał edykt Dioklecjana z 303 r.

Wyznawcy nowej religii długo byli uważani w najlepszym razie za dziwaków, w gorszym za niebezpiecznych wichrzycieli. Nie uczestniczą w życiu społecznym, nie bywają w teatrach ani w świątyniach, alienują się od innych, ale w swoim gronie spotykają się po kryjomu, gdzie odprawiają tajemnicze i groźne misteria, podczas których spożywają krew i ciało. A więc może są kanibalami? Zabijają dzieci? Praktykują kazirodztwo?

FOT. GALLERIA PALATINA FLORENCJA/WIKIMEDIA

SEBASTIANVS VENETVS
FACIEBAT ROME
M D XX

Można zrozumieć zwykłych Rzymian, do których docierały przerażające pogłoski o nabożeństwach, tak jak nami wstrząsają medialne doniesienia o satanistycznych kultach. Oto pojawiła się nowa religia, która nie chce koegzystować z dawnymi wierzeniami, ale pragnie je zniszczyć.

Lawina nieszczęść, które spadały na cesarstwo – najazdy barbarzyńców, epidemie, klęski w wojnach zewnętrznych i nieustający kryzys wewnętrzny – musiała być gniewem i zemstą bogów. A kto rozgniewał bogów, jak nie ci, którzy ich nienawidzą, bo mają swojego własnego?

Jeden z najważniejszych teologów wczesnochrześcijańskich Tertulian w swoich „Apologetykach” zapisał, że kiedy tylko coś złego zdarzy się w Imperium Rzymskim, natychmiast słychać głos: „Chrześcijan lwom na pożarcie!”.

Nie pomagali sobie sami chrześcijanie. Ich religia miłości i pokoju zarazem była religią apokaliptyczną. Opowiadali o zbliżającym się końcu świata, a Rzym widzieli jako wielką nierządnicę babilońską, na co zwraca uwagę ks. Marek Starowieyski, wybitny specjalista od wczesnego chrześcijaństwa.

CHRYSTUS Z GŁOWĄ OSŁĄ

PIERWSZE, CHOĆ SZCZĄTKOWE, WZMIANKI O PRZEŚLADOWANIACH pochodzą z czasów Klaudiusza, który według „Żywotów cesarów” Swetoniusza „żydów wypędził z Rzymu za to, że bezustannie wicherzyli, podlegani przez jakiegoś Chrestosa”. Śmierć owego „Chrestosa” była w chwili, gdy zawisnął na krzyżu, wydarzeniem marginalnym, stąd Swetoniusz mógł pisać o „jakimś Chrestosie”, choć nawet nie wiedział, że ten już nie żyje. I pamiętajmy, że nie tylko przeciętny Rzymianin, ale nawet ludzie uczeni nie odróżniali wówczas żydów jako wyznawców judaizmu od chrześcijan.

Religia rzymska była synkretyczna i Rzymianie do panteonu bogów chętnie dorzucali nowych. Byliby nawet skłonni włączyć pomiędzy Jowisza, Marsa i Wenus nowego boga chrześcijan, kompletnie nie rozumiejąc, że to dla jego wyznawców nie do przyjęcia. Nie mogąc pojąć, że chrześcijanie odmawiają skła-

dania ofiar bogom rzymskim, zaczęli podejrzewać ich o wszystko, co najgorsze.

Najwcześniejsze relacje dotyczące męczeństwa chrześcijan pochodzą z połowy II w., czyli spalenia na stosie św. Polikarpa, najprawdopodobniej w 167 r., oraz św. Justyna, ściętego mieczem mniej więcej w tym samym czasie. A także pogrom w Lyonie w 177 r., gdy tłum zabił kilkudziesięciu chrześcijan. Plotki o ich kanibalizmie, ale też prawdziwe wiadomości, że nie wierzą w obowiązujących bogów, a poza tym to, że pochodzili zazwyczaj z Grecji, spowodowały wrogość tłumy i napaści na nich. Władze

Rzymianie byliby nawet skłonni włączyć pomiędzy Jowisza i Marsa boga chrześcijan, kompletnie nie rozumiejąc, że to dla jego wyznawców nie do przyjęcia. Zaczęli więc podejrzewać ich o wszystko, co najgorsze

rzymskie zareagowały... aresztowaniami chrześcijan. Część z nich zamęczono w miejskim amfiteatrze.

Ksiądz Starowieyski zwraca uwagę na coś, co nazywa „prześladowaniami kulturowymi”. Wyśmiewano się z chrześcijan, prostytutkom kazano przyznawać się do tego, że są chrześcijankami, mimo że nimi nie były, a chrześcijanka stawała się synonimem kobiety uprawiającej nierząd. Wystawiano przedstawienia parodiujące chrześcijańskie obrzędy, a najsłynniejszą karykaturą stał się wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa z głową osłą.

I znów rygorystyczny moralny nie pomagał chrześcijanom. Uciekanie przed prześladowaniami wśród najbardziej zagorzałych wiernych uznawano za wyparcie się wiary. Szczególnie surowi byli tzw. mon-

taniści, uparcie dążący do męczeństwa, zapowiadający rychły koniec świata, nieuznający hierarchii kościelnej, krytykujący tych, którzy nie poddają się postom ani umartwianiu.

STARYM BOGOM OGAREK

CZASAMI WYSTARCZYŁO BYĆ SZEREGOWYM WYZNAWCĄ CHRYSTUSA, by uniknąć kary, gdy władza skupiała się na aresztowaniu biskupów i diakonów. Bywały jednak okresy, gdy wyłapywano wszystkich, chętnie korzystając z płatnych denuncjacji.

Zdumiewająca była sytuacja żołnierzy-chrześcijan, a takich w armii służyło niemało. Dopóki wszyscy wiedzieli, że w ich legione czy kohorcie są znani z imienia chrześcijanie, nikt ich nie niepokoił. Kiedy jednak ktoś doniósł służbom cesarskim, że tacy a tacy wyznają wiarę w Chrystusa, ich los był przesądzony. Najsłynniejszym przykładem masowego męczeństwa jest los 40 żołnierzy w XII legione, którzy w 320 r. odmówili składania ofiar starym bogom. Rozebrano ich do naga i wystawiono na mróz, gdzie skonali z zimna.

Pojmanych chrześcijan zazwyczaj nie zabijano od razu, ale wtrącano do więzień, gdzie głodujący i często zakuci w dyby mieli zmięknąć i wyrzec się wiary. Wystarczyło oddać cześć jakiemuś bóstwu albo cesarzowi, zapalić kadzidło w świątyni, oddać naczynia i księgi liturgiczne, by uniknąć kary. Sędziowie potrzebowali dobrych statystyk odstępstw od chrześcijaństwa, dlatego szli podsądnym na rękę i byli gotowi nawet przytknąć oko na pozorowane wyrzeczenie się Chrystusa.

Sędziowie kompletnie nie rozumieli zachowania chrześcijan i – jak pisze Starowieyski – uważali ich za fanatyków i samobójców. Poniekąd słusznie. Czy tak samo nie odbieralibyśmy dziś wierzących, powiedzmy, w boga przybyłego z planety Nibiru, którzy woleliby straszną śmierć niż akceptowalne przez sędziego kłamstwo, że nie wierzą w to kosmiczne bóstwo?

Oczywiście byli tacy, którzy pękli – złożyli ofiary rzymskim bogom bądź spożyli mięso zwierzęcia ofiarnego i dostali tab-

liczkę z wyrokiem uniewinnienia. Nazywano ich „lapsi”, czyli „upadli”. Gdy jednak prześladowania minęły, większość z nich wracała do Kościoła.

Swoistą elitą stali się tzw. wyznawcy, którzy przeżyli cudem tortury i nie zaparli się wiary. Stali się obiektem podziwu, ale zaczęli wywyższać się ponad współbraci, uważając się za lepszych moralnie. Chcieli decydować o tym, kto z „upadłych” może wrócić do Kościoła, choć była to prerogatywa biskupów.

ŚWIĘTE DZIEWICE MĘCZENNICE

NIE WSZYSTKICH PALONO NA STOSIE CZY RZUCANO LWOM NA POŻARCI. Wielu skazanych lądowało na zesłaniu, szczególnie w kopalniach siarki czy kamieniołomach, skąd niemal nikt żywcem nie wracał. Kobiety z lubością wysyłano do domów publicznych, przede wszystkim te, które ślubowały dziewictwo.

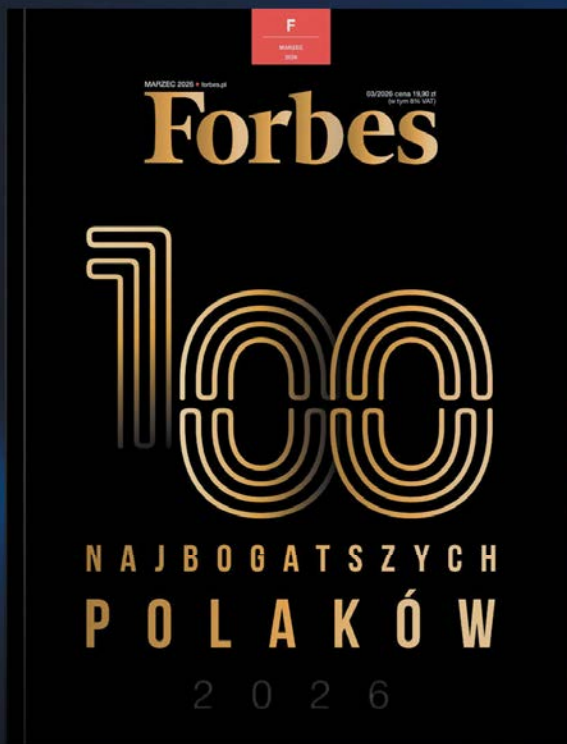
Deklaracja dziewictwa wśród wyznawczyń Chrystusa była powszechna, bo stanowiła rodzaj ascezy. A życie w ascezie było najbardziej pożądanym modelem ziemskiej egzystencji czekających na życie wieczne. To, że tylu ludzi świadomie poszło na straszną śmierć, ksiądz Starowieyski tłumaczy tym, że przez długie lata ćwiczyli się w ascezie. Ich ciała były już na to w pewnym sensie przygotowane.

Kult św. Agnieszki, o której życiu wiemy bardzo niewiele, za to o jej kulcie bardzo dużo, opierał się właśnie na tym, że zginęła jako dziewica, najprawdopodobniej na początku IV w. Wśród katolików to postać wyjątkowo popularna, wokół której stworzono całą kulturę, a swoją wiedzę o niej opieramy na dwóch tekstach pisanych kilkadziesiąt lat po jej egzekucji – papieża Damazego oraz św. Ambrożego. Nawet to, że zginęła w cza-

sie prześladowań za cesarza Dioklecjana, jest wyłącznie prawdopodobną możliwością. A jednak jej imię stało się jednym z najchętniej nadawanych dziewczynkom, o rozlicznych kościołach, wizerunkach, a nawet przysłowiach ludowych z nią związanych nie wspominając.

Podobnie św. Łucja z Syrakuz, której prawdziwy życiorys jest tak bardzo szczątkowy, że trzeba było zbudować wokół niej całą apokryficzną opowieść. Oto Łucji miała się ukazać św. Agata – zanim rzucono ciało Agaty na rozpalone węgle, to obcięto jej piersi, stąd dzisiaj jest patronką chorych na raka piersi – i przepowiedzieć młodziutkiej dziewczynie męczeństwo. Łucja właśnie dlatego, że ślubowała dziewictwo, została jakoby zesłana do domu publicznego, gdzie sama sobie wyłupiła oczy, by nie być atrakcyjną dla klientów, a następnie została zdekapitowana.

REKLAMA



Roczna prenumerata prasowa a w prezencie:

**13. DODATKOWE
WYDANIE MAGAZYNU**
i dostęp do  onet premium

Zeskanuj i zamów z bezpłatną dostawą za 229 zł

Jesteś zainteresowany ofertą pakietu prenumerat dla biznesu? Skontaktuj się z nami, przygotujemy indywidualną propozycję dla Twojej firmy:

Sylwia.Kowalska@ringieraxelspringer.pl
tel: 573 804 961





„Ukrzyżowanie św. Piotra” Caravaggia (1600-1601). Olej na płótnie 230 x 175 cm

ŚWIĘTY FLORIAN CHCE DO POLSKI

MĘCZENSTWO DAWAŁO PEWNE PROFITY NA PRZYSZŁOŚĆ. Łatwiej było zostać patronem, tak jak św. Apolonia, dziewica z Aleksandrii, której wybito wszystkie zęby, jest dziś patronką dentystów. Mogła zachować życie, pod warunkiem że wyrzeknie się wiary przed podpalonym już stołem, ale nie wyrzekła się i sama wskoczyła w ogień.

Święty Ignacy, biskup Antiochii, w 107 r. znalazł śmierć, mając ponad 70 lat, choć lwy nie zjadły go w całości. Święty Wawrzyniec został w 258 r. w Rzymie żywcem upieczony na ruszcie. Była nawet możliwość ściągnięcia do Polski jego relikwii, ale szczątki nie chciały do naszego kraju. Święty Szczepan też wolał zostać w Rzymie. Tylko zamęczony w 304 r. św. Florian się zgodził.

A było to tak, że w 1183 r. biskup krakowski Gedka, zaprzyjaźniony z papieżem Lucjuszem III, poprosił o obdarowanie Polski jakimś świętym męczennikiem, bo nam ich – w przeciwieństwie do srebra i złota – brakuje. Papież wraz ze swoimi kardynałami i polskim poselstwem udali się do Bazyliki św. Wawrzyńca i otworzyli grób męczennika. Lucjusz lekko dotknął pastorałem zwłok Wawrzyńca, ale ten natychmiast odwrócił głowę. Także Szczepan – pierwszy chrześcijański męczennik w dziejach, ukamienowany około 35 r., na długo przed ukrzyżowaniem głową w dół św. Piotra – również odwrócił głowę, bo nie chciał do Polski. Zafrasowany papież powiedział do Polaków: „Oto synowie, widzicie wolę Bożą. Mamy tu dwóch wybitnych męczenników i jednego chcielibyśmy wam

podarować, ale żaden z nich nie wyraził na to zgody. Pod obydwoma spoczywa św. Florian, którego jednak z obawy przed Rzymianami nie odważyliśmy się dotykać, gdyż jaśniej on w Rzymie licznymi cudami niż którykolwiek z tych dwóch”. I wówczas nastąpił cud największy: św. Florian wyciągnął z grobu rękę z napisem „Ja chcę do Polski”. Zamaskowane gałęziami i liśćmi zwłoki, by nikt z Rzymian się nie zorientował, dotarły do Krakowa i Florian patronuje strażakom i kominiarzom.

POPMECZENSTWO

CHRZEŚCIJANIE MUSIELI TEŻ GINAĆ, bo wymagał tego show-biznes tamtych czasów. Lud rzymski wciąż domagał się igrzysk, lubując się w jatkach na arenach amfiteatrów. Stąd spore zapotrzebowanie na ludzi, których można rzucić jako karmę dla dzikich zwierząt. A na gladiatorów chrześcijanie się nie nadawali, bo nawet jeśli umieli walczyć bronią, to trzymali się przykazania „nie zabijaj”.

Tragiczne losy ofiar prześladowań narodziły literaturę hagiograficzną, a malarze od średniowiecza do baroku wręcz lubowali się w przedstawianiu alegorycznych wizji cierpień świętych. Samych obrazów przedstawiających obcinanie piersi św. Agaty, wrywanie ich obcęgami albo Agatę z tacy, na której leżą amputowane piersi, można znaleźć mnóstwo.

Kult męczenników wywołał szaleństwo na punkcie ich relikwii, które wynaturzyło się w handel i fałszowanie bądź kolekcjonowanie resztek po gwiazdach chrześcijaństwa. Relikwie wykradano, podrabiano, toczono o nie wojny, bo stanowiły swoistą walutę tamtych czasów: dawały prestiż, poczucie siły, roztaczały nad ich posiadaczami opiekę, przynajmniej psychologiczną. Do dziś w różnych kościołach na świecie jest więcej zębów św. Apolonii, niż normalny człowiek ma w jamie ustnej. **N**

krzysztof.varga@newsweek.pl

KORZYSTAŁEM Z KSIĄŻKI „MĘCZENNICZY PIERWSZYCH WIEKÓW CHRZEŚCIJAŃSTWA” POD REDAKCJĄ KS. MARKA STAROWIEYSKIEGO, WYDAWNICTWO WAM

MOJE TYPY

Sławomir Sierakowski

Geografia lubi się powtarzać



Tak nazywał się cykl prac Wilhelma Sasnała sprzed równo 20 lat. Zderzał on motyw wiosny – czasu odrodzenia i lekkości – z obrazami wojny, przemocy i zagrożenia, bardzo charakterystycznie dla jego twórczości łączące współczesne doświadczenie z pamięcią o konfliktach i Zagładzie. W typowy dla Sasnała sposób nie chodziło tam o ilustracyjne sceny bitewne, tylko o obrazy sygnały: krajobrazy, detale, pojedyncze gesty, które stają się nośnikami lęku i świadomości, że „wojna” nigdy naprawdę nie znika z pola widzenia – tylko zmienia formę. Ten sposób myślenia obecny jest w malarstwie Sasnała od przełomu lat 90. i 2000., ale najmocniej wybrzmiał w pracach pokazywanych w Zachęcie („Lata walki”), a potem w dużych przekrojowych wystawach, jak niedawna „Taki pejzaż” w Polin w 2021 r.

Nawet prosty wskaźnik nastrojów społecznych, zwany Instagramem, pokazuje na zmianę, że jest wiosna i że jest wojna. Gdy cieszymy się powrotem słonecznych dni, łatwo zapomnieć, że nigdy po 1945 r. nie było bliżej kolejnej wojny światowej niż obecnie. Toczy się na świecie niemal 70 konfliktów zbrojnych, najwięcej od 1946 r. Global Peace Index 2025 przekracza szczyty z zimnej wojny. Trwa wyścig zbrojeń. Polską debatę nie bez powodu zdominował temat zakupów broni. Nikt już nie ma czasu na Smoleńsk.

Mało kto zauważył, że w lutym wygasł New START, ostatni duży traktat prawnie ograniczający strategiczne arsenały nuklearne USA i Rosji. Najbardziej zapalne rejony: wokół Ukrainy, Iranu i Tajwanu właśnie zaczynają łączyć się w jeden. Amerykańska prasa ujawniła, że Rosja pomaga Iranowi nie tylko wywiadowczo (chcąc to przehandlować z USA za zastosowanie analogicznej pomocy Ukrainie), ale także dostarczając broń i odwiedzając się za Shahedy. Tajwan ostrzega, że Chiny mogą wykorzystać rozproszenie uwagi USA przez wojnę na Bliskim Wschodzie. Pod koniec 2025 r. przeprowadziły wokół Tajwanu największe dotąd manewry, ćwicząc de facto blokadę wyspy, a w marcu 2026 r. ogłosiły jeszcze 7-procentowy wzrost budżetu obronnego.

Świat się zamienia w bloki. Gęstnieje sieć powiązań między państwami skonfliktowanymi z Zachodem. Korea Północna ogłosiła właśnie swój nuklearny program za nieodwracalny. Może już oficjalnie przyznawać, że wysłała wojska do Rosji. Chiny i Rosja

przeprowadziły w grudniu 2025 r. trzecie wspólne ćwiczenia antyrakietowe, a w styczniu 2026 r. Chiny, Rosja i Iran rozpoczęły wspólne manewry morskie w formule BRICS Plus. Blok antyzachodni się konsoliduje.

Ukraina jest blisko, ale Iran chyba daleko... No to idźmy za filozofią detalu, krajobrazu, gestu Sasnała. Iran jest bliżej, niż nam się wydaje, i to nie tylko w sensie zasięgu rakiet czy czasu lotu samolotu. Nazwy rzek, które znamy z podręczników i map – Dniepr, Don, Dniestr – wywodzą się z irańskiego rdzenia dānu – „rzeka” – oraz z dawnych złożań typu „rzeka daleka” i „rzeka bliska”, z których językoznawcy wywodzą dzisiejsze brzmienia Dniepr i Dniestr. Don – „po prostu rzeka” w językach irańskich – należy do tej samej rodziny, co Dunaj, który znaczył „niebieskozielona rze-

Gdy cieszymy się powrotem słonecznych dni, łatwo zapomnieć, że nigdy po 1945 r. nie było bliżej kolejnej wojny światowej niż obecnie

ka”. Zanim zaczęliśmy mówić „Europa Wschodnia”, „Ukraina” czy „Unia Europejska”, przez tę część kontynentu przeszła fala ludów irańskich, zostawiając swoje nazwy w miejscach, które wydają nam się tak bardzo bliskie.

Ślady tej dawnej irańskości sięgają zresztą bliżej, na obszar dzisiejszej Polski. Mamy nie tylko „perskie” rzeki na wschodzie, lecz także całą rodzinę nazw typu Majdan, Majdanek itp. – od perskiego maydan, czyli plac. Majdanek to jeden z symboli Zagłady, która jest centralnym motywem twórczości Sasnała. Majdan to symbol ukraińskiej walki o niepodległość.

Znowu trwa zażarta walka o pokój. Na razie Iran rozszerza wojnę na całą Zatokę Perską, rujnując tamtejszy model nowoczesności. Wcale nie zależy mu na zakończeniu wojny, bo nie chce kolejnej. Cena ma być zaporowa. Już nie tylko ropa, ale też nawozy, pierwiastki rzadkie, żywność, a więc handel i chlebem, i półprzewodnikami zagrożony. Licząca kilka tysięcy lat cywilizacja miałaby zostać zdmuchnięta przez 250-letnią, ale nie zostanie. Iran to nie Irak, chyba że dla Stanów Zjednoczonych. Taki pejzaż.

Historia lubi się powtarzać. Geografia też. **N**

Sławomir Sierakowski jest współzłożycielem „Krytyki Politycznej”, szefem rady programowej konferencji Impact, socjologiem, publicystą





Amerykański prezydent
Donald Trump,
Waszyngton, 2025 r.

TRUMP TEŻ TROPI UFO

Pentagon i kosmici

Zdjęcia statku kosmicznego obcych mają się znaleźć wśród rządowych raportów, które kazał ujawnić Donald Trump. Naukowcy wątpią, by dokumenty rozstrzygnęły kwestię tego, **czy odwiedzają nas nieznani bracia**

TEKST PIOTR MILEWSKI NOWY JORK

Departament Wojny dysponuje fotografiami latającego obiektu, który nie przypomina żadnego urządzenia znanego ludzkości – twierdzi były podsekretarz obrony ds. wywiadu Christopher Mellon. Wtóruje mu obecny dyrektor CIA John Ratcliffe, podkreślając, że satelity zarejestrowały, jak tajemniczy obiekt „dokonuje manewrów niedających się wyjaśnić przy obecnym stanie wiedzy i niemożliwych do powtórzenia z braku adekwatnych technologii”.

Prezydent Trump, zapowiadając decyzję o odtajnieniu akt, uznał, że „nada ona zupełnie nowy wymiar debacie na temat obcych cywilizacji, UFO oraz innych zjawisk wchodzących w zakres tej niezwykle złożonej problematyki”. Innymi słowy: władza buduje napięcie ni-

czym Hollywood przed premierą bardzo kosztownego letniego hitu. Powiedzmy, o kosmitach właśnie.

WINA OBAMY

ADMINISTRACJA ZAREJESTROWAŁA witryny Alien.gov i Aliens.gov, które chwilowo zieją isticie kosmiczną pustką – wyszukiwarka nawet ich nie otwiera. Rzeczniczka Białego Domu Anna Kelly, spytana dlaczego, odparła: „Prosimy o cierpliwość”. Będzie potrzebna, bo realizację prezydenckiego dekretu nadzoruje szef Pentagonu Pete Hegseth, którego wojna z Iranem niewątpliwie odciągnęła od tematyki UAP (niezidentyfikowane zjawisko powietrzne – oficjalna nazwa UFO). Trump kazał ujawnić wszystko, co rząd wie, po tym, jak Barack Obama wywołał medialną burzę, mówiąc podcasterowi Brianowi Tylerowi Cohenowi,

że „wierzy w istnienie życia poza Ziemią, ale nie widział dowodów potwierdzających przypuszczenia”.

Obsesyjnie nienawidzący poprzednika Trump najpierw oskarżył go o bezprawne ujawnienie tajemnicy państwowej, a następnie pozazdrościł rozgłosu. Decyzję wydał „wskutek ogromnego zainteresowania sprawą”. Choć też nie do końca, ponieważ Kongres przyjął rok temu ustawę o transparentności informacji na temat UAP (UAP Transparency Act), która zobowiązuje prezydenta do odtajnienia całej rządowej dokumentacji i opublikowania jej w internecie przed upływem 270 dni. Ustawodawcy drążą temat od ponad sześciu lat. Szczególnie republikanin Tim Burchett z Tennessee inicjujący kolejne przesłuchania na Kapitolu.

„Chodzi o bezpieczeństwo żołnierzy i narodowe interesy USA – tłumaczył

Burchett dziennikarzom. – Nasi liderzy przez dekady arogancko tuszowali fakty, zakładając, że obywatele są zbyt głupi, by powiedzieć im prawdę”. Zaproszony przez reprezentanta Tennessee na posiedzenie kongresowej komisji nadzoru rządu były major Narodowej Agencji Wywiadu Geoprzestrzennego (NGA) i supertajnego Narodowego Biura Rozpoznania (NRO) David Grusch zeznał pod przysięgą, że władze dysponują ciałami kosmitów oraz ich statkiem. Wprawdzie rozbitym, lecz eksperci zdołali opracować na bazie szczątków technologii, które przekazali kompleksowi militarno-przemysłowemu.

Były agent nie chciał publicznie skomentować wcześniejszych enuncjacji, jakoby służby specjalne mordowały Amerykanów zaangażowanych w badania nad UFO i pragnących ujawnić prawdę. Obiecał, że straszliwą wiedzę podzieli się w specjalnej komorze informacji poufnej (Sensitive Compartmented Information Facility). Uniemożliwia ona obserwację z zewnątrz, podsłuch klasyczny tudzież elektroniczny, a także pokonanie zabezpieczeń cyfrowych przez hakerów.

Prócz Gruscha o bliskich spotkaniach z UAP opowiadali kongresmenom emerytowani piloci marynarki wojennej David Fravor i Ryan Graves. Pierwszy pełnił służbę na lotniskowcu USS Nimitz u wybrzeży Kalifornii. Jesienią 2004 r. dostrzegł owalny obiekt długości ok. 12 m poruszający się z zawrotnym przyspieszeniem. Porucznik Graves widział podobne zjawiska dekadę później, stacjonując w położonej koło Virginia Beach bazie Oceana. Twierdzi, że „ciemnoszary bądź czarny sześcian umieszczony wewnątrz przezroczystej kuli” wleciał między dwa patrolujące wybrzeże samoloty F-18 i zmusił je do ucieczki.

Według Gravesa takie zdarzenia mają miejsce bardzo często, ale piloci nie chcą ich zgłaszać, by nie narazić się na kłopoty, np. dodatkowe badania okulistyczne lub psychiatryczne. Porucznik dodał, że Pentagon rutynowo utajnia zapisy wideo niewytłumaczalnych zjawisk, „jeszcze bardziej zaciemniając obraz sytuacji i podsycając społeczną nieufność wobec rządu”. Wojskowi zgodnie powtarzali,

że UAP zdają się dysponować niewyczerpanymi źródłami zasilania i mogą przez cały dzień wykonywać błyskawiczne zwroty wymagające niebywałej mocy oraz skutkujące ogromnymi przeciążeniami. Nie sprecyzowali, czy świadczy to o tym, że mamy do czynienia z urządzeniami bezzałogowymi, czy raczej o nieludzkiej wytrzymałości istot znajdujących się na pokładzie.

TECHNOLOGIA Z ROKU 3026

W 2007 r. WYWIAD WOJSKOWY (DIA) utworzył Program Identyfikacji Zaawansowanych Zagrożeń Przestrzeni



Ciemnoszary bądź czarny sześcian umieszczony wewnątrz przezroczystej kuli wleciał między dwa samoloty F-18 i zmusił je do ucieczki

– OPOWIADAŁ KONGRESMENOM PORUCZNIK RYAN GRAVES, EMERYTOWANY PILOT MARYNARKI WOJENNEJ

Powietrzno-Kosmicznej (AATIP). Dekadę później kierujący nim Luis Elizondo zrezygnował z funkcji. Ponoć nie mógł dłużej godzić się na ukrywanie przed opinią publiczną mrojących krew w żyłach faktów. Dziennikarzom „New York Timesa” powiedział, że zagrożenie jest większe, niż sądzimy, bo zdarzały się m.in. przypadki zakłócania przez UAP systemów kontroli amerykańskich instalacji jądrowych. „Mamy do czynienia z technologią o wiele generacji bardziej zaawansowaną niż nasza – orzekł Elizondo. – Nie potrafimy nawet ustalić, czy chodzi o 50, czy 1000 lat różnicy”.

Obama, który miał dostęp do najpilniej strzeżonych tajemnic, przyznał, że

istnieją zapisy wideo dowodzące istnienia tajemniczych obiektów, lecz „nie wiemy, czym są, jakim sposobem się poruszają ani dlaczego wybierają niezrozumiałe z naszego punktu widzenia trajektorie”. Obecny sekretarz stanu Marco Rubio jako szef senackiej komisji wywiadu włączył nakaz ujawnienia raportów do ustawy budżetowej. Wyjaśniał, że rząd boi się ośmieszyć, traktując poważnie problem zielonych ludzików, tymczasem musi on „zostać kompetentnie i wyczerpująco zbadany, skoro osoby, którym powierzyliśmy obronę kraju, napotykać statki powietrzne o parametrach deklasujących nasz sprzęt”.

W rezultacie światło dzienne ujrzał raport Grupy Zadaniowej ds. Niewytłumaczonych Zjawisk Powietrznych potwierdzający, że UAP stanowią obiekty materialne, a nie zjawiska świetlne, złudzenia optyczne lub przywidzenia. Wśród 144 niepokojących meldunków, które składali piloci wojskowi w latach 2004-2021, tylko jeden udało się wyjaśnić prosto i banalnie – instrumenty pokładowe zgłupiały za sprawą uszkodzonego balonu. 18 obiektów wykazywało cechy świadomie sterowanych urządzeń latających. „Nie ulegały prądom atmosferycznym, poruszały się pod wiatr, wykonywały skomplikowane manewry z dużą prędkością przy braku widocznych źródeł napędu”.

Ekspert odrzucili tezę, że chodzi o eksperymenty obcych armii z nowymi rodzajami broni. Potwierdzili natomiast, że piloci nie ulegali złudzeniom, a jednoczesne zakłócenie wszystkich układów namierzających – radarów, termowizorów, celowników elektrooptycznych itd. – nie wchodzi w grę, bo działają autonomicznie. Nieujawnione dotychczas materiały wideo wskazują, że obiekty różniły się kształtem i wielkością, a nietypowe trajektorie „mogły stanowić efekt wykorzystania zaawansowanych technologii”. Najczęściej ukazywały się w okolicach baz morskich i lotniczych, powodując ryzyko zderzenia z samolotami wojskowymi i pasażerskimi.

Po odejściu Elizondo AATIP kierował wspomniany Chris Mellon. Wcześniej jako kierownik departamentu nadzo-

rującego wywiad wojskowy nie tylko sortował informacje o kluczowym znaczeniu dla bezpieczeństwa kraju, ale także uczestniczył w planowaniu operacji służb specjalnych. Trudno przypuszczać, że tego typu zadania wykonywał za rządów dwóch prezydentów – Billa Clintona i George’a W. Busha – ktoś niezrównoważony psychicznie. Chyba że odbiło mu właśnie od nadmiaru tajemnic. Tak czy inaczej zrobił to, co poprzednik. Zrezygnował z funkcji, a następnie opublikował w „Washington Post” alarmujący tekst „Wojskowi wciąż napotykają UFO. Czemu Pentagon udaje obojętność?”.

REWOLUCJA W ASTRONOMII

ZA MĄDRZEJSZYMI I SZLACHETNIEJSZYMI kosmicznymi braćmi, którzy wyciągną ku nam pomocną dłoń, tęsknimy od zarania dziejów. Już Demokryt i Epikur uważali, że we wszechświecie kogezystuje ogromna liczba cywilizacji. Średniowieczni teologowie snuli przypuszczenia, że Jezus odwiedził wszystkie światy, by zbawić ich mieszkańców. Współcześni naukowcy uważają wręcz za nieprawdopodobne, by życie powstało tylko na Ziemi.

Kosmitów zaczął szukać w 1960 r. Frank Drake z Cornell University. Badania zwane Projektem Ozma (od imienia księżniczki władającej Krainą Oz) prowadził przy użyciu radioteleskopu o średnicy 26 m umieszczonego w Green Bank (Wirginia Zachodnia). Analizował szum radiowy z okolic gwiazd Tau Ceti i Epsilon Eridani, które dzieli od Słońca odpowiednio 10,5 i 11,9 lat świetlnych. Wybrał 7200 kanałów (zakresów) o szerokości 100 Hz rozłożonych wokół centralnej częstotliwości 1420 MHz. Nagrywał sygnały na kasety magnetofonowe, które odsłuchiwał przez standardowy głośnik, szukając sekwencji bądź modulacji.

Drake stworzył także używany do dziś algorytm, który pozwala określić, ile zaawansowanych technologicznie cywilizacji może istnieć w naszej Galaktyce. Wziął pod uwagę potencjał komunikacyjny obcych, szybkość powstawania gwiazd i odsetek tych, które mają planety, średnią liczbę planet

znajdujących się w ekosferze gwiazdy, procent ciał niebieskich należących do ekosfery oraz biologicznie aktywnych, odsetek zamieszkałych przez istoty rozumne, średni czas istnienia cywilizacji oraz kilka innych czynników. Zależnie od przyjętych wielkości wynik oscylował między 1 a 250 tys.

Nowe technologie kompletnie zmieniły parametry równania, bo planet jest znacznie więcej, niż zakładał Drake. Prawdziwszy obraz wszechświata poznaliśmy dzięki teleskopowi Hubble’a,

”

Mamy do czynienia z technologią o wiele generacji bardziej zaawansowaną niż nasza. Nie potrafimy nawet ustalić, czy chodzi o 50, czy 1000 lat różnicy

LUIS ELIZONDO, BYŁY SZEF PROGRAMU IDENTYFIKACJI ZAAWANSOWANYCH ZAGROZEŃ PRZESTRZENI POWIETRZNO-KOSMICZNEJ (AATIP)

natomiast umieszczony na orbicie wiosną 2009 r. teleskop Keplera wręcz rewolucjonizował astronomię. Badacze znaleźli już 6150 planet w 4575 układach, ponad 8 tys. rozpoznanych czeka na oficjalne zatwierdzenie. Według ostrożnych ocen przynajmniej jedna planeta towarzyszy co drugiej gwiazdzie. Tych może być w Drodze Mlecznej nawet 400 mld, a wszechświat zawiera ich prawdopodobnie 70 tryliardów.

Magnetofon kasetowy Drake’a zastąpiły wyposażone w AI komputery analizujące równocześnie setki milionów kanałów – od częstotliwości radiowych po promieniowanie gamma. Szanse wychycenia sygnału niosącego informa-

cję wzrosły niepomniernie, choć nasłuch utrudnia coraz głośniejszy szum ziemskich urządzeń telekomunikacyjnych. I nie tylko. Naukowców z australijskiego Parkes Observatory zelektryzowały ewidentnie modulowane impulsy nadchodzące regularnie co 24 godziny. Niestety, okazały się skutkiem otwierania mikrofalówki, nim skończy podgrzewać jedzenie, występującym codziennie w porze lunchu.

Rząd USA odciął finansowanie, lecz prace kontynuuje prywatny Instytut SETI (Search for Extra-Terrestrial Intelligence) wspierany przez miliardera Yuriego Milnera, który na szukanie obcych przeznaczył 100 mln dol. Dużo? Kwestia perspektywy. Twórca platformy VK, a następnie funduszu DST zapłacił tyle samo za dom w kalifornijskim Los Altos Hills. Lęk, czy nie zapraszamy kosmicznych najeźdźców, budzą natomiast inicjatywy METI (Messaging to Extra-Terrestrial Intelligence), czyli ślanie w próżnię zero-jedynkowych komunikatów o życiu na Ziemi.

Mimo pozornego milczenia kosmosu badacze są dobrej myśli. – Żeby znaleźć nowych przyjaciół, trzeba przecesać co najmniej milion układów gwiazdnych, a na razie obserwujemy tysiące – tłumaczy astrofizyczka Jill Tarter. – Wyciąganie na podstawie dotychczasowych obserwacji wniosku, że we wszechświecie nie ma innych cywilizacji, przypominałoby zaczerpnięcie szklanki wody z morza i stwierdzenie, że nie ma tam ryb.

Ekspersi SETI sceptycznie traktują raporty o spotkaniach z obcymi na Ziemi. Ich zdaniem lotnicy biorą za UAP złudzenia optyczne wywołane promieniami słońca padającymi na soczewki instrumentów nawigacyjnych pod określonym kątem, a ponadto stada ptaków, chmury, balony, meteory, drony. – Skoro w przestrzeni powietrznej krąży tyle obcych statków, dlaczego żadnego nie zarejestrowały tysiące satelitów? – pyta starszy specjalista instytutu Seth Shostak. Cóż, według Mellona zarejestrowały, a Trump ujawni fotografie.

I komu wierzyć? **N**

piotr.milewski@newsweek.pl

CO DALEJ Z TAJWANEM?

Chiny kontra Chiny

Inwazja jest na samym końcu opcji Pekinu.
Wbrew temu, co się powszechnie wydaje,
Tajwan nie jest taki prosty do zdobycia
– mówi **MARCIN JACOBY**, autor książki „Tajwan.
Herbatka na beczce prochu”

ROZMAWIA JACEK PAWLICKI



NEWSWEEK: Tajwan, Republika Chińska, Chińskie Tajpej?

MARCIN JACOBY: To zależy, kto pyta (*śmiech*). Według mnie to Republika Chińska na Tajwanie.

Państwo, które jest, ale zarazem go nie ma, bo zdecydowana większość członków ONZ nie uznaje jego istnienia z obawy przed popsuciem relacji z Pekinem, czyli ChRL.

– Republika Chińska uznawana jest tylko przez 12 państw. Według polskiego MSZ takie państwo nie istnieje.

A mimo to wszyscy z tym państwem handlują, miliony ludzi zastanawiają się, czy tam wybuchnie następna wojna, a wielu mieszkańców Europy, z Polakami włącznie, solidaryzuje się z Tajwanem

FOT. YASUYOSHI CHIBA/AFP/EAST NEWS

– Ale to solidarność obłudna, tylko do pewnego momentu, by nie rozgniewać Chin. Balansowanie między stosunkami z Tajwanem i dobrymi relacjami z Pekinem staje się jednak coraz trudniejsze.

W 2021 r. adm. Philip Davidson, były dowódca sił USA w Indo-Pacyfiku, powiedział w Kongresie, że Chiny mogą spróbować przejąć kontrolę nad Tajwanem w ciągu najbliższych sześciu lat, czyli do 2027 r.

Wierzy pan w taki scenariusz?

– Nie wierzę w „okno Davidsona”, to jest amerykańska manipulacja. Przewodniczący Xi Jinping powiedział, że do 2027 r. Chińska Armia Ludowo-Wyzwolenicza ma być na tyle zreformowana, żeby była w stanie zaatakować Tajwan.



Tajwan
Herbatka na beczce prochu
Marcin Jacoby

Marcin Jacoby
Tajwan. Herbatka
na beczce prochu
Muza

**Podnoszenie
flagi Tajwanu
przy mauzoleum
Czang Kaj-szeka
na Bulwarze
Demokracji w Tajpej**

Nie powiedział wcale, że do tego czasu nastąpi atak.

Chyba jego armia nie jest jeszcze gotowa. Nieustannie przeprowadza czystki wśród najwyższych generałów...

– Ale to nie znaczy, że Tajwańczycy mogą spać spokojnie. Wynika z tego tylko tyle, że Chiny mają duże problemy ze sprostaniami wymaganiami Xi Jinpinga. Nie wiemy jednak, dlaczego przewodniczący wymienia generałów.

Z powodu korupcji?

– Korupcja jest w Chinach endemiczna, więc można tę łatkę przykleić wszędzie. Powód może być jednak inny – np. Xi Jinping ma zupełnie inną wizję tego, jak miałyby wyglądać armia, niż jej obecni dowódcy. Poszukuje więc generałów, którzy przeprowadzą takie zmiany, jakich oczekuje. Problem w tym, że wszyscy ci generałowie, których ostatnio oddalił, zostali przez niego wcześniej wybrani.

Nawet jeśli armia będzie gotowa do inwazji, wyspiarze mogą liczyć na gwaranta swego bezpieczeństwa?

– USA nie są gwarantem bezpieczeństwa Tajwanu, co najwyżej partnerem, który mógłby ochronić Tajwan, gdyby chciał.

Amerykianie prowadzą bardzo kosztowną wojnę z Iranem, z perspektywy ChRL nie jest to dobry moment na inwazję?

– Myślę, że inwazja jest na samym końcu listy opcji przejęcia Tajwanu. Sam Xi Jinping powiada, że Chiny wcale się w tej sprawie nie spieszą. Konflikty od Ukrainy po Iran pokazują, że ten, kto rozpoczyna wojnę, nie do końca kontroluje jej przebieg. Tymczasem Chiny nie lubią procesów, których nie są w stanie kontrolować. Wygląda na to, że Komunistyczna Partia Chin boi się ryzyka. Poza tym rządzący mają bardzo dużo wyzwań i problemów wewnętrznych, więc bardzo nie chcą się uwikłać w wielomiesięczny, jeżeli nie wieloletni konflikt, który trudno będzie zakończyć.

W dodatku byłaby to wojna domowa.

– Dla Pekinu Tajwan nie jest państwem, a chińska propaganda przekonuje, że Chińczycy i Tajwańczycy są braćmi [chiń. tongbao]. Problemem nie są więc Tajwańczycy bracia, tylko polityka rządzącej obecnie na wyspie Demokratycznej Partii Postępowej, której

przywódców nazywa się „buntownikami dążącymi do separacji” albo „czynnikami reakcyjnymi”. Ofiarami operacji militarnej niewątpliwie byłoby też cywile, a zabijanie „braci” byłoby zaprzeczeniem głównego przekazu propagandy. Dziesięciolecia wysiłków poszłyby na marne.

Gdyby jednak doszło do inwazji, to jak mogłaby wyglądać?

– Scenariusze są różne. Jeden z nich zakłada, że Tajwan niemal natychmiast się podda. Inny – że będzie bronić się na tyle skutecznie, że chińska armia nie będzie mogła tak naprawdę zbyt wiele zrobić, poza sianiem zniszczenia. Wbrew temu, co się powszechnie wydaje, Tajwan nie jest takim prostym miejscem do zdobycia.

Nie ma plaż do desantu...

– Transporty sprzętu, amunicji czy żołnierzy musiałyby najpierw bezpiecznie pokonać ponad 100 km przez Cieśninę Tajwańską wystawione na niesymetryczne ataki tajwańskie. Wody mogłyby też np. patrolować amerykańskie lub japońskie okręty. Na samej wyspie nie byłoby łatwiej, bo Tajwan jest bardzo górzysty. Nie wiadomo, jak zachowałoby się społeczeństwo tajwańskie: tak heroicznie jak Ukraińcy po pełnoskalowej inwazji czy zupełnie inaczej? Niewiadomych jest na tyle dużo, że wydaje mi się, iż Chińczycy nie mają na razie zbyt wielkiej ochoty na inwazję.

W książce pisze pan, że słyszał od znajomych z Tajwanu, że jak tylko wyczują zbliżającą się inwazję, to spakują się i uciekną z wyspy.

– Nie twierdzę, że Tajwańczycy nie broniliby swego kraju. Na wyspie nie brak organizacji, które prowadzą szkolenia obronne, starając się budować świadomość zagrożenia. Większość Tajwańczyków jest już zmęczona nieustannym eksploatowaniem przez polityków tematu chińskiej inwazji. Myślę, że przyzwyczaili się do tego, że żyją w strefie nieustannego zagrożenia, tak jak np. Koreańczycy z Południa do gróźb Korei Północnej.

Tym bardziej że na Tajwanie nie było dawno wojny...

– Jedynym tragicznym epizodem, w czasie którego strzelano do ludzi, był

tzw. biały terror [okres represji politycznych, aresztowań i egzekucji w latach 1947-1987 – red.], który miał wymusić posłuszeństwo ludności wobec Czang Kaj-szeka. Siły Kuomintangu zabijały wówczas wszystkich, którzy się sprzeciwiali nowym rządowi.

Ale tego nie można nazwać wojną domową.

– Kuomintang bolszewickimi metodami budował państwo autorytarne. Tajwańska armia dysponuje dość nowoczesnym sprzętem, rządzący nie szczczędzą pieniędzy na zwiększenie jej potencjału obronnego, ale nie wiadomo, ile jest warta, bo nie miała okazji sprawdzić się w żadnym z konfliktów zbrojnych. Podobnie jest jednak z armią chińską.

Ostatnią wojnę Chiny stoczyły z Wietnamem w 1979 r.

i nie zakończyła się ona zwycięstwem.

– Chińczycy bili się jeszcze z Indusami w Kaszmirze, ale to był konflikt na bardzo małą skalę.

Inwazja byłaby katastrofą dla światowej gospodarki, Tajwan produkuje połowę półprzewodników.

– I 90 proc. chipów logicznych najwyższej próby od 7 do 3 nanometrów. I to mimo nacisków USA, by Tajwańczycy inwestowali w ich produkcję w USA, Japonii czy Europie. Świat jest uzależniony od dostaw z Tajwanu. Amerykański koncern Nvidia, który wytwarza najlepsze chipy dla sieci neuronowych, produkuje je w tajwańskiej Taiwan Semiconductor Manufacturing Co. (TSMC). Konflikt w Cieśninie Tajwańskiej uderzyłby rykoszetem w USA, gospodarki Japonii czy Korei Południowej zaś czekałby absolutny paraliż. Z punktu widzenia gospodarki ta wojna nikomu się nie opłaca, więc mam nadzieję, że chińskie władze biorą to pod uwagę.

Dlatego jednym ze scenariuszy Xi Jinpinga jest przejęcie Tajwanu bez choćby jednego strzału, przez zacieśnianie kontaktów z Kuomintangiem, który jest bardziej otwarty na rozmowy o zjednoczeniu.

– Wybrana w listopadzie 2025 r. przewodnicząca Kuomintangu Cheng Li-wun otwarcie mówi, że trzeba rozpocząć gruntowny i szczerzy dialog z partnerami po

drugiej stronie cieśniny, ułożyć sobie relacje z Chinami, gdyż bez tego nie ma przyszłości dla Tajwanu. Oczywiście żaden bodaj polityk z głównego nurtu tajwańskiej polityki nie mówi dziś, że Tajwan ma się zjednoczyć z Chinami, ale bardzo wielu uważa, że z Chińczykami trzeba rozmawiać, że nie wolno ich antagonizować.

Układy z Chinami źle się kończą.

Weźmy choćby Hongkong.

– To prawda, Chiny totalnie się skompromitowały, jeśli chodzi o politykę „jeden kraj, dwa systemy”. A warto przypomnieć, że została ona wymyślona właśnie z myślą o Tajwanie. Przyszłość Tajwanu jako niepodległego państwa została przekreślona w 1979 r., kiedy USA, nawiązując stosunki dyplomatyczne z komunistycznymi Chinami, przestały uznawać Republikę Chińską. Dziś żaden z liczących się krajów nie utrzymuje stosunków dyplomatycznych z Tajpej. Ostatnia w latach 90. ugięła się pod potężną presją Pekinu Korea Południowa.

W Europie jedynie Watykan uznaje Republikę Chińską.

– Watykan chce mieć – tak jak na całym świecie – prawo do mianowania biskupów katolickich w Chinach, Pekin stanowczo się temu sprzeciwia. Utrzymywanie relacji z Republiką Chińską jest więc czymś w rodzaju zemsty Watykanu.

Czyli upraszczając, tylko państwo kościelne ma jaja, żeby się przeciwstawić Chinom.

– Watykan „ma jaja”, bo nie handluje z Chinami, a nie robi tego, bo nie musi. Inne państwa muszą.

W książce pisze pan sporo o rodzącej się tożsamości tajwańskiej. Czym różnią się Tajwańczycy od Chińczyków z kontynentu? Cywilizacyjnie, kulturowo, tożsamościowo?

– Chiny trudno sprowadzić do jednego mianownika, to ogromny kraj. Ale Tajwan w 96 proc. zamieszany jest przez etnicznych Chińczyków, głównie potomków osadników z prowincji Fujian i Guangdong. Tylko 2,5 proc. mieszkańców to rdzenna ludność austronezyjska, zwana tajwańskimi aborygenami. A więc jeśli chodzi o kody kulturowe i zachowania, Tajwańczycy najbardziej przypominają ludzi z prowincji Fujian.



”*Tajwańczycy są przekonani o wyższości demokracji i dumni, że w odróżnieniu od Chin w ich ojczyźnie każdy ma prawo żyć tak, jak chce, uprawiać seks, z kim chce, oglądać i czytać, co chce*

MARCIN JACOBY

Tajwańska tożsamość zasadza się na wolnościach obywatelskich i otwartości – wartościach umacnianych od 1987 r. Bardzo ważną częścią tożsamości jest przekonanie o wyższości demokracji – a tajwański system demokratyczny jest dojrzały i wielokrotnie się sprawdził w chwilach próby. Tajwańczycy są też dumni ze swobód obyczajowych. To pierwsze państwo w Azji, które w 2019 r. zalegalizowało małżeństwa jedнопłciowe. Tak więc tajwańska tożsamość rozdziła się w kontrze do Chin. Tajwańczycy zwracają uwagę na to, że w odróżnieniu od Chin w ich ojczyźnie każdy może żyć tak, jak chce, uprawiać seks, z kim chce, oglądać i czytać, co chce, itd. Dla nich jest to absolutnie kluczowe. Jeśli jednak zapyta się ich, czy czują się Chińczykami, jeśli chodzi o dziedzictwo kultury chińskiej, to wielu powie, że tak.

W muzeach na Tajwanie jest więcej chińskich skarbów z Zakazanego Miasta, czyli zbiorów cesarzy z dynastii Ming i Qing. Na wyspie nie było rewolucji kul-

turalnej ani wielkiego skoku, czyli kampanii, które pustoszyły kulturowo Chiny. Co ciekawe, dzięki tym zbiorom i różnicom historycznym Republika Chińska rościła sobie prawo do bycia tymi prawdziwymi Chinami właśnie.

W 1949 r. na Tajwan ewakuowało się całe państwo chińskie w nadziei, że po pokonaniu komunistów na kontynencie władza szczęśliwie wróci znów do stolicy w Nankinie. Nadzieje okazały się płonne.

– To było marzenie Czang Kaj-szeka, który pewnie do samej śmierci w 1975 r. wierzył, że tajwańska armia przekroczy w końcu cieśninę, wykurzy komunistów i Republika Chińska znowu będzie w swoich pierwotnych granicach. W latach 70. już mało kto w to wierzył, nadzieja prysła zaś na pewno w 1979 r., kiedy USA nawiązały stosunki z Pekinem. Od tego czasu nikt na Tajwanie nie znalazł sensownej odpowiedzi na pytanie o przyszłość. Wszystkie koncepcje państwowości oscylują wokół status quo, czyli nieokreśloności – nie ogłosimy niepodległości, ale będziemy zachowywali się tak, jakbyśmy byli niepodlegli.

Trwanie w szarej strefie jest obciążone wielkim ryzykiem.

– No właśnie, a Tajwanowi udaje się tak żyć od 1949 r. Przyszłość tego kraju zależy w dużej mierze od tego, czym zakończy się rywalizacja Chin z USA, i szerzej – od tego, jak będzie wyglądać amerykańska polityka wobec Pekinu i czy Amerykanie będą starali się dalej utrzymać dominację w basenie zachodniego Pacyfiku.

Trump ma jakiś pomysł na Tajwan?

Jak duże jest ryzyko, że zgodzi się, by wyspa znalazła się w chińskiej strefie wpływów? Coraz głośniejsze światu mówi się o powrocie do „koncertu mocarstw”.

– Chiny bardzo by chciały, aby Ameryka zniknęła z zachodniego Pacyfiku i Morza Południowochińskiego, ale wydaje mi się, że nawet obecna administracja na to się nie zdecyduje. Oznaczałoby to odejście od długoletniej koncepcji bezpieczeństwa, której nie kwestionował dotąd żaden z prezydentów. Z drugiej strony już nieraz przekonaliśmy się, że Donald Trump jest nieobliczalny.



Turyści
przed
Bramą
Główną
Placu
Wolności
w Tajpej,
Tajwan

Dlaczego Xi Jinping ma obsesję na punkcie Tajwanu?

– Powrót Tajwanu do Chin to dogmat chińskich komunistów, ale jeżeli spojrzeć na to historycznie, można dyskutować, czy wyspa jest nieodłączną częścią Chin. **Należał do Chin przez mniej więcej 200 lat za panowania dynastii Qing i cztery lata po zakończeniu II wojny światowej.**

– Zależy, jak liczyć. Chińczycy liczą od połowy XVII w. do 1895 r., kiedy po przegranej wojnie wyspa została przekazana Japonii. Ale można też powiedzieć, że de facto była częścią cesarstwa dopiero od drugiej połowy XIX w. W 1945 r. Tajwan został odzyskany przez Republikę Chińską, ale komuniści nie postawili nigdy tam swojej stopy. Oczywiście Xi Jinping marzy, by pod jego rządami nastąpiła pełna integracja ziem chińskich. Po przejściu Hongkongu w 1997 r. i Makao w 1999 r. został już tylko Tajwan, który dla Chińczyków z kontynentu jest raną po wojnie domowej w latach 1947-1949.

Xi Jinping przede wszystkim jednak powinien zażądać od Rosji zwrotu miliona kilometrów kwadratowych, które Cesarstwo Chińskie utraciło na mocy niekorzystnych traktatów z 1858 r. z Aigun i 1860 r. z Pekinu [chodzi o tzw. Mandżurię Zewnętrzną, historyczną krainę położoną na północ od rzeki Amur i na wschód od rzeki Ussuri – red.]. Oczywiście trudno sobie to żądanie wyobrazić, ale bardzo zaskoczyło mnie, że władze w Pekinie oficjalnie rekomendują używanie chińskiej nazwy Włady-

”
**Skoro Xi Jinping
chce zjednoczyć wszystkie
ziemie chińskie, to niech
będzie konsekwentny
i zażąda od Rosji zwrotu
miliona kilometrów
kwadratowych, które
Cesarstwo Chińskie
utraciło w połowie XIX w.**

wostoku – Haishenwai, co może mieć znaczenie nie tylko symboliczne. Skoro przewodniczący chce zjednoczyć wszystkie ziemie chińskie, to niech będzie konsekwentny.

Co jeszcze różni Tajwańczyków od Chińczyków z kontynentu?

– Stosunek do Japończyków, na wyspie dużo bardziej pozytywny. Nie dopuścili się oni na Tajwanie takich zbrodni jak w Chinach. Po przejściu wyspy w 1895 r. byli kolonizatorami, z którymi Chińczycy z Tajwanu nie mieli może najlepszych relacji, ale żołnierze Czang Kaj-szeka, którzy wylądowali na wyspie cztery lata po wypędzeniu Japończyków, byli jeszcze gorsi. Dopuszczali się przemocy, łupili mieszkańców, zniszczyli lokalną gospodarkę, a wszystko to

skończyło się „białym terrorem”. Wtedy pojawiła się nostalgia za profesjonalnymi rządami Japończyków, w czasie których panował porządek i wszystko było przewidywalne.

Jaki jest dziś stosunek do Czang Kaj-szeka?

– Toczy się ogromna dyskusja, co zrobić z jego dziedzictwem. Według Kuomintangu jest wciąż wielkim wodzem, któremu się należy cześć i chwała, ale wielu Tajwańczyków utożsamiających się z nowoczesnym, demokratycznym państwem uważa go za obrzydliwego dyktatora, który był odpowiedzialny za zbrodnie wobec narodu. Nie ma na razie mowy o likwidacji mauzoleum Czang Kaj-szeka w centrum Tajpej, ale część jego pomników już usunięto. Na zwiedzających czeka też wystawa poświęcona „białemu terrorowi”, więc Tajwańczykom udało się zachować równowagę w opowieści o wodzu. Sprawę komplikuje to, że w Chinach Czang Kaj-szek uważany jest za postać jednoznacznie negatywną, co skłania część Tajwańczyków do bardziej zniuansowanego stosunku do dyktatora. **N**

jacek.pawlickia@newsweek.pl

MARCIN JACOBY (UR. 1976)

JEST SINOLOGIEM, TŁUMACZEM,
DOKTOREM HABILITOWANYM NAUK
HUMANISTYCZNYCH, PROFESOREM
UNIwersYTETU SWPS, KIEROWNIKIEM
ZAKŁADU STUDIÓW AZJATYCKICH NA
WYDZIALE NAUK HUMANISTYCZNYCH
I SPOŁECZNYCH UNIwersYTETU
SWPS Z SIEDZIBĄ W WARSZAWIE

FOT. ANDREAS ARNOLD/DPA/PAP

30^{lat} onet
łączymy kropki



▶ **1996** Trzy
dekady
w centrum
wydarzeń



30lat.onet.pl

Poznaj historię Onetu,
czytaj najlepsze reportaże
i świętuj z nami trzydziestolecie!

TAJEMNICE ŚWIADOMOŚCI

Przebudzeni

Czasem wydają się pogrążeni w śpiączce,
ale mają świadomość tego, co się dzieje wokół.
Tylko nie są w stanie tego zakomunikować.
Potrafimy badać, co się dzieje w mózgu
takiej osoby, ale o pomyłkę nietrudno

TEKST DOROTA ROMANOWSKA



Kasia sprawiała wrażenie pogrążonej w głębokim śnie. Nie poruszała nawet jednym palcem, nie reagowała na pytania mamy, która siedziała przy niej całąmi dniami. Nie wiadomo było, czy jest głodna, czy spragniona, czy może coś ją boli. Pewnego dnia na jej twarzy pojawił się grymas. Jakby coś jej przeszkadzało. To promień słońca raził ją w oczy, wybudza się, stwierdziła mama 23-letniej Kasi. Kilka dni później dziewczyna poruszyła małym palcem i znów zdaniem mamy był to świadomy ruch. Próbowano złapać pluszowego misia, który zaczął się zsuwać z łóżka. I tak powoli Kasia zaczęła się komunikować z bliskimi – wybudzać się ze śpiączki, w którą zapadła kilka miesięcy wcześniej.

Za kilka dni Kasia opuści klinikę. Porusza się na specjalnym wózku, który podtrzymuje głowę. Próbuje wypowiadać pojedyncze słowa, choć trzeba się bardzo skupić, aby ją zrozumieć. Delikatnie się uśmiecha, gdy pytam ją o święta Wielkiejnocy, które spędzi w domu, ale szeroki uśmiech rozświetla jej twarz dopiero wtedy, gdy podchodzi do nas pielęgniarka z 10-miesięcznym maluchem. – To syn jednej z naszych pracownic – wyjaśnia kobieta.

Kasia wyciąga do dziecka rękę. Bardzo chciałaby je wziąć w ramiona i przytulić, ale prawa ręka jeszcze nie chce słuchać sygnałów z mózgu. – Kasia widziała Oskara pół roku temu. Wtedy lekarze uznali, że córka raczej nie ma świadomości. Ale ja widziałam, że już wtedy chciała z nami nawiązać kontakt, tylko nikt z nas nie wiedział, jak do niej dotrzeć – opowiada mama Kasi.

MECZ, PAPIEROS LUB KABARET

WIĘKSZOŚĆ OSÓB, KTÓRE ZAPADŁY w śpiączkę, stopniowo daje otoczeniu znaki, tak jak Kasia. – Najpierw pacjenci mają oznaki świadomości niewerbalne. Na przykład osoba, która wcześniej patrzyła tylko w sufit i na nic nie reagowała, pewnego dnia zaczyna wodzić za kimś, kto właśnie wszedł do pokoju. Zaczyna się rozglądać, przyglądać mu się, przesuwać za nim wzrok – opowiada prof. Ma-

rek Binder, psycholog z Laboratorium Badań Świadomości Instytutu Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Często wkrótce po tym pacjent próbuje komunikować się z bliskimi i personelem. – My go o coś prosimy, a on próbuje to wykonać albo sam próbuje coś zrobić. Ta prosta komunikacja może się przerozdzić w bardziej zaawansowaną. Pacjent poprawnie reaguje na bardziej złożone pytania – dodaje prof. Binder.

Na początku zmiany w reakcjach ludzi, którzy odzyskują świadomość, są tak drobne, że osoby postronne ich nie dostrzegają. – Może to być niewielka współpraca przy zabiegach. U niektórych pacjentów widać, że się cieszą, gdy ktoś ich odwiedza, albo są podenerwowani, gdy coś im nie pasuje, gdy np. mają już dość ćwiczeń – opowiada dr Łukasz Grabarczyk, neurochirurg, dyr. Kliniki Budzik dla Dorosłych w Warszawie.

Ale są i tacy pacjenci, którzy wybudzają się gwałtownie, jak pewien mężczyzna, który przed urazem mózgu był fanem piłki nożnej. Dlatego gdy zapadł w śpiączkę, włączano w jego pokoju telewizor, by mógł oglądać ligowe rozgrywki. Ale nawet imponujące akcje piłkarzy nie robiły na nim wrażenia. Aż pewnego dnia w telewizji był mecz jego ulubionej drużyny i mężczyzna nagle zaczął reagować na to, co dzieje się na ekranie. Gdy jego drużyna miała piłkę, na jego twarzy widać było ożywienie i zaciskał dłoń, zupełnie jakby trzymał za nią kciuki. Gdy weszła pielęgniarka, oczami dawał jej znać, by popatrzyła w telewizor i razem z nim kibicowała.

Inny pacjent nagle pewnego dnia – ni z tego, ni z owego – otworzył szeroko oczy, wyglądał, jakby był nieprawdopodobnie zdziwiony, rozejrzał się po pokoju w klinice i na cały głos wyraźnie rzucił: „O, kur...”, a potem poprosił o papierosa.

– Pamiętam kobietę, która cały czas oglądała telewizję. Wydawało nam się, że nie ma świadomości i tylko patrzy w telewizor. Aż pewnego dnia oglądała Kabaret Hrobi i nagle zaczęła się śmiać – mówi dr Grabarczyk. – Mieliśmy też pacjenta, który był trzy czy cztery razy badany w rezonansie magnetycznym, bo cały czas nie mogliśmy ustalić, w jakim stanie jest jego

mózg. Przy czwartym badaniu odezwał się do techniczki: „Ja panią znam, ale nie wiem skąd”. Najwyraźniej już wcześniej odzyskał świadomość, ale my nie wiedzieliśmy, jak do niego dotrzeć.

STAN MINIMALNEJ ŚWIADOMOŚCI

„ŚPIĄCZKA” TO TERMIN stosowany potocznie, który obejmuje wiele różnych stanów zaburzonej świadomości, ale w neurologii za śpiączkę uznaje się tylko pierwszą fazę występującą bezpośrednio po uszkodzeniu mózgu – tłumaczy prof. Binder. Śpiączka najczęściej trwa dwa tygodnie. Potem pacjenci otwierają oczy, ale to nie oznacza, że wróciła im świadomość. Mogą być w stanie wegetatywnym, nazywanym obecnie zespołem nieresponsywnego czuwania. Nie obserwuje się u nich oznak świadomości, nie wydaje się, aby mieli świadome przeżycia ani aby zdawali sobie sprawę z otaczającego świata.

Gdy pacjenci przejawiają oznaki świadomości, ich stan lekarze nazywają stanem minimalnej świadomości. – Umiejętność trafnego rozróżnienia pomiędzy zespołem nieresponsywnego czuwania a stanem minimalnej świadomości ma kluczowe znaczenie, bo to mówi nam, kiedy pacjent zaczyna odzyskiwać świadomość. Poprawna diagnoza wpływa ponadto na rokowania. Jeśli pacjent odzyskuje świadomość, to oznacza, że możemy oczekiwać dalszej poprawy jego funkcjonowania – mówi prof. Binder.

Nie wiadomo, ile osób w Polsce zapada w śpiączkę. Jedni szacują, że jest ich kilka tysięcy, inni – że kilkaset. Nie wszyscy odzyskują świadomość. – Gdy pacjent jest w stanie nieresponsywnego czuwania, szanse, że odzyska świadomość, statystycznie są mniejsze, ale nie są zerowe, bo znamy historie pacjentów, którzy po wielu latach odzyskują świadomość – mówi prof. Binder.

Największe szanse na wybudzenie mają osoby po wypadkach, mniejsze po udarach, a najmniejsze – niedoszli samobójcy, którzy choć nie mają rozległych uszkodzeń mózgu, nie reagują na próby dotarcia do nich. Najwyraźniej nie chcą dłużej żyć. Z obserwacji specjalistów wynika, że im dłużej trwa



Śpiączka najczęściej trwa dwa tygodnie. Potem pacjenci otwierają oczy, ale to nie oznacza, że wróciła im świadomość

śpiączka, tym trudniej o wybudzenie – po dwóch, trzech latach praktycznie nie wychodzi się ze śpiączki, ale bywają wyjątki. Terry Wallis odzyskał przytomność po 19 latach uśpienia. Gdy wrócił do świata, nie bardzo wiedział, co się wokół dzieje. Córkę brał za żonę i był przekonany, że nadal rządzi Ronald Reagan. Nauczył się mówić, poruszać ręką i nogą, ale nie mógł chodzić i wymagał całodobowej opieki.

Po 19 latach wybudził się Jan Grzebski z Działdowa. W śpiączkę zapadł po wypadku. Lekarze zdiagnozowali jego stan jako wegetatywny i nie dawali szans, że odzyska świadomość. Był bezwładny. Leżał w domu i zajmowała się nim żona: karmiła go, przewijała, myła. Grzebski tylko wodził oczami, czasem

ruszał rękoma czy nogami, wydawał trudne do zrozumienia dźwięki, a przy lepszym dniu sylaby. Świadomość odzyskiwał stopniowo. Dzięki ćwiczeniom z fizjoterapeutami zaczął siadać, wstać, z dnia na dzień mówił coraz wyraźniej i coraz sprawniej się poruszał.

O swoich wrażeniach po wybudzeniu opowiadał dziennikarzom – zapadł w śpiączkę w czasach PRL, kiedy sklepowe półki świeciły pustkami, a odzyskał świadomość w 2007 r., w zupełnie innej rzeczywistości. Lekarze, którzy go zbadali, stwierdzili, że nie był w stanie wegetatywnym, ale w stanie zamknięcia – miał świadomość tego, co się wokół niego dzieje, lecz z powodu afazji nie mógł się komunikować z otoczeniem.

GRA W TENISA

ABY USTALIĆ, CZY PACJENT po ciężkim urazie mózgu jest świadomy tego, co się wokół niego dzieje, lekarze najczęściej stosują skalę śpiączki Glasgow. Bada ona podstawowe reakcje – czy pacjent otwiera oczy, czy może odpowiadać na pytania i czy wykonuje ruchy. – Bardziej dokładnym narzędziem diagnostycznym jest nowsza skala wychodzenia ze śpiączki – mówi prof. Binder. Skala ta precyzyjnie ocenia reakcje pacjenta na różne rodzaje bodźców – wzrokowe, słuchowe i dotykowe – oraz jego zdolność do komunikowania się, wykonywania ruchów po poleceniu. Pozwala ona odróżnić zespół nieresponsywnego czuwania od stanu minimalnej świadomości oraz wykryć moment wybudzania się pacjenta. Jednak wynik tego badania nie zawsze jest jednoznaczny.

Gdy lekarze nie mogą stwierdzić, w jakim stanie jest pacjent, poddają go badaniu funkcjonalnym rezonansem magnetycznym – fMRI. Na pomysł wykorzystania tego urządzenia do diagnozowania pacjentów z zaburzeniem świadomości wpadł dr Adrian Owen, neurolog z University of Cambridge. Aparat pozwala śledzić przepływ krwi przez mózg i uwidacznia aktywne obszary.

Jedną z pierwszych pacjentek dr. Owena była młoda kobieta, która doznała ciężkiego urazu mózgu. Uznano, że jest w stanie wegetatywnym, ponie-

waż nie było z nią żadnego kontaktu. Dr Owen podłączył ją do rezonansu i poprosił, aby wyobraziła sobie, że gra w tenisa, a potem, że spaceruje po pokojach swojego domu. Okazało się, że jej mózg był równie aktywny jak mózg osób zdrowych, a co więcej, inne rejony były aktywne, gdy myślała o grze w tenisa, a inne, gdy chodziła po domu. Nie ulegało więc wątpliwości, że kobieta rozumiała polecenia.

Wkrótce potem zaczęła nawiązywać kontakt z otoczeniem. Poruszała się na wózku inwalidzkim i mówiła z trudem, ale myślała równie sprawnie jak ludzie zdrowi. W mailu do dr. Owena napisała: „To było niczym magia – zostałam odnaleziona. Ogarnia mnie przerażenie, gdy pomyślę, co stałoby się ze mną, gdyby nie zrobiono skanu mojego mózgu”.

Jednak badanie fMRI nie daje jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czy pacjent ma świadomość tego, co się wokół niego dzieje. – Jeśli wyniki pokazują, że w mózgu pacjenta „zapalają” się te same obszary co u osób świadomych, to dostajemy silny argument, że pacjent jest w stanie świadomie wykonywać polecenia. Jeśli jednak nie stwierdzamy aktywności mózgu, to nie znaczy, że pacjent nie jest świadomy. Może mieć bowiem afazję i nie rozumieć, co się do niego mówi, albo mieć obniżone pobudzenie – mówi prof. Binder.

Prof. Steven Laureys, neurolog z Uniwersytetu w Liège, kilka lat temu obliczył, że błędne diagnozy stawiane są bardzo często. Aż 40 proc. pacjentów uznanych za takich, którzy mają nieodwracalne zmiany w mózgu, było w stanie minimalnej świadomości i miało przełtyski świadomości.

STYMULACJA MAGNETYCZNA

JEŚLI WYNIK BADANIA FMRI jest negatywny, można przeprowadzić badanie EEG, które polega na tym, że na głowie pacjenta umieszcza się sieć małych elektrod rejestrujących aktywność bioelektryczną mózgu. Dzięki temu można się dowiedzieć, czy pacjent w śpiączce, z którym nie ma żadnego kontaktu, jest świadomy tego, co dzieje się wokół, np. czy słyszy dźwięki z otoczenia, czuje dotyk

oraz czy próbuje wykonywać ruchy, nawet wtedy, gdy jego ciało się nie porusza. Może być sparaliżowany i nie być w stanie wykonać polecenia, np. poruszania palcami, ale w zapisie aktywności mózgu widać próbę wykonania tego ruchu.

– W Polsce badania EEG nie stosuje się powszechnie u pacjentów z zaburzeniami mózgu w celu diagnozy świadomości. Nie jest jeszcze uznaną metodą kliniczną do tego typu diagnozy – mówi prof. Binder, który prowadzi badania naukowe mające ustalić, w jakim stopniu badanie EEG może wesprzeć zatwierdzone metody kliniczne, takie jak skala wychodzenia ze śpiączki czy skala śpiączki Glasgow.

”

Widziałam, że córka chciała z nami nawiązać kontakt, tylko nikt z nas nie wiedział, jak do niej dotrzeć

MAMA 23-LETNIEJ KASI,
KTÓRA WYBUDZIŁA SIĘ ZE ŚPIĄCZKI

Jeszcze mniej popularne jest u nas badanie TMS-EEG. Mózg pacjenta jest wtedy stymulowany magnetycznie, a specjaliści za pomocą EEG oceniają stan połączeń pomiędzy różnymi ośrodkami mózgu. – Jeśli sygnał EEG jest obserwowany tylko w miejscu stymulacji magnetycznej, to znaczy, że mózg jest prawdopodobnie nieświadomy, a jeśli odpowiedź EEG można zarejestrować także z innych części mózgu, jest szansa, że łączność w mózgu została zachowana, a pacjent ma świadomość – tłumaczy prof. Binder.

WRZECIONA SNU

NAJNOWSZĄ METODĘ, KTÓRA MOŻE pomóc ustalić, czy pacjent po urazie mózgu ma świadomość, zaproponowali naukow-

cy z zespołu dr. Jana Claassena, neurologa z Columbia University. Polega ona na analizie fal mózgowych podczas snu. Uczeni przejrzyli nagrania EEG podczas nocnej aktywności mózgu u pacjentów w stanie zaburzonej świadomości i zauważyli, że co prawda u większości osób aktywność elektryczna mózgu wyglądała chaotycznie, ale u niektórych pacjentów pojawiały się zorganizowane, szybkie częstotliwości, zwane wrzecionami snu. Zdaniem dr. Claassena oznacza to, że u tych osób nie zostały naruszone połączenia między wzgórzem a korą mózgową, które są niezbędne do bycia świadomym. Tacy pacjenci mają większe szanse na odzyskanie niezależności niż pozostali.

Pośród badanych przez dr. Claassena pacjentów 76 proc. wykazało oznaki świadomości w chwili wypisania ze szpitala. Rok później 41 proc. z nich odzyskało funkcje neurologiczne, z niewielkimi deficytami lub umiarkowaną niepełnosprawnością, i było w stanie samodzielnie o siebie dbać w ciągu dnia. Dla porównania, tylko 29 proc. pacjentów, u których nie stwierdzono wrzecion snu, wykazywało oznaki świadomości, a jedynie 7 proc. z nich odzyskało rok później funkcje neurologiczne.

Mimo coraz doskonalszych metod badania mózgu nadal nie jest łatwo ustalić, czy pacjent zachował świadomość. – Mózg wciąż pozostaje tajemnicą. Z grubsza wiemy, jakie zmiany strukturalne i neurofizjologiczne w nim zachodzą u osób w śpiączce, ale wciąż nie wiemy, jak przebiega w nim biochemia, czyli w jakim stopniu zaburzone są neuroprzebieżniki, kiedy się one wydzielają, a kiedy nie, jakie jest ich realne stężenie lub co z czym się komunikuje lub nie. To ważne, bo może się okazać, że jednym z komponentów zaburzeń świadomości jest np. depresja pourazowa lub inny stan, w którym zaburzone są poziomy lub funkcjonowanie neuroprzebieżników – mówi dr Grabarczyk. Tacy pacjenci mogą zdawać sobie sprawę z tego, co dzieje się wokół nich. Są jednak zamknięci we własnym ciele i nikt nie jest w stanie do nich dotrzeć. **N**

dorota.romanowska@newsweek.pl

*Diana Kobus o weselach
mówi tak, jak niektórzy
mówią o wyjściu
do kina. Uwielbia
zabawę, muzykę disco
polo, poznawanie ludzi*

KTOŚ DO TAŃCA I DO ZDJĘCIA

Na wesele z internetu

Ogłoszenia brzmią jak oferty pracy: „Stanowisko: partner na imprezę rodzinną. Wymagania: odporność na ciotki i znajomość disco polo”. Diana była już cztery razy taką partnerką na weselach

TEKST AGNIESZKA ŻĄDŁO

ZDJĘCIE RAFAŁ KLIMKIEWICZ/EDYTOR.NET

Wsumie to nie wiem – zastanawia się Mirek, kiedy pytam, po co mu partnerka na wesele. – Chyba po to, żeby było z kim tańczyć.

Mieszka w Dublinie, pracuje jako elektryk. Ma 54 lata, nie pije, nie pali, nie „bierze używek”, jak sam podkreśla. Poznaje go, gdy szuka partnerki na dwudniowe wesele znajomych w Radomiu pod koniec maja. – Nie pierwszy raz – podkreśla.

Grupa na Facebooku, w której ogłasza się Mirek, wyspecjalizowana w szukaniu pary na wesela, liczy 6 tys. osób. Ogłoszenia są zaskakująco konkretne. „Szukam partnera na wesele 14 czerwca, najlepiej powyżej 180 cm, ogarnięty tanecznie, bez zobowiązań wobec innych uczestniczek”. Albo: „Oferuję dobrą zabawę, rozmowę i brak dram – nie piję do odcięcia, nie robię scen, tylko Gdańsk i okolice”.

Jedno z ogłoszeń zaczyna się jak profesjonalna oferta pracy: „Stanowisko: partner na wesele. Lokalizacja: okolice

Krakowa. Wymagania: minimum 175 cm, brak alergii na disco polo, odporność na ciotki pytające o ślub. Oferuję: open bar, dobre jedzenie i możliwość zatańczenia kaczuszek”. Pod spodem kilkadziesiąt komentarzy, w tym CV kandydatów: „Spełniam wymagania, mam doświadczenie w weselach (ponad 20), referencje na życzenie”.

Ktoś inny pisze: „Szukam partnerki, która nie ucieknie po oczepinach i wytrzyma do poprawin. Bonus za znajomość układów tanecznych do »Jesteś szalona«”. Jeszcze ktoś: „Nie szukam miłości, tylko kogoś, kto pomoże mi przetrwać pytania rodziny, dlaczego nadal jestem singlem”.

Są też ogłoszenia autoironiczne: „Mam sukienkę, mam humor, brakuje mi tylko człowieka do zdjęć, żeby babcia była spokojna”. Albo: „Jeśli też boisz się siedzieć przy stole z wujkiem politykiem, dogadamy się”.

NAJWAŻNIEJSZY TANIEC

KILKA LAT TEMU, KIEDY CÓRKA MIRKA brała ślub, również pomyślała o ogłoszeniu. Zgłaszały się kobiety, ale się wystraszył. – Jako ojciec panny młodej nie mogłem sobie pozwolić na ryzyko – tłumaczy. – Nie wiesz, kogo bierzesz. Czy się nie upije, czy nie narobi wstydu przed rodziną.

W końcu poszedł z sąsiadką, bo bezpieczniej. Z obcą osobą to zawsze trochę loteria. – Z drugiej strony, jak idziesz sam, to też nie wiesz, jak będzie – stwierdza. – Wszyscy przychodzą w parach, tańczą ze sobą. A ty siedzisz jak ten kolek albo „pożyczasz”.

Od dziesięciu lat jest samotny. Po rozwodzie zapisał się na zajęcia – trzy, cztery razy w tygodniu, po kilka godzin: salsa, bachata, wszystkie poziomy, żeby czymś się zająć, nie myśleć. I tak się wkręcił.

Raz pojechał na wesele jako osoba towarzysząca, tak na próbę. Kobieta nie chciała pokazać się sama na weselu syna – jej były mąż miał przyjechać z nową partnerką.

– Rodzina myślała, że jesteśmy parą. Babka nie odstępowała mnie na krok. Problem był, bo nie umiała tańczyć. Utknąłem – śmieje się Mirek.

Teraz wie, że u kandydatki na wesele w Radomiu dobre poczucie rytmu to podstawa. – Ma być bardziej do tańczenia niż na stałe – mówi bez wahania. Ma konkretne wymagania: do czterdziestki, reprezentacyjna, najlepiej taka, która da się prowadzić i nie będzie chciała rządzić na parkiecie, bo od tego jest mężczyzna.

Jeśli nie uda się znaleźć nikogo, pójdzie z byłą dziewczyną albo sam. – Najtrudniejszy jest początek, zanim wszyscy się rozkręcą. Potem już sobie poradzę – chwali się.

PARTNER NA POKAZ

PSYCHOLOŻKA DR ALEKSANDRA ŻYŁKOWSKA-WÓJCIK podkreśla, że w takich sytuacjach ogromną rolę odgrywa auto-prezentacja. – Pójście z kimś na wesele to komunikat: „Ze mną wszystko jest w porządku”. W niektórych rodzinach jest wręcz rywalizacja: kto ma partnera, kto ma dziecko, kto odniósł sukces. Pojawienie się w pojedynkę może wywoływać pytania, domysły, czasem zupełnie nieadekwatne interpretacje, które nie są komfortowe – mówi wprost. W jej gabinecie często pojawiają się osoby, które czują presję, by wpisać się w oczekiwania bliskich, nawet jeśli nie odpowiada to ich rzeczywistości. – Czasem ktoś dobiera partnera „na pokaz”, żeby potwierdzić pewien obraz siebie: że jest w związku, że spełnia normy, że jego życie wygląda tak, jak powinno. To może być związane z potrzebą akceptacji, ale też z lękiem przed oceną. I to nie dotyczy tylko małych miejscowości – kluczowe jest raczej to, z jakiej rodziny pochodzimy i jakie wzorce wynieśliśmy – wyjaśnia.

Socjolożka dr Julita Czernecka z Uniwersytetu Łódzkiego zauważa, że wesele to jedno z najbardziej symbolicznych wydarzeń społecznych. – Dlatego osoby przychodzące solo często czują się tam trochę jak „poza narracją”. W takich momentach wyraźnie widać społeczne oczekiwanie bycia w parze. Wciąż funkcjonuje subtelna presja i pojawiają się pytania typu: „A ty z kim?”, „A kiedy twoja kolej?”.

Czernecka zwraca uwagę, że dla wielu osób nie jest to tylko kwestia towa-

rzystwa przy stole, ale też konfrontacja z własnymi emocjami: z poczuciem bycia ocenianym, porównywanym albo z własną tęsknotą za bliskością. Dlatego niektórzy wolą przyjść z kimś, nawet jeśli jest to osoba poznana niedawno, niż tłumaczyć się ze swojej sytuacji.

Na jednym z portali ogłasza się 25-latek z Łodzi. Oferuje towarzystwo na weselach i innych wydarzeniach w całej Polsce, jasno określając warunki finansowe: za udział w jednym dniu wesela oczekuje 2000 zł plus transport, a jeśli w grę wchodzi także poprawiny – stawka rośnie do 2800 zł za cały pakiet. W ogłoszeniu podkreśla „pełen profesjonalizm”: deklaruje, że potrafi odnaleźć się w każdej sytuacji, jest gotowa budować „wiarygodność wizerunku pary”, dobrze wypada w rozmowie z rodziną, jest komunikatywna i lubi tańczyć. Zaznacza jednak wyraźnie, że oferta dotyczy wyłącznie towarzystwa i nie obejmuje usług seksualnych.

Nie wiem jednak, czy szczupła brunetka o długich, starannie ułożonych włosach, ubrana w kusą brokatową sukienkę, nie jest „fejkkiem”. Kiedy próbuję do niej napisać, nie odpowiada. Nie udaje mi się też zarejestrować swojego profilu.

LEPSZE DOPASOWANIE

ŁATWO ZNIECHĘCIĆ SIĘ TYMI WSZYSTKIMI GRUPAMI i portalami – przyznaje Michał Włodkowski, 35-letni menedżer inżynierii danych z Warszawy. Jakiś czas temu szukał dziewczyny na wesele, jego znajoma zrezygnowała dwa tygodnie przed imprezą, ale ostatecznie poszedł sam. – Były dni, że na forum pojawiał się 50 postów dziennie, ale głównie anonimowych, bardzo ogólnych informacji – opowiada. Do tego dochodziły techniczne problemy: wiadomości ginęły w odmętach folderu „inne”, profile były zamknięte, trudno zweryfikować, kto jest po drugiej stronie. – W tym chaosie ciężko było coś znaleźć – podsumowuje.

Uznał, że przydałaby się specjalna aplikacja, która będzie działać bardziej szczegółowo. Tak powstało Event Match. Ma dwa tryby działania, które porządkują cały proces już na starcie. Pierwszy

dotyczy osób, które mają zaproszenie na wesele i szukają osoby towarzyszącej – dodają ogłoszenie z informacjami o wydarzeniu. Drugi jest dla tych, którzy chcą chodzić na wesela, ale nie mają okazji – deklarują swoją dostępność w określonym czasie (np. przez najbliższe trzy miesiące) i czekają na zaproszenia.

Każde ogłoszenie zawiera zestaw konkretnych danych, które w grupach facebookowych często są pomijane. To m.in. lokalizacja wesela, termin, podstawowe oczekiwania wobec partnera/partnerki, a także bardziej szczegółowe kwestie organizacyjne. Włodkowski dodał też elementy, które wynikają bezpośrednio z doświadczeń użytkowników: można określić „scenariusz” dla gości (czy udajemy parę, czy mówimy prawdę), ustalić kwestie finansowe (kto płaci za udział), a także zaznaczyć np., czy zapewniony jest nocleg albo czy ważne są umiejętności taneczne. – To są rzeczy, o które ludzie i tak pytają, tylko często za późno – tłumaczy.

Ważną częścią aplikacji jest też system kontaktu i selekcji, który ma ograniczyć chaos znany z mediów społecznościowych. Zamiast przypadkowych wiadomości użytkownik dostaje zgłoszenia, które może zaakceptować, odrzucić albo rozpocząć rozmowę. Relację można w każdej chwili zakończyć. Aplikacja nie pozwala na wysyłanie zdjęć w czacie, co ma ograniczyć nadużycia i przesuwanie rozmów w niepożądanym kierunku.

BEZ WSTYDU I SKRĘPOWANIA

INTERNET BARDZO ZMIENIŁ SPOSÓB, w jaki budujemy relacje społeczne – przyznaje dr Czernecka. – Kiedyś, jeśli ktoś potrzebował osoby towarzyszącej na wesele, prosił znajomych albo rodzinę. Dziś wystarczy napisać post w grupie na Facebooku czy w aplikacji społecznościowej. To tworzy nowy typ relacji krótkotrwałych, sytuacyjnych, opartych na konkretnym celu. Ludzie umawiają się nie dlatego, że szukają miłości, ale dlatego, że chcą razem przeżyć jakieś wydarzenie – podkreśla socjolożka.

Jej zdaniem sieć obniża też próg wstydu i skrępowania, bo łatwiej napisać ogłoszenie do obcych, niż poprosić

znajomych o pomoc. Co ciekawe, takie „umowy społeczne” są często bardzo klarowne: wiadomo, że chodzi o wspólne wyjście, rozmowę, może taniec, ale bez presji, że musi z tego wynikać coś więcej.

Co ciekawe – dodaje dr Czernecka – w internetowych społecznościach pojawia się też zjawisko polecenia takich osób. Jeśli ktoś dobrze sprawdził się jako towarzysz czy towarzysza na weselu, był rozmowny, uprzejmy, potrafił stworzyć dobrą atmosferę, bywa później polecany przez innych użytkowników. Zdarza się nawet, że takie osoby stają się „rozchwytywanymi” partnerami w różne wydarzenia.

”

***Pójdzie z kimś
to komunikat:
„Ze mną wszystko
jest w porządku”.
W niektórych rodzinach
jest wręcz rywalizacja:
kto ma partnera,
kto odniósł sukces***

PSYCHOLOŻKA

DR ALEKSANDRA ŻYŁKOWSKA-WÓJCIK

„NIE ŻODNE FOCHY I DAŚY”

CZTERY RAZY BYŁAM W ZESZŁYM ROKU – Diana Kobus, 36-letnia księgowa z Katowic, o weselach mówi tak, jak niektórzy mówią o wyjściu do kina, a nie o weekendzie spędzonym z obcą osobą. Uwielbia ten klimat przy stole i na parkiecie, muzykę disco polo, śmiech, zabawę, poznanie ludzi. – Tańczyć nauczyłam się w dzieciństwie na wiejskich zabawach – opowiada.

Do grupy weselnej na Facebooku trafiła z ciekawości, a potem wystarczyło kilka komentarzy pod postami i pano-

wie sami się odzywali. Mechanizm był prosty: najpierw wiadomość, potem rozmowa, czasem spotkanie na kawie, kiedy sprawdzała, czy są dopasowani. I jak wszystko szło gładko, to wspólna impreza.

Pierwsze takie spotkanie pamięta dobrze. Mężczyzna pracował w Niemczech, do Polski przyjeżdżał tylko od czasu do czasu, więc zanim zdecydowali się pójść razem na wesele, zobaczyli się kilka razy. – Od razu zaznaczyłam, że nie szukam partnera – mówi. Była świeżo po rozstaniu i chciała raczej odetchnąć, niż wchodzić w nową relację. Wesele traktowała jako okazję do wyjścia z domu i chwili zapomnienia.

Z czterech wesel każde wyglądało inaczej. Najbardziej zapadło jej w pamięć to, z którego wracała sama, w środku nocy. Partner, który deklarował, że nie pije, szybko stracił kontrolę. – Spakowałam się i wyszłam – relacjonuje. Byli daleko od Katowic, ale na szczęście trafiła na miejscowość z komunikacją. Taksówka, dworzec, godzina czekania na pociąg. Od tamtej pory planuje takie wyjazdy inaczej: sprawdza lokalizację, dojazdy, możliwość powrotu na własną rękę.

Zdarza się, że panowie próbują zmieniać umówione zasady gry. – Niby przyjmują, że nic więcej, a potem zaczynają dążyć – opowiada. Dlatego nauczyła się stawiać jasne granice i szybko reagować, kiedy ktoś próbuje je przekroczyć.

Padają propozycje finansowe. – Był pan, który chciał zapłacić nawet za sukienkę – mówi. Odrzuciła ofertę, zwłaszcza gdy pojawiły się sugestie „czegoś więcej” po weselu.

Wybiera ogłoszenia, które mają w sobie coś więcej niż jedno zdanie. – Lubię, jak są napisane z humorem – mówi. Jej ulubione to, gdy pan szukał partnerki na góralskie wesele: „Ty mozesz być wysoko, piykno i najlepiej taka, co jak polecisz »Hej bystra woda«, to nie stoi pod ścianom jak cep przy stodole. Jak nie mos stroju, nie martw się, siostra abo koleżanki cosik piykneho pożyczom. (...) Ma być klimat, śmich i iskry, nie żodne fochy i daśy” [pisownia oryginalna]. **N**

agnieszka.zadlo@newsweek.pl

ATAK PANIKI

Katarzyna Kasia A wiosną wiosnę



Tak bardzo chciałabym napisać tekst o wiosnie. Opiewałabym w nim krzak bzu, rosnący pod moim domem. Jeszcze kilka dni temu wyglądał jak wiązka byle jak wbitych w ziemię patyków, aż tu nagle wypuścił piękne zielone listki, które tak doskonale prezentują się na tle błękitu nieba o poranku. Wspomniałabym też o trawnikach, na których wszystko kiełkuje: spod ziemi wylazi nie tylko trawa, ale i tulipany, krokusy, jakies bliżej niezidentyfikowane listki i kwiatki. Opowiedziałabym Państwu o tym, że powietrze pachnie już nadzieją, że mrozy odpuściły, że znowu się budzimy do życia, że czuję w sobie, w samym swoim rdzeniu tajemniczy rodzaj atawistycznej radości, bo jeszcze raz udało mi się przetrwać mrozy. A, i jeszcze, że za chwilę będą świeże polskie szparagi, tulipany za złotówkę, kolory i nowalijki. I że będzie można bez szcęknięcia zębami pójść na spacer nad rzekę albo do lasu, albo dokąd Państwo najbardziej lubią.

Tak bardzo chciałabym myśleć o wiosnie, a wciąż widzę Polskę. W 1920 r. Lechoń pisał: „Ja nie chcę nic innego, niech jeno mi płacze / Jesiennych wiatrów gędzba w półnagich badyłach; / A latem niech się słońce przegłąda w motylach, / A wiosną – niechaj wiosnę, nie Polskę zobacze”. I myślę, że to marzenie pozostaje aktualne, bo motyle wciąż schodzą na dalszy plan wobec prawdy zdarzeń aktualnych, a „łobuzy od historii” bez żadnego wahania są gotowe zabijać „panów od przyrody” jak w wierszu Herberta. Może to jest symptomatyczne, że mi poezja wraca ostatnio jakoś mocniej, bo ona pomaga uporządkować hierarchię ważności, układa we właściwym porządku priorytety. Mieszają mi się w głowie te piękne frazy, medytuję nad nimi i dzięki temu rozumiem, że pewne problemy pozostają nierozwiązane od dawna, jak te „rachunki krzywd” u Broniewskiego, co ich swoją dłoń przekreślić nie chce, a obca lepiej, żeby tego nie robiła.

Tak bardzo nie chcę znowu pisać o Karolu Nawrockim, który jako prezydent Polski zaatakował dziennikarza, na razie werbalnie, ale mowa ciała świadczyła jednoznacznie o tym, że mógłby skrzywdzić bardziej, bo pięści miał zaciśnięte, ramiona do przodu i krok ciężki. Zdanie „pan redaktor się ogarnie i słucha, co mówi prezydent Polski” miesza się w mojej niepotrzebnie przegrzanej głowie z całą tą poezją i tworzy dziwną miksturę. Nie daję mi ona niestety odpowiedzi na zasadnicze pytanie, które ukryło się za krótkim lontem, zaprezentowanym przez

Karola Nawrockiego jako prezydenta Polski, mianowicie dlaczego on w ogóle pojechał do tego Budapesztu?

O co w tym wszystkim chodzi? Kto i jak chce nam rozwaląć Unię Europejską? Co się zmieniło, że teraz się spotkał z Orbánem, a kilka miesięcy temu nie? Dlaczego jako prezydent Polski Karol Nawrocki zaangażował się w kampanię wyborczą na Węgrzech? Zadane przez dziennikarza pytanie było przecież absolutnie zasadne i miało głęboki sens. Nawrocki, popierając Orbána, jednoznacznie wsparł siły antyeuropejskie i prorosyjskie. Czy w interesie Polski leży zadawanie się z tymi, których polityczni przyjaciele w żadnym razie nie są naszymi przyjaciółmi? Nie sądzę, żeby taka refleksja się przed wizytą w Budapeszcie nie pojawiła. Wyjaśnił to zresztą pan Nawrocki jako prezydent w swoim przemówieniu w Przemyślu (tuż przedtem, zanim się kazał

Niech się pan jako prezydent Polski ogarnie, bo ja chcę mieć nad Wisłą bazie, a nie ruski mir

„ogarnąć”), kiedy stwierdził, że zarówno on, jak i węgierska głowa państwa Tamás Sulyok chcą, żeby nasze kraje były w Unii, ale...

Podobno jak się słucha polityków, to liczy się tylko to, co powiedzą po „ale”. W przemówieniu Nawrockiego była tam cała litania błędów i wypaczeń, z którymi się w Unii nie zgadza. Wszystko pomieszał ze wszystkim, ETS z Mercosurem, biurokrację z ideologią, politykę klimatyczną z nibytroską o kształt wspólnoty. „Jestem Polakiem i mam obowiązki polskie”, przypominał słowami Dmowskiego i w sumie wszystko się zgadzało, chociaż powinien był dodać, że te obowiązki są w tym wypadku bardziej jednak ruskie, bo komu na rękę jest burzenie europejskiego ładu, niszczenie wspólnoty, osłabianie nas? Dlaczego akurat spotkanie w ramach Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej stało się areną dla takiego przekazu? Nie był zresztą jedyny, lecz wpisał się w większy chór, bo w Budapeszcie pojawiło się w celu poparcia Orbána całe doborowe towarzystwo wspieranych przez Kreml europejskich polityków od Marine Le Pen, przez Matteo Salvinię, aż po Krzysztofa Bosaka.

Tak bardzo chciałabym pisać o wiosnie, ale od czasu weta wobec ustawy o SAFE rzeczy stały się zbyt oczywiste. Niech się pan jako prezydent Polski ogarnie, bo ja chcę mieć nad Wisłą bazie, a nie ruski mir. **N**

Katarzyna Kasia – filozofka, wykładowczyni akademicka, publicystka związana z TVP Info, „Kulturą Liberalną” i Radiem Nowy Świat

kinga_rybak@wp.pl

ZIELONY
POLSKA
Newsweek



EKOŻYCIE
z prof. Magdaleną
Vaverková

**CO MÓWIĄ
O NAS ŚMIECI**

**Klimatyzatory
bez prądu**

**Elektryczna
rewolucja
na drogach**

FOT. MAGDALENA DARIA VAVERKOVÁ

kinga_rybak@wp.pl



Ekożycie

Wysypiska wiedzy o ludziach

W Japonii istnieje pojęcie mottainai, które oznacza żal z powodu marnotrawstwa. W Polsce, co z oczu, czyli w śmietniku, to i z serca. Bez zmiany mentalności nie osiągniemy prawdziwej gospodarki obiegu zamkniętego – mówi prof. Magdalena Vaverková

ROZMAWIA MAGDALENA KRUKOWSKA

NEWSWEEK: Dlaczego wybrała sobie pani jako przedmiot zainteresowań naukowych wysypiska śmieci? To chyba niezbyt wdzięczne miejsca do badań naukowych.

MAGDALENA VAVERKOVÁ: Wręcz przeciwnie, badanie odpadów to moja pasja, i to dobrze udokumentowana (*śmiech*)! Wprawdzie zajęłam się tym przypadkiem, bo szukając tematu na doktorat, akurat trafiłam na profesora zajmującego się odpadami. I tak, cały okres badań spędziłam głównie na składowisku. Potem odwiedziłam ich wiele na całym świecie.

Od tych uporządkowanych i zadaszonych składowisk w Japonii po ogromne hałdy odpadów w Indiach, na których żyją ludzie i zwierzęta. To fascynujące miejsca, które wiele mówią o naszych zwyczajach. A przede wszystkim o efektywności lokalnej gospodarki odpadami.

A co mówią o Polakach?

– Że niewiele uwagi poświęcamy temu, co dzieje się z przedmiotami po ich wyrzuceniu. W moich analizach odpadów komunalnych z zabudowy wielorodzinnej prawie połowę strumienia odpadów zmieszanych stanowiły bioodpady – w dużej mierze były to resztki żywności. Wskazuje to na skalę marnowania jedzenia i utratę cennych zasobów, które mogłyby zostać wykorzystane do kompostowania lub produkcji biogazu. To także nie-

wykorzystany potencjał ograniczania emisji gazów cieplarnianych.

Z wydanego niedawno raportu badania odpadów komunalnych w Polsce UNEP/GRID „Co znajduje się w czarnym worku” wynika, że do zmieszanych trafiają też ogromne ilości surowców nadających się do recyklingu, z czego większość stanowią tworzywa sztuczne. A więc materiały, które w ogóle nie powinny znaleźć się na składowiskach. Podobne wyniki pojawiają się w badaniach prowadzonych w innych krajach. Zaskakująca pozostaje skala problemu mimo teoretycznie rosnącej świadomości ekologicznej oraz rozbudowanych systemów selektywnej zbiórki.

Z czego to może wynikać?

– Z tego, że wyrzucając worek do kosza, jesteśmy anonimowi. Gdy nikt nie widzi, co wyrzucamy, znika poczucie indywidualnej odpowiedzialności za to, co się w nim znajduje. Dlatego w wielu krajach zaczęto wprowadzać rozwiązania wykorzystujące mechanizmy behawioralne określane jako green nudging. Polegają one na wprowadzaniu niewielkich zmian w organizacji systemu, które subtelnie zachęcają ludzi do bardziej odpowiedzialnych zachowań.

Na przykład?

– W Japonii w wielu gminach mieszkańcy muszą stosować worki sprzedawane przez samorząd, są na nich oznaczenia pozwalające zidentyfikować konkretne gospodarstwo domowe. Z kolei jedna z kanadyjskich gmin wprowadziła obowiązek wystawiania odpadów w przezroczystych workach, z wyjątkiem jednego nieprzezroczystego dopuszczonego ze względów prywatności. Zarówno odbierający odpady, jak i sąsiedzi mogą zobaczyć, czy w worku znajdują się materiały nadające się do recyklingu lub żywność. W efekcie odzysk w tej gminie wzrósł o 15 proc., a całkowita ilość odpadów komunalnych spadła o 27 proc.!

Co mówią o nas wysypiska śmieci?

– Pokazują, jak bardzo współczesna konsumpcja opiera się na materiałach syntetycznych i złożonych opakowaniach. Wraz ze wzrostem poziomu życia rośnie udział tworzyw sztucznych, materiałów wielowarstwowych oraz produktów o krótkim cyklu użytkowania. W 2019 r., podczas badań terenowych na składowisku, znalazłam na przykład gazetę oraz opakowanie pochodzące z 1996 r. Pomimo upływu ponad dwudziestu lat napisy były nadal czytelne. Warunki beztlenowe oraz specyficzne procesy biologiczne powodują, że wiele materiałów, nie tylko plastik, rozkłada się znacznie dłużej, niż to się powszechnie wydaje. W krajach o bardzo niskich temperaturach warunki klimatyczne wpływają na procesy zachodzące w odpadach, dlatego niektóre składowiska można porównać do kapsuły czasu. Zachowują one część zdeponowanych materiałów przez wiele lat.

W swoich badaniach pokazuje pani, że odpady komunalne w Polsce to, nomen omen, jeden wielki śmietnik: od resztek jedzenia po elektronikę czy tekstylia. Jak duży to jest problem dla systemu odzysku surowców?

– Największym problemem jest to, że gdy miesza się ze sobą różne frakcje odpadów, bardzo szybko one się wzajemnie zanieczyszczają. Przykładowo, resztki jedzenia mogą zabrudzić papier lub tworzywa sztuczne, przez co tracą one właściwości umożliwiające recykling. Poza tym opakowania bardzo często składają się z kilku warstw różnych materiałów, na przykład plastiku, aluminium i papieru. Ich rozdzielanie jest technologicznie trudne i drogie, więc w praktyce tylko część z nich trafia do recyklingu. Dlatego tak ważna jest właściwa segregacja w domach, u źródła.

Czyli z punktu widzenia efektywności recyklingu najważniejsze jest nasze zachowanie przy koszu na śmieci?

– W dużej mierze tak. Kluczowy moment dla recyklingu często następuje nie w sortowni, lecz znacznie wcześniej, wtedy, gdy mieszkaniec decyduje, co wrzucić do danego pojemnika. To na tym etapie rozstrzyga się, czy surowiec zachowa swoją wartość, czy zostanie zanieczyszczony i przez to trudniejszy do odzyskania. Najnowocześniejsze technologie mogą zwiększyć efektywność procesu, ale nie zastąpią prawidłowej segregacji u źródła. Sortownia usprawnia system, jednak jego skuteczność w dużej mierze zależy od jakości odpadów trafiających do strumienia recyklingu.

Prowadziła pani badania w Japonii, która ma jeden z najbardziej efektywnych systemów gospodarowania odpadami na świecie. Czym różnią się śmietniki Japończyków od naszych?

– Japończycy sortują odpady na kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt kategorii. Rekordzistą jest miasteczko Kamikatsu, gdzie odpady segreguje się na 45 kategorii.

To działa, ponieważ ich model gospodarki odpadami był budowany równolegle na wielu polach – rozwoju regulacji, infrastruktury, zaangażowania społecznego i kultury poszanowania zasobów. System ten opiera się na koncepcji mottainai, rozumianej jako sprzeciw wobec marnotrawstwa oraz szacunek dla zasobów. Gospodarka odpadami oparta jest tam nie tylko na zasadach reduce, reuse, recycle i recover, ale również na elemencie respect, czyli szacunku dla zasobów naturalnych i środowiska. To podejście widać też w architekturze. W tradycyjnym japońskim budownictwie drewnianym od dawna stosowano rozwiązania pozwalające na demontaż, naprawę i ponowne wykorzystanie elementów konstrukcyjnych. Myślenie cyrkularne nie jest tam wyłącznie współczesną polityką środowiskową, lecz częścią znacznie dłuższej kultury materialnej i sposobu myślenia o zasobach.

Co się potem dzieje z tymi odpadami podzielonymi na kilkadziesiąt frakcji?

– Japonia dysponuje rozbudowaną siecią instalacji przetwarzania odpadów, a systemy zbiórki i segregacji są bardzo precyzyjnie zorganizowane na poziomie lokalnym. Tymczasem w Polsce nadal problemem są niewystarczające moce przetwarzania, ograniczona liczba nowoczesnych instalacji, słabe bodźce dla przedsiębiorstw do wykorzystania surowców wtórnych oraz zbyt duża zależność od składowania. Nie mówiąc o nielegalnych wysypiskach i spalaniu odpadów. Kluczowe znaczenie ma także poczucie współodpowiedzialności oraz zaufanie do systemu. Jeśli mieszkańcy nie dostrzegają związku między swoim wysiłkiem a efektem środowiskowym, rozbudowane systemy segregacji mogą być postrzegane jako nadmiernie skomplikowany obowiązek. Dlatego różnica między Polską a Japonią nie polega wyłącznie na liczbie pojemników, lecz przede wszystkim na tym, że w Japonii segregacja jest zakorzeniona społecznie, a u nas wciąż jest jeszcze traktowana głównie jako wymóg administracyjny.

System gospodarki odpadami to projekt kulturowy?

– W dużej mierze tak. Jednym z podstawowych problemów polskiego systemu jest to, że same regulacje można przenieść stosunkowo szybko, ale nie da się w ten sam sposób przenieść nawyków społecznych, zaufania do systemu i kultury codziennej odpowiedzialności. W Polsce przez lata rozwój systemu był nierównomierny. Prawo się zmieniało, ale nie zawsze towarzyszyły temu inwestycje w edukację, infrastrukturę i budowanie świadomości środowiskowej. W efekcie na część społeczeństwa spadł obowiązek segregacji odpadów, płacenia za gospodarowanie nimi i nie miała przekonania, dlaczego jest to ważne i jaki jest realny efekt tego wysiłku.

Trudno się dziwić rodakom, że nie są mistrzami segregacji, patrząc choćby na wprowadzony w tym roku zakaz wyrzucania do śmieci tekstyliów, z którymi nie bardzo wiadomo, co teraz robić. A z drugiej strony, do segregowania plastikowych butelek czy puszek trzeba nas zmuszać finansową kaucją.

– Właśnie dlatego liczy się nie tylko przepis, ale również codzienna logistyka i zachowania ludzi. Problem pojawia się wtedy, gdy przepis wyprzedza realną dostępność wygodnego systemu zbiórki. Jeżeli mieszkaniec słyszy, że czegoś nie wolno wyrzucić do pojemnika przy domu, ale jednocześnie nie ma łatwego punktu odbioru w pobliżu, to rośnie ryzyko omijania systemu. Ale długofalowo nie zadziała nawet najbardziej wygodny, szczelny i motywujący system zachęcania do segregacji. Chodzi o budowanie trwałej więzi ze środowiskiem, zrozumienia wartości zasobów i poczucia, że odpad nie znika po wyrzuceniu.

EKOŻYCIE

Gospodarka o obiegu zamkniętym nie może bowiem polegać jedynie na coraz skuteczniejszym zagospodarowywaniu coraz większej ilości odpadów. To jest nadal myślenie o końcowym etapie problemu, a nie o jego źródle. Powinniśmy przesunąć punkt ciężkości z zarządzania odpadami na niedopuszczanie do ich powstawania. Najlepszym odpadem jest bowiem ten, który w ogóle nie powstanie.

Łatwo powiedzieć...

– Z badań wynika wyraźnie, że źródło problemu leży w naszych wzorcach konsumpcji, codziennych nawykach, normach społecznych oraz kulturze użytkowania rzeczy. W gospodarstwach domowych o skali marnowania żywności w dużej mierze decydują planowanie zakupów, umiejętność oceny rzeczywistych potrzeb, sposób przechowywania żywności i zdolność wykorzystywania tego, co już zostało kupione. Innymi słowy, o ilości i strukturze odpadów decydują głównie nasze przyzwyczajenia, a nie tylko dostępne technologie. Poza tym, prawdziwa gospodarka obiegu zamkniętego zaczyna się już przy projektowaniu produktu, przy decyzji o zakupie i pytaniu, czy naprawę tego potrzebuję, czy da się

to naprawić, używać dłużej, przekazać dalej, kupić lepszej jakości, a czasem po prostu nie kupić wcale. Jeżeli tego sposobu myślenia nie ma, to nawet najlepszy system prawny i techniczny będzie stale przeciążony przez nadmiar rzeczy i nadmiar odpadów.

Jeśli nic się nie zmieni – ani w naszym stylu życia, ani w systemie gospodarowania odpadami – to gdzie będziemy za 10-15 lat?

– Taki scenariusz oznaczałoby utrzymywanie się wysokiego udziału odpadów zmieszanych, niskiej jakości selektywnej zbiórki oraz dalszą utratę wielu cennych surowców, które mogłyby wracać do obiegu gospodarczego. Mam nadzieję, że tak nie będzie. W ostatnich latach widać stopniową zmianę naszego myślenia o zasobach i konsumpcji. Coraz częściej mówi się nie tylko o zagospodarowywaniu odpadów, lecz przede wszystkim o tym, by zapobiegać ich powstawaniu. Rośnie zainteresowanie gospodarką cyrkularną, zwłaszcza wśród młodych ludzi – naprawą produktów, ponownym ich użyciem oraz ograniczaniem marnowania żywności. To są sygnały powolnej, ale jednak realnej zmiany. •

REKLAMA

**KUMHO
TIRE****KUP OPONY KUMHO
I ZGARNIJ 100 ZŁ!****Razem
w bezpieczną podróż****ECSTA SPORT****ECSTA SPORT**Więcej informacji w Regulaminie promocji na <https://kumho.openbenefit.pl/help/terms-of-service#/>

Technologie i klimat

Klimatyzatory bez prądu

Na świecie działa już około 2 mld klimatyzatorów. W ciągu najbliższych dekad ich liczba może wzrosnąć nawet do 5,5 mld. To dobra wiadomość dla naszego komfortu, ale zła dla klimatu. Są jednak sposoby, by temu zaradzić

TEKST MAREK WIELGO

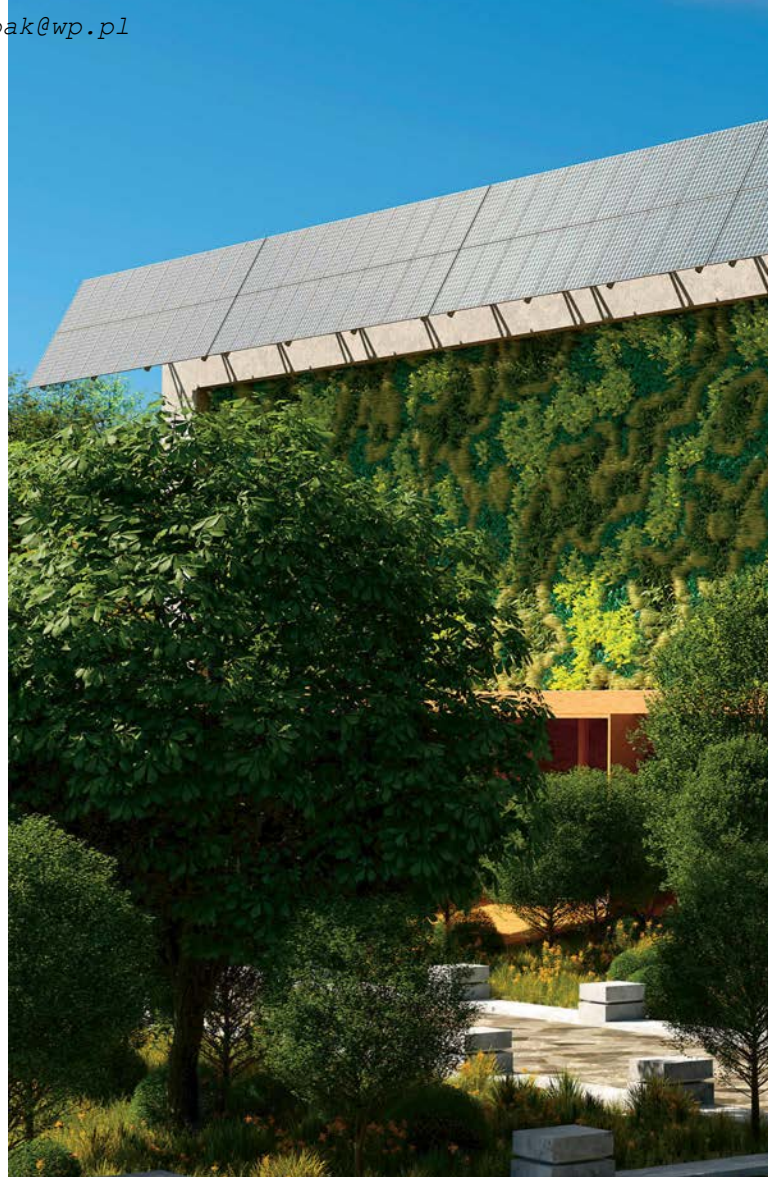
Zdecydowaliśmy się na klimatyzację, bo lato w 2024 r. dało nam się szczególnie we znaki. W słoneczne dni temperatura w naszym salonie z oknami na południe sięgała nawet 30 stopni. W takich warunkach nie da się normalnie żyć – opowiada pani Krystyna z Warszawy.

– Najgorsze były noce. W takim skwarze trudno zasnąć – dodaje jej mąż Leszek.

Małżonkowie zrealizowali plan rok temu. Co istotne, nie mieli problemu ani ze znalezieniem ekipy, ani z wyborem urządzenia.

– To wyglądało jak casting: kilkanaście firm, każda z własnymi rozwiązaniami i ceną. Najwyższa sięgała 20 tys. zł. Ostatecznie wybraliśmy ekipę, która znalazła sposób na montaż bez kosztownych przeróbek i bez szpecących rur. Całość zajęła niespełna miesiąc, zapłaciliśmy niecałe 7,5 tys. zł – wspomina pani Krystyna.

Układ mieszkania pozwolił zawiesić jednostkę wewnętrzną w przedpokoju, skąd chłód rozchodzi się do kuchni i pokoi. Jednostka zewnętrzna stanęła na balkonie



– oczywiście za zgodą spółdzielni. Administracja pilnuje, by takie urządzenia nie niszczyły elewacji, nie szpeciły budynku ani nie generowały uciążliwego hałasu.

Po roku użytkowania małżonkowie nie mają wątpliwości: – Jesteśmy bardzo zadowoleni. Klimatyzacja nie pracuje bez przerwy, więc rachunki za prąd nie wzrosły znacząco. Raz w roku trzeba tylko zrobić przegląd za ok. 300 zł.

Podobnych historii w Polsce jest coraz więcej. Jeszcze dekadę temu klimatyzacja w mieszkaniach była rzadkością. Według danych GUS korzystało z niej niespełna 1 proc. gospodarstw domowych. Dziś szacuje się, że liczba użytkowników wzrosła kilkukrotnie i przekracza już 900 tys.

Zmienił się także sam sprzęt. Dawniej dominowały głośne klimatyzatory przenośne – charakterystyczne „puszki z rurą” wystawianą przez okno. Dziś zastępują je wydajne i znacznie cichsze systemy typu split i multisplit. Coraz częściej klimatyzator pełni też funkcję taniego dogrzewania w okresach przejściowych. Deweloperzy sięgają po rozwiązania scentralizowane, wkomponowane w projekt budynku.



Powód jest prosty: upały są coraz częstsze, a Polacy są zamożniejsi niż dekadę temu. Klimatyzacja zaczyna być traktowana jak kiedyś zmywarka czy szybki internet – jako element codziennego komfortu.

Boom na klimatyzację nie dotyczy tylko Polski. Międzynarodowa Agencja Energetyczna szacuje, że na świecie działa już ok. 2 mld klimatyzatorów.

W Stanach Zjednoczonych korzysta z nich ponad 90 proc. gospodarstw domowych. W najgorętszych regionach świata, gdzie mieszka blisko 3 mld ludzi, wciąż tylko niewielka część mieszkańców.

To oznacza ogromny potencjał. Do połowy stulecia liczba klimatyzatorów może wzrosnąć nawet do 5,5 mld. Ale rosnąć będzie też zużycie energii na chłodzenie. Od 2000 r. wzrost wynosi średnio 4 proc. rocznie. Już dziś klimatyzacja i wentylatory odpowiadają za ok. 10 proc. globalnego zużycia energii elektrycznej i ok. 20 proc. zużycia prądu w budynkach. Jeśli nic się nie zmieni, zapotrzebowanie na energię do chłodzenia może do 2050 r. nawet się potroić.

Największymi „pożeraczami” energii nie są jednak mieszkania, lecz nowoczesne biurowce i centra handlowe. Szklane fasady wpuszczają ogromne ilości promieniowania słonecznego, a dodatkowo są nagrzewane przez ludzi, komputery i oświetlenie. W efekcie powstała architektura „szklanych piekarników”, które bez intensywnego chłodzenia stają się niezdatne do użytku w ciągu kilku godzin.

W Polsce, gdzie miks energetyczny w dużej mierze oparty jest na węglu, każda godzina pracy klimatyzatora oznacza realną emisję CO₂. Nasze sieci były historycznie projektowane pod zimowe szczyty zapotrzebowania, a nie lipcowe popołudnia. Ryzyko przeciążeń systemu elektroenergetycznego w czasie fal upałów przestaje więc być czysto teoretyczne.

W czasie upałów zamykamy się w szklanych wieżowcach i podkręcamy klimatyzację. Tymczasem okazuje się, że od dawna istnieją inne rozwiązania. Afrykańskie termityery, perskie wieże wiatrowe czy japońska

„porowatość” inspirują dziś architekturę, która chłodzi masą, cieniem i ruchem powietrza – zamiast prądem.

W połowie lat 90. architekt Mick Pearce otrzymał zadanie zaprojektowania biurowca w Harare. Warunek inwestora był jeden: budynek miał działać bez klasycznej klimatyzacji.

Zamiast sięgać po katalogi technologii, Pearce zaczął obserwować naturę – systemy wentylacyjne termitier, które mimo palącego słońca na zewnątrz utrzymują wewnątrz stabilną temperaturę.

Efektom tych obserwacji jest Eastgate Centre. Budynek wykorzystuje sieć kanałów wentylacyjnych i masywne ściany, które magazynują chłód. Nocą zasysa chłodne powietrze i „ładuje” nim konstrukcję. W dzień stopniowo oddaje zgromadzoną temperaturę, zapewniając komfort przy minimalnym zużyciu energii. To czysta fizyka.

Podobne podejście stosuje Diébédo Francis Kéré. W jego projektach kluczowe są cień i naturalna wentylacja.

Już dziś klimatyzacja i wentylatory odpowiadają za około 10 proc. globalnego zużycia energii elektrycznej i blisko jedną piątą zużycia prądu w budynkach

W szkole w Gando zaprojektował „lewitujący dach” – szeroką płaszczyznę unoszącą się nad budynkiem. Między warstwami swobodnie przepływa powietrze, które usuwa gorąco, zanim dotrze ono do wnętrza.

Z kolei japoński architekt Kengo Kuma traktuje budynek jak filtr. Warstwowe, ażurowe fasady z drewna i bambusa spowalniają przepływ powietrza i tworzą mikroklimat.

To nie są eksperymenty. To dowód, że z „paradoksu chłodzenia” można wyjść i że nowoczesność nie musi oznaczać hałaśliwego urządzenia pod oknem.

Chociaż polskie lato długo wydawało się łagodniejsze, rzeczywistość coraz częściej przypomina tę z południa Europy. Czy potrafimy budować bez „elektrycznej kroplówki”?

Dobrym przykładem jest budynek Wydziału Rzeźby ASP w Warszawie przy ulicy Spokojnej. Surowy betono-

wy monolit kryje w sobie przemyślany system magazynowania chłodu. Odślonięte ściany i stropy działają jak akumulator temperatury. Nocą budynek jest intensywnie wietrzony, a chłód „ładuje” jego strukturę. W dzień beton oddaje go powoli, stabilizując temperaturę.

Podobne rozwiązania zastosowano w katowickim Euro-Centrum. W stropach zatopiono system rurek z wodą, który odbiera nadmiar ciepła. Wykorzystuje się przy tym niższą temperaturę gruntu, co znacząco ogranicza zużycie energii.

Jeszcze inny pomysł wykorzystano w warszawskiej siedzibie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Elewację pokrywa tam gęsta warstwa roślin, która działa jak naturalna osłona przeciwsłoneczna. Zielona elewacja zatrzymuje promieniowanie słoneczne i obniża temperaturę powietrza dzięki parowaniu wody.

Chociaż takie rozwiązania wydają się bardzo odległe od codzienności mieszkańców bloków, wiele zasad pasywnego chłodzenia można zastosować również w zwykłym mieszkaniu.

Kluczowe jest wykorzystanie efektu albedo. Jasne powierzchnie odbijają światło, podczas gdy ciemne je pochłaniają. Dlatego czarne dachy potrafią się nagrzewać do 70-80 st. C. Jasna powłoka zmniejsza temperaturę powierzchni, co w niskich budynkach może obniżyć temperaturę wewnątrz o kilka stopni.

Jeszcze skuteczniejsze są zielone dachy. Warstwa roślin działa jak naturalna izolacja i chłodzi powietrze dzięki parowaniu wody. Podobny efekt dają pnącza na elewacjach lub drzewa rosnące przed oknami. Tworzą cień i obniżają temperaturę w najbliższym otoczeniu.

Istotne jest także właściwe wietrzenie mieszkań. Większość z nas popełnia ten sam błąd: otwiera okna, gdy robi się gorąco. Tymczasem w upalne dni dom powinien być jak twierdza – szczelnie zamknięty i zasłonięty od godziny 10 do 20. Chłodzenie zaczyna się nocą. Przeciąg przez kilka godzin pozwala „naładować” mury chłodem, który oddawany jest przez cały kolejny dzień.

Najważniejszą zasadą jest jednak zatrzymanie promieni słonecznych, zanim dotrą do szyby. Rolety wewnętrzne to tylko dekoracja – one blokują światło, gdy ciepło jest już w środku. Znacznie skuteczniejsze są markizy i żaluzje fasadowe. To one są pierwszą linią obrony.

Na świecie rośnie liczba miast, które zamiast zwiększać zużycie energii, próbują ograniczać nagrzewanie się przestrzeni.

W Nowym Jorku dachy pokrywa się powłokami odbijającymi światło. Temperatura ich powierzchni spada o 20-24 st. C względem czarnych dachów, a w niektórych

TECHNOLOGIE I KLIMAT

budynkach notuje się także kilkunastoprocentowe obniżenie temperatury wewnętrznej.

W Los Angeles wprowadzono obowiązek stosowania jasnych dachów w nowych inwestycjach. Celem jest ograniczenie efektu miejskiej wyspy ciepła i zmniejszenie zużycia energii.

W Phoenix testuje się także jasne nawierzchnie ulic. Obniżają temperaturę asfaltu, choć zwiększają odczuwalne promieniowanie dla pieszych, dlatego stosuje się je selektywnie, np. na parkingach i ulicach o niskim natężeniu ruchu pieszych.

Toronto jako jedno z pierwszych miast wprowadziło obowiązek zielonych dachów dla dużych budynków.

To nie są pobożne życzenia, lecz realne polityki miejskie, które przynoszą wymierne efekty – od spadków temperatury, przez mniejsze piki mocy, po oszczędności na rachunkach.

Wraz z ociepleniem klimatu chłód przestaje być tylko kwestią komfortu. Coraz częściej decyduje o zdrowiu i bezpieczeństwie. W czasie fal upałów najbardziej na-

rażone są osoby starsze i mieszkańcy gorzej izolowanych mieszkań. Klimatyzacja staje się więc nie tylko wygodą, ale i wyznacznikiem nierówności.

Dane nie pozostawiają złudzeń: ucieczka w stronę mechanicznego chłodzenia to wyścig, którego nie możemy wygrać. Im bardziej chłodzimy wnętrza, tym bardziej podgrzewamy świat na zewnątrz – i tym bardziej potrzebujemy kolejnych urządzeń.

To błędne koło.

W świecie coraz częstszych fal upałów budynki zdolne do utrzymania komfortowej temperatury bez ogromnych ilości energii stają się elementem bezpieczeństwa. Paradoks polega na tym, że im bardziej próbujemy uciec przed upałem za pomocą technologii, tym bardziej go wzmacniamy.

Być może najbardziej innowacyjnym elementem nowoczesnego mieszkania nie będzie wcale inteligentny termostat, lecz coś znacznie prostszego: markiza nad oknem, donica z bluszczem i biała farba. W erze zmian klimatu prawdziwym luksusem staje się bowiem dom, który potrafi zachować chłód sam. ●

REKLAMA

VIESSMANN

Zadbaj o idealny klimat w swoim domu

Inteligentne systemy klimatyzacji Vitoclima firmy Viessmann



5 lat gwarancji

R32

Ekologiczny czynnik chłodniczy

viessmann.pl



- ✓ Stabilna temperatura przez cały rok - chłodzenie latem i ogrzewanie zimą
- ✓ Możliwość podłączenia do jednostki zewnętrznej nawet 5 jednostek wewnętrznych
- ✓ Niskie koszty eksploatacji dzięki wysokiej efektywności
- ✓ Kontrola wilgotności powietrza i lampa UVC
- ✓ Wi-Fi i aplikacja mobilna z funkcjami: I Feel, Sleep, Turbo

Cicha rewolucja na drogach

Prąd do dechy



Bardzo drogie, szczególnie niebezpieczne, z niewielkim zasięgiem – jeśli w dyskusjach o samochodach elektrycznych wciąż używasz tych argumentów, to najwyższy czas odłożyć je tam, gdzie ich miejsce. Czyli do 2018 r. Obecnie elektryki podbijają drogi i autostrady, także w Polsce

TEKST JAKUB WIECH

Światowe turbulencje ostatnich lat są tak potężne, że sektorowe zmiany, które przed 2020 r. nosiłyby miano rewolucji, dziś traktowane są jako obojętne tło globalnych przetasowań – i przez to często niezauważane. Nie sposób nie odnieść wrażenia, że taki los spotkał rozwój elektromobilności, który w ostatnich latach przebiega w astronomicznym tempie. I nie ma w tym określeniu ani grama przesady.

Wystarczy sięgnąć pamięcią w nieodległą przeszłość, by przekonać się, jak gwałtownego przyspieszenia nabrały ostatnio samochody elektryczne. Jeszcze 5 lat temu na świecie sprzedawano ok. 2,5 mln nowych elektryków. Tymczasem w zeszłym roku liczba ta wzrosła do 21 mln, z czego ponad połowę (12,9 mln) sprzedano w jednym kraju – Chinach. Jak wylicza Bloomberg NEF, co czwarty nowy samochód osobowy sprzedany w 2025 r. na świecie był elektryczny – tzn. był autem albo w pełni baterijnym

FOT. EVGENII & KARINA GERASIMOV/ISTOCK



**W nieodległej przyszłości
można spodziewać się wieści
o pierwszym kraju,
gdzie elektroauta będą
odpowiadały za 100 proc.
nowych sprzedaży
samochodów. W Norwegii
to już jest 96 proc.**

(BEV), albo hybrydą typu plug-in (PHEV). Kierowcy rozglądający się za elektrykiem mają do dyspozycji już ponad tysiąc różnych modeli.

Te zmiany widać także w Polsce: na koniec 2025 r. po polskich drogach jeździło już 237 tys. samochodów elektrycznych, choć w grudniu 2019 r. nie było ich nawet 10 tys. Mało tego: w lipcu 2025 r. po raz pierwszy w historii liczba rejestracji nowych elektryków w Polsce była większa od liczby rejestracji nowych aut z silnikiem Diesla (odpowiednio 3814 wobec 3577 sztuk). Charakterystyczne zielone blachy, które jeszcze niedawno były czymś wyjątkowym na polskich drogach, przestały już wywoływać zdziwienie. Nie dziwią już także salony pełne elektryków w najbardziej reprezentacyjnych miejscach polskich miast – jak chociażby ulokowany na warszawskiej ul. Świętokrzyskiej salon chińskiego giganta BYD.

Za wzrostem popularności elektryków stoi przede wszystkim ich coraz niższa cena, która sprawiła, że stały się one konkurencyjne względem pojazdów spalinywych. Najtańsze nowe elektroauto można kupić w Polsce za ok. 70 tys. zł (chodzi o Dacię Spring). Co ciekawe, w 2019 r. za podobną nominalną kwotę (73 tys. zł) można było kupić Škodę CitiGOe iV – ze względu na promocję wynikającą z premiery obniżono cenę tego auta o prawie 10 tys. zł. Jednakże w ciągu tych 7 lat złotówka mocno straciła na swojej sile nabywczej, co trzeba doliczyć do kalkulacji.

Spadek cen elektryków wynikał z konkurencji, produkcyjnego efektu skali, a w kluczowej mierze – z taniejących baterii. W 2025 r. ogniwa do aut elektrycznych wyceniane były po ok. 100 dol. za kilowatogodzinę. Z kolei jeszcze 10 lat wcześniej ta sama pojemność była 5 razy droższa. Nic więc dziwnego, że standardem stają się elektryki z bateriami po 50-70 kWh, które są znacznie bardziej opłacalne niż ich technologiczni przodkowie z baterią o pojemności 40 kWh. Dla przykładu: najuboższa wersja Nissana Leafa 2 z baterią właśnie takiej pojemności kosztowała w 2017 r. 140 tys. zł. Obecnie za 156 tys. zł (w aktualnej promocji) można kupić podstawową Teslę Model 3 z baterią 60 kWh. Ktoś pewnie zapyta: gdzie ten spadek ceny? Ano, objawia się on we wspomnianym już wyżej spadku wartości pieniądza. Te 140 tys. zł z 2017 r. w przeliczeniu na dzisiejszą siłę nabywczą złotego to ok. 180 tys. zł.

Takie zmiany ceny szły w parze ze wzrostem zasięgu, który wynikał głównie z rozbudowania pojemności baterii. Kiedy rynek elektromobilności zaczął się rozwijać – czyli ok. 10 lat temu – przeciętny elektryk był w stanie przejechać na jednym ładowaniu mniej

więcej 150-200 km. Obecnie przeciętny zasięg urósł do 400-500 km, a zdarzają się takie auta, jak Lucid Air Grand Touring, który ma zasięg 800 km.

Rozpędzona elektromobilność zaczyna zmieniać nie tylko transport drogowy, ale także całe gospodarstwo – i to w tym geopolitycznym sensie. Najlepszym przykładem tego procesu są Chiny, główny rynek elektromobilności, gdzie liczba sprzedawanych nowych aut z silnikami spalinowymi spada nieprzerwanie od 2017 r., a samochody elektryczne odpowiadają już za większość nowych rejestracji.

Chińczycy traktują pojazdy elektryczne nie tylko jako sposób na wyhamowanie emisji gazów cieplarnianych i zanieczyszczeń, ale także (a może przede wszystkim?) jako sposób na niezależność. Rozwój elektromobilności umożliwił bowiem Chinom ograniczanie zużycia ropy naftowej. Według danych chińskich w 2025 r. elektryfikacja gospodarki przyniosła oszczędność surowca w wielkości ok. 600 tys. baryłek dziennie.



nej instalacji elektrycznej lub po korzystnych cenach dynamicznych prądu, spadających niekiedy do zera. Elektryk jeździ bowiem wtedy praktycznie za darmo – co jest miłą odskocznią od obecnych poziomów cen paliw na stacjach, oscylujących już wokół prawie 7 zł za litr benzyny. Co więcej, samochód elektryczny można wkomponować za pomocą rozwiązań Vehicle2Home w domową infrastrukturę energetyczną – i korzystać z niego tak jak z magazynu energii.

Elektromobilna rewolucja już tu jest – ale dopiero się rozpędza. Wystarczy zerknąć na najnowsze doniesienia z sektora, żeby to zrozumieć.

We wrześniu 2025 r. chiński koncern CATL pochwalił się nową baterią, która ma jeszcze bardziej wzmocnić pozycję elektryków. Chodzi o Shenxing Pro, czyli baterię litowo-żelazowo-fosforanową, która ma być sprzedawana w zestawach gwarantujących zasięg na poziomie 758 km i żywotność 1 mln km. A także moc ładowania 830 kW przy możliwości ładowa-

W Polsce w lipcu 2025 r. po raz pierwszy w historii zarejestrowano więcej nowych elektryków niż nowych aut z silnikiem Diesla. Odpowiednio 3814 wobec 3577 sztuk

To tak, jakby Chiny ścięły swój import o 5 proc. Z kolei sama sprzedaż paliw spadła w ChRL w ubiegłym roku o 5,7 proc. w stosunku do roku 2024.

Te wskaźniki pokazują zupełnie nową stronę rozwoju sektora aut elektrycznych – z jednej strony przejście na elektromobilność pozwala zaoszczędzić pieniądze wydawane na import nośników energii pokroju ropy czy gotowych paliw. Z drugiej strony elektromobilność zabezpiecza przed takimi szokami cenowymi, jak gwałtowny skok cen surowców po „blokadzie” cieśniny Ormuz, do której doszło na początku marca. Z trzeciej strony w przypadku Chin przejście na samochody elektryczne to de facto wzmocnienie siły własnego przemysłu – czyli producentów takich jak BYD, Chery, Geely, Nio czy Xiaomi.

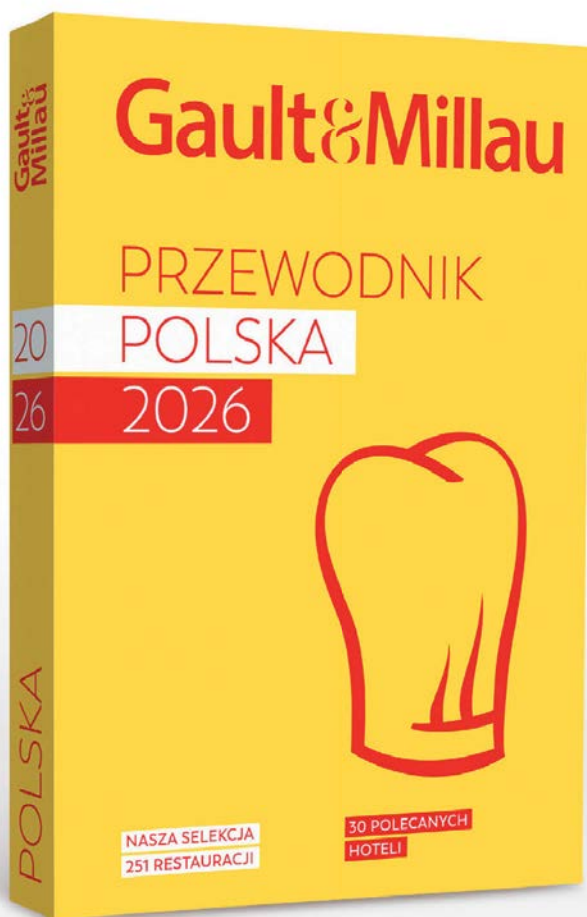
Jednakże nie trzeba być globalną potęgą, by odczuć ekonomiczne korzyści płynące z samochodów elektrycznych. Można je osiągnąć także w skali własnego domu – wystarczy np., że będzie się ładować elektroauto z włas-

nia do 478 km zasięgu w zaledwie 10 minut. Równolegle BMW zaprezentowało swoją Neue Klasse, czyli nową generację samochodów elektrycznych oraz całą architekturę technologiczną, na której będą budowane przyszłe modele marki – do polskich salonów trafił właśnie sztandarowy model tego rozdania, czyli iX3. Z kolei kilkanaście tygodni temu Porsche wypuściło elektryczne Cayenne, które będzie ładowane indukcyjnie, a więc bez konieczności podpinania samochodu do ładowarki.

Samochody elektryczne zaczęły więc na dobre swój marsz po dominację na drogach świata. Wiadomo, że będzie on trwał jeszcze sporo czasu – ale jego tempo będzie narastać. Informacji o sukcesach elektryków będzie zatem przybywać. W nieodległej przyszłości można spodziewać się np. wieści o pierwszym kraju, gdzie elektroauta będą odpowiadały za 100 proc. nowych sprzedaży samochodów. Najbliżej tego celu jest Norwegia, gdzie współczynnik ten wyniósł w zeszłym roku 96 proc. •

Gault&Millau

Jeden z **najbardziej prestiżowych**
przewodników kulinarnych na świecie



Odkryj **251 najlepszych restauracji i 30 wyjątkowych hoteli** w Polsce, wybranych i ocenionych według międzynarodowych standardów jakości.



Szukaj w punktach sprzedaży lub na literia.pl

IRAŃSKI REŻIM GRA TRUMPOWI NA NOSIE

CENA WOJNY

Tankowiec Luojiashan zakotwiczony w Maskacie, podczas gdy Iran szykuje się do zamknięcia cieśniny Ormuz, Oman, 7 marca 2026 r.

NEWSWEEK: Kto dziś bardziej przedłuży tę wojnę?

GALIP DALAY: Dziś to raczej Iran, bo wciągając USA i szerzej Zachód w wojnę, chce sprawić, by ewentualne kolejne uderzenie nie było dla Waszyngtonu ani szybkie, ani tanie. Chodzi o zmianę kalkulacji Waszyngtonu: cena kolejnego ataku ma być tak wysoka dla Amerykanów, Zachodu, krajów Zatoki Perskiej i dla globalnej gospodarki, żeby niemal nikt w regionie nie chciał wojny.

Na początku Amerykanie mogli sądzić, że po zabiciu części kierownictwa i uderzeniu w strategiczną infrastrukturę wywołają w Iranie bunt wewnętrzny albo nawet załamanie

systemu. To się nie wydarzyło. Iran nie jest Irakiem Saddama ani Libią Kaddafiego. Najwyższy przywódca jest ważny, ale system nie opiera się wyłącznie na jednej osobie, istnieją instytucje, które nadal działają. Usunięcie jednej postaci, a nawet całej wierzuszki, nie wystarczy, by państwo się rozsypało. Ta cywilizacja ma tysiące lat. To są wieki doświadczenia, pamięci instytucjonalnej, ciągłości dyplomacji, myśli strategicznej. Wyobraź sobie MSZ, którego historię liczy się nie w dekadach, ale mileniach.

W pierwszych dniach Ameryka mogła jeszcze powiedzieć, że zlikwidowano znaczną część kierownictwa, zdegradowa-

Teheran kalkuluje, że jeśli USA, państwa sąsiednie i globalna gospodarka nie odczują realnego bólu, ataki na Iran będą się powtarzać. Przeciąga więc wojnę, by kolejnej już niemal nikt nie chciał – twierdzi GALIP DALAY, turecki ekspert od Bliskiego Wschodu

ROZMAWIA SŁAWOMIR SIERAKOWSKI



no infrastrukturę Iranu, osłabiono jego zdolności i misja zakończona. Dziś poprzeczka sukcesu jest znacznie wyżej. Dochodzi przecież kwestia cieśniny Ormuz: przez nią przechodzi ogromna część światowego handlu ropą, nawozami, żywnością, a nawet pierwiastkami ziem rzadkich, więc to punkt kluczowy dla globalnej gospodarki. Iran nie musi nawet formalnie zamykać tego szlaku; wystarczy, że uczyni z niego stałe źródło ryzyka i z całego regionu Zatoki Perskiej zrobi epicentrum wojny. To już samo w sobie podnosi koszt dla USA, państw zatoki, Zachodu i całej światowej gospodarki.

Po ostatnich zmianach irańskie kierownictwo staje się bardziej radykalne niż wcześniej?

– Taki jest ogólny kierunek. Coraz silniej widać wpływ Korpusu Strażników Rewolucji. Im dłużej trwa wojna, tym bardziej państwo przesuwają się w stronę reżimu wojskowego, a twardogłowi zyskują przewagę nad bardziej pragmatycznymi aktorami. Wojna radykalizuje system.

Na pierwszy plan wychodzą ludzie młodszy, bardziej ideologiczni i mocniej związani z aparatem bezpieczeństwa. Ale najważniejsze jest nie tyle konkretne nazwisko, ile logika systemu: dłuższa wojna oznacza więcej militaryzacji, bardziej

zamknięty kraj i bardziej konfrontacyjne zachowanie wobec całego regionu.

Czy w takim razie Iran chce dziś rozejmu?

– Nie chodzi o to, że Teheran po prostu chce albo nie chce zawieszenia broni. Z punktu widzenia reżimu liczy się kalkulacja kosztów. W czerwcu mieliśmy 12-dniową wojnę i wniosek po stronie irańskiej był prosty: dla Stanów Zjednoczonych poprzednia wojna była relatywnie tania. Amerykanie weszli, uderzyli i wyszli, nie płacąc większej ceny.

Obecna kalkulacja brzmi więc tak: jeśli USA, państwa sąsiednie, Zachód i globalna gospodarka nie odczują realnego bólu, takie ataki będą się powtarzać i z czasem staną się normą. To oczywiście bardzo ryzykowna strategia, bo Iran może przez nią spalić mosty z prawie wszystkimi sąsiadami. Już teraz uderza w państwa zatoki, pola gazowe i infrastrukturę cywilną, zwłaszcza w Emiratach. Nawet jeśli wojna się skończy, Iran wyjdzie z niej bardziej izolowany niż wcześniej.

”

**JEŚLI IRAN NIE
UPADNIE, JEŚLI NIE DOJDZIE
DO NARZUCONEJ Z ZEWNĄTRZ
ZMIANY REŻIMU I NIE UDA SIĘ
GO TRWALE WYPCHNAĆ Z GRY,
TO W TEHERANIE BĘDZIE
MOŻNA SPRZEDAĆ
TO JAKO SUKCES**

Teheran stać na grę na czas, licząc na to, że Donald Trump zapłaci za przedłużającą się wojnę cenę polityczną przed wyborami połówkowymi do Kongresu?

– Czas wciąż może działać na korzyść Iranu, bo Teheran ma narzędzia, by stale podnosić koszt konfliktu – przede wszystkim przez zagrożenie dla żeglugi i rynku energii w okolicach cieśniny Ormuz. Im dłużej trwa wojna, tym większe ryzyko inflacji, kryzysu energetycznego i żywnościowego, a także rosnącego kosztu politycznego dla Białego Domu.

Jeżeli doszłoby do wejścia wojsk lądowych USA, cena wewnętrzna dla Ameryki byłaby jeszcze większa, bo wzrosłaby liczba ofiar. Z perspektywy Iranu USA i Izrael mają dziś bardzo podobne cele strategiczne. Amerykanie chcą przede wszystkim zdegradować Iran jako siłę, a Izrael idzie dalej – bliżej mu do scenariusza załamania państwa. To nie jest już tylko kwestia „zmiany reżimu”, ale raczej doprowadzenia do sytuacji, w której Iran przez lata będzie pochłonięty kryzysem wewnętrznym.

Co oznaczałoby takie załamanie dla regionu i dla Europy?

– Ogromną destabilizację. Iran mógłby zostać pochłonięty walką wewnętrzną na lata. Taki kraj generowałby fale uchodźców, radykalizację, wojny zastępcze i trwałe zagrożenie dla żeglugi w Zatoce Perskiej oraz dostaw ropy. Z punktu widzenia niektórych polityków właśnie to może być celem: nie tyle szybka zmiana władzy, ile państwo sparaliżowane od środka.

Gdyby z Iranu ruszyły duże fale uchodźców, skala mogłaby być większa niż w przypadku Syrii. Część ludzi zatrzymałaby się w krajach sąsiednich, ale wielu próbowałoby dotrzeć do Europy. To oznaczałoby kolejny głęboki kryzys polityczny w Europie i bardzo silne wzmocnienie skrajnej prawicy.

Dlaczego w irańskiej kalkulacji najważniejszą są Stany Zjednoczone, a nie sam Izrael?

– Bo koszt długiej wojny dla USA jest ostatecznie wyższy. Izraelskie społeczeństwo prawdopodobnie jest w stanie znieść konflikt dłużej niż amerykańskie. Dlatego Teheran koncentruje się przede wszystkim na Waszyngtonie. Irańska strategia zakłada, że Stany Zjednoczone nie będą w stanie utrzymać takiego poziomu zaangażowania przez długi czas.

Podobnie jest z państwami Zatoki Perskiej. One także mają ograniczoną zdolność do ponoszenia długotrwałych kosztów. Dlatego Iran próbuje zmieniać kalkulację właśnie w tych dwóch miejscach: w USA i w zatoce. Chodzi o to, żeby wojna stawała się politycznie i gospodarczo coraz trudniejsza do udźwignięcia.

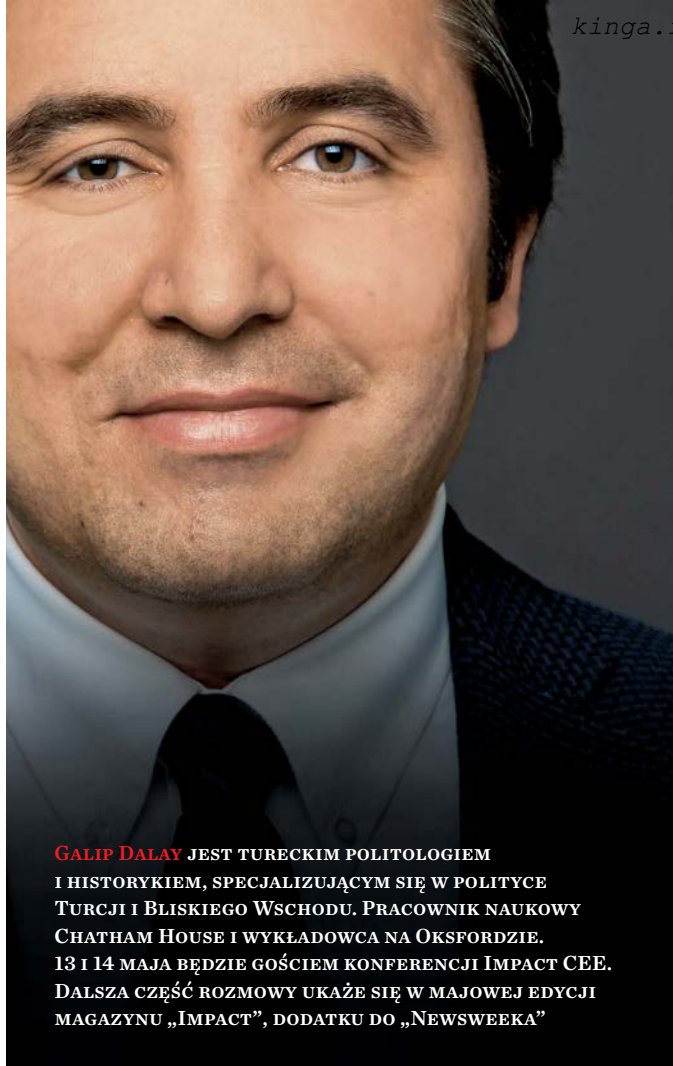
Jak dużą cenę płacą dziś państwa Zatoki Perskiej?

– Koszt jest ogromny. Zjednoczone Emiraty Arabskie znalazły się pod większą presją niż Izrael, spada tam więcej dronów, mimo że same nie prowadzą wojny z Iranem. To pokazuje skalę problemu. Model państw zatoki opiera się na wizerunku stabilności, bezpieczeństwa, przewidywalności i komfortu dla biznesu, kapitału, turystyki i ekspatów. Wojna podważa właśnie ten fundament. Dochodzi do tego ryzyko dla rynku energii i infrastruktury krytycznej. Jeśli wojna będzie się przedłużać i dojdzie do jeszcze poważniejszych uderzeń w instalacje energetyczne, skutki odczuje cały świat. To byłoby nie tylko regionalna katastrofa, ale także poważna zmiana dla całej gospodarki międzynarodowej.

Dlaczego Iran tak mocno uderza właśnie w państwa zatoki, skoro próbowały raczej powstrzymać USA przed wejściem do wojny?

– Bo z irańskiego punktu widzenia państwa zatoki są jednymi z najskuteczniejszych kanałów nacisku na Amerykę. Są ważne finansowo, energetycznie i strategicznie. Jeśli Iran uderza w region zatoki, zakłóca globalny rynek energii, podnosi ryzyko inflacji i pokazuje, że cena wojny będzie dużo wyższa, niż zakładano.

Poza tym właśnie tam znajdują się najważniejsze amerykańskie instalacje i bazy wojskowe w regionie – zwłaszcza w Katarze, ale też w Arabii Saudyjskiej i innych państwach. Atakując przestrzeń zatoki, Iran nie musi atakować samych Stanów Zjednoczonych, aby zwiększyć presję na Waszyngton. Wystarczy, że podniesie koszt wojny tam, gdzie amerykańska obecność jest najbardziej zakorzeniona. I gdzie interesy samego Trumpa są najistotniejsze.



GALIP DALAY JEST TURECKIM POLITOLOGEM I HISTORYKIEM, SPECJALIZUJĄCYM SIĘ W POLITYCE TURCJI I BLISKIEGO WSCHODU. PRACOWNIK NAUKOWY CHATHAM HOUSE I WYKŁADOWCA NA OKSFORDZIE. 13 I 14 MAJA BĘDZIE GOŚCIEM KONFERENCJI IMPACT CEE. DALSZA CZĘŚĆ ROZMOWY UKAŻE SIĘ W MAJOWEJ EDYCJI MAGAZYNU „IMPACT”, DODATKU DO „NEWSWEEKA”

Tylko że ta kalkulacja wydaje się irracjonalna, skoro ofiarami będą Europa, Azja, ceny importu i kolejne fale uchodźców.

– Tak to wygląda z zewnątrz, ale trzeba zrozumieć logikę systemu, który walczy o przetrwanie. W takim położeniu wiele decyzji wydaje się szalonych, ale są podejmowane z pozycji obrony własnego istnienia. W tej logice nie chodzi o „wygraną wojny” w klasycznym sensie. Chodzi o to, by nie przegrać dzisiaj. Jutro będzie problemem jutra.

Dlatego dla Iranu samo niezałamanie się państwa może już zostać przedstawione jako zwycięstwo. Jeśli kraj nie upadnie, jeśli nie dojdzie do narzuconej z zewnątrz zmiany reżimu, jeśli nie uda się go trwale wypchnąć z gry, to w Teheranie będzie można sprzedać to jako sukces. To przede wszystkim zwycięstwo psychologiczne: przetrwaliśmy, więc nie przegraliśmy.

Czyli jeśli Iran po prostu przetrwa, to może uznać to za wygraną?

– W dużej mierze tak. Iran wchodził w ten konflikt z ryzykiem bardzo głębokiej degradacji, a nawet załamania. Jeśli USA i Izrael nie osiągną swoich maksymalnych celów – zmiany reżimu, załamania państwa albo trwałego odebrania Iranowi wpływu na Ormuz – to z punktu widzenia Teheranu będzie to oznaczało, że przeciwnik nie osiągnął tego, po co wszedł do wojny.

Ludzie będą oceniać rezultat nie tylko po tym, ilu dowódców zabito i jak bardzo uszkodzono infrastrukturę, ale też po tym, jak zmieniła się pozycja Iranu po wojnie. Jeżeli Iran wyjdzie z niej z większą zdolnością wpływania na rynek energii i z silniejszą pozycją przy cieśninie Ormuz, to paradoksalnie – mimo strat,

izolacji i osłabienia – może zostać uznany za gracza mocniejszego niż przed wojną. Z psychologicznego punktu widzenia sama zdolność do przetrwania i zadania poważnych strat agresorowi zostanie uznana za sukces.

Ale czy z tego, że Iran przetrwa, wynika automatycznie trwałość reżimu? Wojna osłabia czy wzmacnia reżim?

– Scenariusz rozpadu nadal istnieje, ale nie jest prosty. Największą przewagą obecnego systemu jest brak zorganizowanej, realnej alternatywy opozycyjnej, która mogłaby szybko przejąć kraj. Dlatego nie zakładalbym prostego przejścia od kryzysu wojennego do pełnej zmiany władzy.

Po wojnie reżim niekoniecznie byłby silniejszy; raczej bardziej narażony i jeszcze bardziej zmilitaryzowany. Wszystko zależy od czasu trwania wojny. Jeśli konflikt będzie się przeciągał, możliwość częściowego załamania nadal istnieje: erozja kontroli, utrata wpływu nad częścią kraju, rozszczelnienie państwa. Taki scenariusz mógłby z czasem przypominać Syrię Asada w okresie, gdy Damaszek trzymał rdzeń władzy, ale nie miał już pełnej kontroli nad całym terytorium. Jedno jest natomiast jasne: Stany Zjednoczone wolałyby krótką wojnę, nie długą.

A jak ta wojna wpływa na wojnę Rosji z Ukrainą?

– Dla Rosji w krótkim i średnim terminie to raczej sytuacja korzystna. Wzrost cen energii oznacza więcej pieniędzy dla rosyjskiej maszyny wojennej. Jeśli handel przez Ormuz zostaje zakłócony albo pojawia się silniejsze ryzyko takiego zakłócenia, część popytu może się przesunąć w stronę rosyjskich surowców. To wzmacnia Moskwę.

Drugi element to uwaga polityczna i strategiczna Zachodu. Im bardziej Stany Zjednoczone są zajęte Iranem, tym mniej uwagi i energii poświęcają Ukrainie. Możliwe są także próby włączenia sprawy Iranu do szerszych rozmów amerykańsko-rosyjskich, obok innych konfliktów regionalnych. USA mogą być podatne na prehandlowanie interesów Ukrainy za porzucenie Iranu przez Rosję.

Relacje rosyjsko-irańskie nie są idealne. W Iranie słychać rozczarowanie, że Moskwa nie zrobiła dla niego wystarczająco dużo. Rosja korzystała z irańskich dronów przeciwko Ukrainie, a później rozwijała te zdolności u siebie. Dziś do Iranu wracają te same drony, ale znacznie wzmocnione technologicznie przez Rosjan. Można więc mówić o realnej współpracy wojskowo-technologicznej, nawet jeśli nie jest to relacja pozbawiona napięcia.

Dla Rosji najlepszy byłby długi konflikt: wysokie ceny energii, mniejsze zainteresowanie Zachodu Ukrainą i większa dezorganizacja po stronie przeciwników. Ale gdyby wojna doprowadziła do realnego załamania Iranu, byłby to dla Moskwy poważny problem strategiczny. Tutaj wszystko zależy od czasu trwania konfliktu.

Czy Iran może odpowiedzieć także serią ataków terrorystycznych w USA, Zatoce albo Europie?

– Raczej nie od razu, ale to jest możliwe. Ludzie bliżej sfer władzy albo nawet działający na własną rękę, którzy ulegną radykalizacji w wyniku tej wojny, mogą się zaangażować w takie działania. **N**

Sławomir Sierakowski



KOLUMBIJSKIE PRZEKLEŃSTWO

Mroczny cień narcos

Minęły 33 lata od śmierci Pablo Escobara, ale Kolumbia jest wciąż państwem narkotykowym – mówi wybitny kolumbijski pisarz **JORGE FRANCO**, urodzony w Medellín

ROZMAWIA JACEK PAWLICKI

NEWSWEEK: Gabriel García Márquez powiedział kiedyś, że jest pan jednym z tych kolumbijskich pisarzy, którym chciałby przekazać pałeczkę. Namaszczenie przez mistrza pomaga?

JORGE FRANCO: To było w 2002 r. Márquez zaprosił mnie do założonej przez siebie szkoły filmowej w Hawanie. Miałem poprowadzić kurs o sztuce opowiadania historii. Kiedy podczas jednego z otwartych spotkań powiedział o przekazywaniu pałeczki, byłem przekonany, że chodzi mu o kogoś innego. Kiedy okazało się, że wskazał na mnie, byłem głęboko poruszony i dumny. Z czasem przekonałem się, że namaszczenie przez Márqueza jest też ciężarem, bo oczekiwania wobec mnie jako pisarza znacznie wzrosły. Długo bałem się zawieść pokładane we mnie nadzieje. W końcu zrozumiałem, że aby być naprawdę lepszym pisarzem, muszę zapomnieć o pochwałach z jego strony.

Spotkanie z Márquezem było inspirujące?

– To było naprawdę wspaniałe doświadczenie. Zaprosił mnie do swojego domu w Hawanie. Spędziliśmy razem wiele godzin, rozmawiając o literaturze, filmach i adaptacjach filmowych znanych powieści. Zbliżyliśmy się do siebie.

Pochodzi pan z Medellín, rodzinnego miasta Pablo Escobara, twórcy kartelu

narkotykowego z Medellín.

Jak wyglądało pana dzieciństwo?

– Moje Medellín było spokojnym, zielonym miastem. Dorastałem w czasach przed pojawieniem się karteli narkotykowych, przed wielkim boorem budowlanym. Nie było więc drapaczy chmur czy wielopiętrowych apartamentowców. Pod koniec lat 70. miasto zaczęło się zmieniać. Pojawiły się drogie samochody, apartamentowce i luksusowe sklepy. Coraz bardziej widoczna stała się też grupa ludzi zamożnych, dzięki której te zmiany następowały.

Narcos?

– Handlarze narkotyków i ci, którzy dla nich pracowali. Na przełomie lat 70. i 80. Medellín przestało być normalnym miastem. Coraz częściej dochodziło do brutalnych starć między gangami. Zdarzało się, że na ulicach mijało się świeże zwłoki. W końcu usłyszeliśmy o kartelu z Medellín i Pablo Escobarze, który, jak się potem okazało, na zawsze zmienił historię miasta. Co ciekawe, na początku mieszkańcy nie byli negatywnie nastawieni do Escobara, wręcz przeciwnie – postrzegali jego sukces jako szansę, bo w Medellín pojawiły się ogromne pieniądze i każdy miał nadzieję z tego skorzystać finansowo. W miarę jak rosła przemoc i liczba ofiar, ludzie zaczęli

Graffiti przedstawiające barona narkotykowego Pablo Escobara, Medellín, Kolumbia

FOT. JORGE CALLE/ANADOLU AGENCY/ABACAPRESS.COM/NEWSPIX.PL

zdawać sobie sprawę, że wszystko zmierza w złym kierunku.

Nikt nie był bezpieczny?

– Kartele zburzyły porządek społeczny. Coraz trudniej było prowadzić normalne życie, chodzić do pracy, uczyć się, spotykać ze znajomymi. Narkotyki zmieniły sposób myślenia wielu mieszkańców. Powiedziałbym, że zwyczajni ludzie zaczęli postrzegać rzeczywistość w sposób mafijny.

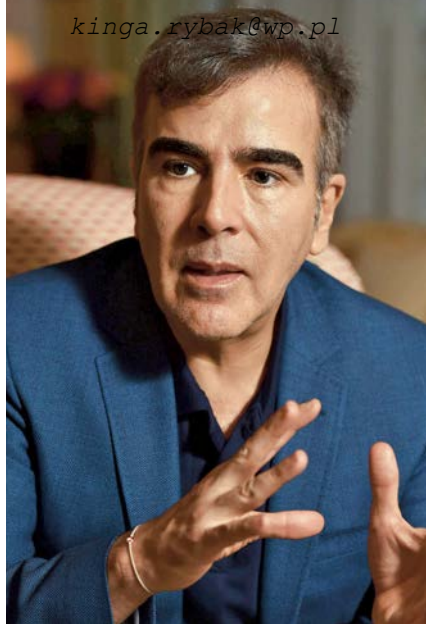
Chodzi o mentalność mafijną?

– Ta „narkomentalność” pokutuje do dzisiaj, i to nie tylko w Medellín, ale w całej Kolumbii, choć na szczęście nie jest tak powszechna jak wtedy. Myślę, że to jedna z najgorszych rzeczy, jakie odziedziczyliśmy po handlarzach narkotyków. W czasach młodości byłem świadkiem podwójnej przemiany mojego miasta. Medellín najpierw zmieniło się w stolicę przemocy, a po śmierci Escobara stało się barwnym, nowoczesnym, tętniącym życiem i otwartym miastem. Takim jest do dziś.

Pamięta pan moment, w którym zabito Escobara? O czym pan wtedy pomyślał?

– Mieszkałem wtedy w Bogocie, dokąd się przeprowadziłem, gdyż pod koniec lat 80. Medellín stało się miastem zupełnie nie do życia. Zrobiło się tak niebezpiecznie, że nie można było nawet wyjść z domu. Kiedy ktoś ze znajomych powiedział, że Escobar nie żyje, nie uwierzyłem. Informacje o zabiciu „króla kokainy” pojawiały się wcześniej co najmniej cztery razy, ale za każdym razem były nieprawdziwe. Kiedy w wiadomościach telewizyjnych zobaczyłem ciało Escobara na dachu domu w dzielnicy Los Olivos, ogarnęło mnie dziwne uczucie – mieszanina wielkiej ulgi ze strachem. Pod koniec życia Escobar był już wprawdzie osłabiony, ale baliśmy się odwetu ze strony rodziny czy ludzi kartelu. Po jakimś czasie zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że to, co się stało, jest dla Kolumbii szansą, by zacząć wszystko od nowa.

Jaki jest dziś stosunek Kolumbijczyków do Escobara? Kiedy w styczniu byłem w Medellín, odniosłem wrażenie, że stał się swego rodzaju atrakcją turystyczną. Można kupić T-shirty z jego podobizną.



”

Escobar kochał rozgłos, chciał być sławny. Dzisiejsze kartele są dyskretne, działają w cieniu, a ich przywódcy to ludzie biznesu

JORGE FRANCO

– Kolumbia bardzo się zmieniła. Dorosło pokolenie, dla którego kartel z Medellín to historia. Średni wiek mieszkańców Medellín wynosi 30 lat, więc większość z nich urodziła się już po śmierci Escobara. Dla nich stał się postacią popkultury. Uważam, że to nie jest w porządku – nie można zapominać o zbrodniach Escobara ani olbrzymich szkodach, jakie wyrządził Kolumbii. Lokalne władze próbowały walczyć z komercjalizacją pamięci o nim. Podjęto decyzję o zniszczeniu jego domu, aby nie stał się atrakcją turystyczną. Niestety odnoszę wrażenie, że Escobar w Kolumbii jest dziś postrzegany tak jak Al Capone w USA – jako gangster, który stał się legendą, postacią z filmu. Problemowi zmierzenia się z dziedzictwem Escobara poświęciłem wydaną w 2018 r. powieść „El cielo a tiros”, która w angielskim tłumaczeniu ukazała się jako „Shooting Down Heaven”. Jej główny bohater, Larry,

przyjeżdża do ojczyzny po 12 latach nieobecności, by z masowego grobu zabrać szczątki swego ojca, diler narkotykowego i współpracownika Escobara. Chce sprawić mu godny pochówek. Powrót do Medellín staje się okazją do przebudzenia. Larry przekonuje się, że choć miasto zmieniło się na lepsze, to obecny jest w nim wciąż ten charakterystyczny dla narcos sposób myślenia i zachowania, o którym mówiłem.

Najsynniejszą pana powieścią jest wydana w 1999 r. „Rosario Tijeras”

– rozgrywająca się w Medellín w czasach Escobara opowieść o pięknej płatnej zabójczyni. Co było inspiracją do napisania tej książki?

– Kiedy mieszkałem w Bogocie, regularnie jeździłem do Medellín, by odwiedzić znajomych i rodzinę. Podczas jednej z takich wizyt przypadkiem dowiedziałem się, że moja kuzynka pisze pracę dyplomową o związkach między religią a przestępczością w Kolumbii, a zwłaszcza w Medellín. Badała m.in. to, w jaki sposób młodzi płatni zabójcy wykorzystywali zwyczaje i praktyki religijne w pracy dla narkotykowych bossów. Ten temat mnie zainteresował, a w pracy kuzynki znalazłem kilka zeznań nieletnich dziewcząt, które należały do gangów w Medellín. Wcześniej niewiele wiedziałem o dziewczynach narcos – wydawało mi się, że były ich kochankami, wspierały ich co najwyżej emocjonalnie, ale same nie zabijały. Wróciłem do Medellín, żeby spotkać się z tymi dziewczynami. Rozmawialiśmy w więzieniach czy poprawczakach, gdzie odsiadywały wyroki. Opowiadały mi, że do gangów wstępowały z wściekłości, bo zostały w jakiś sposób skrzywdzone. Wtedy olśniło mnie, że jeszcze nikt nie opowiedział tej części burzliwej historii Kolumbii z perspektywy kobiety i że może być to odkrywcze. Wybrałem formę love story. Od najmłodszych lat oglądałem seriale, których fabułą były miłosne perypetie. A jedną z pierwszych książek, jakie przeczytałem, była „Romeo i Julia” Szekspira, którą dostałem od dziadka. Za pomocą historii miłosnej o Rosario Tijeras pragnąłem pokazać, jak bardzo pieniądze z narkotyków zmieniły mieszkańców Medellín, że po-

Newsweek

MAZUR ROZMAWIA Z GONCIARZEM

Magazyn nr 1/2026

Kryminalny

24,99 zł (w tym 6% VAT)

RZUCIŁ MONETA
I ZABIŁ
Wiktoria
tajemnicę ostatnich
minut swojego życia
zabrała do grobu

KRÓTKIE ŻYCIE
PANNY SHORT
Kto zamordował
„Czarną Dalie”?
Jedna
z najsłynniejszych
zbrodni w USA

ŚMIERĆ ZAMIAST
SPEŁNIENIA
Zygmunt zaprosił
parę z ogłoszenia
na seks...

+
KOMIKS
INSPEKTOR
ANDRZEJ
STRZELCZYK
NA TROPIE

Art. 197

GWAŁCICIELKA Z PODLASIA

Galina J., kobieta, która zgwałciła
mężczyznę i zostawiła go na pewną śmierć,
opowiedziała nam o swojej zbrodni
z najdrobniejszymi szczegółami.

MAGAZYN TRUE CRIME



NOWY NUMER

Szukaj w salonach prasowych
i na Literia.pl

WŁĄCZ SIĘ DO ŚLEDZTWA!



*Porządnie historii, których nie wymyśliłby
najlepszy scenarzysta. Wątpliwe napisano
iżycie.
Justyna Kozar składełka
redaktor merytoryczna*

Dziennikarstwo do potęgi

jawienie się narcos dosłownie wywróciło nasze życie do góry nogami. W tamtych czasach ważną rolę odgrywały ogromne dyskoteki, do których niczym do świątyni chodzili przedstawiciele wszystkich warstw społecznych, by czcić narkotykowych baronów. Ludzie byli pod wrażeniem ich potęgi i pieniędzy.

Spotykał pan prawdziwych sicario?

– W tamtych czasach nie było to takie trudne. Chodziłem do barów, na dyskoteki, gdzie można było się natknąć na gości z narkobiznesu. Poznawało się ich po tym, że mieli mnóstwo kasy, imprezowali do rana. Czasami zaczynaliśmy ze sobą rozmawiać, niekiedy bawiliśmy się razem. Wielu z nich wyglądało jak płatni zabójcy, ale mogli też pochodzić z dzielnic opanowanych przez gangi, gdzie wszyscy dla nich pracowali. Baliśmy się narcos, staraliśmy się ich nie prowokować, nawet demonstrowaliśmy przyjazne nastawienie.

To było coś w rodzaju strategii przetrwania?

– Inną opcją było siedzenie w domu, ale byliśmy młodzi i chcieliśmy żyć jak inni ludzie w naszym wieku na świecie – wyjść gdzieś wieczorem, posłuchać muzyki, pobawić się.

Jednym z moich najgorszych wspomnień z Kolumbii jest widok młodocianych prostytutek czekających na klientów pod najstarszym kościołem w Medellín – Basílica de Nuestra Señora de la Candelaria. Większość z nich była pod wpływem narkotyków. Medellín ma wciąż problem z narkotykami?

– Niestety nie udało się rozwiązać problemów związanych z handlem narkotykami. A tam, gdzie są narkotyki, kwitną inne przestępstwa, w tym handel ludźmi czy zmuszanie nieletnich do prostytucji. Warto też przypomnieć, że za sprawą baronów narkotykowych w Medellín narodziła się specyficzna mafijna estetyka kobiecej urody. W latach 90. miasto stało się kolumbijskim centrum chirurgii plastycznej dla kobiet z narkobiznesu. Narcos lubią otaczać się modelkami, królowymi piękności, ale ich uroda musi się mieścić w specyficznym kanonie piękna. Boom na takie operacje

plastyczne przypadł na lata 90. i dwutyścieczne, ale wciąż mamy do czynienia z tym zjawiskiem.

Jaki jest ten mafijny kanon piękności?

– Lifting ust, powiększanie piersi, korekcja pośladków...

Słowem estetyka jak z obrazów Botero, który wręcz epatował obfitymi kształtami kobiet?

– (*śmiech*) Niezupełnie. Fernando Botero odkrył, że obfite, wręcz surrealne kształty ciała są istotą naszej kultury, a w swojej twórczości wszystko to jeszcze wyolbrzymił. Jego obrazy są prześlągnięte duchem Medellín. Kolory, których używał, to kolory tego miasta. Z kolei przez zestawienie obfitych ciał z małymi przedmiotami opowiadał o społecznych kontrastach Medellín.

Nie ma już karteli z Medellín czy Cali, ale Kolumbia jest wciąż państwem narkotykowym. Nie irytuje to pana?

– Kolumbijska gospodarka jest nadal mocno powiązana z handlem narkotykami. Szacuje się, że uprawy krzewu koki są dziś od pięciu do dziesięciu razy większe niż w czasach Escobara. Kontrolujące rynek kokainy organizacje przestępcze działają inaczej niż kartel z Cali. Escobar kochał rozgłos, chciał być sławny. Był prostym facetem, który nie skończył nawet szkoły średniej. Dzisiejsze kartele, takie jak Clan del Golfo, są dyskretne, działają w cieniu, a ich przywódcy to ludzie biznesu, często z wyższym wykształceniem.

Handel narkotykami generuje w Kolumbii dochody rządu kilkunastu miliardów dolarów rocznie.

– Szacunki są różne, ale rynek narkotykowy jest na pewno kilka razy większy niż na przełomie lat 80. i 90. To napędza korupcję, nakręca przemoc. Kartele piorą pieniądze ze sprzedaży kokainy, inwestując je w różne gałęzie gospodarki, co sprawia, że jest ona stosunkowo stabilna.

Prezydent Gustavo Petro twierdzi, że jednym z powodów kokainowego boomu są nierówności społeczne. 81 proc. ziemi uprawnej jest kontrolowane przez 1 proc. posiadaczy ziemskich. Biedni farmerzy z prowincji uprawiają liście koki, by żywić swe rodziny...

– Nie sądzę, aby to była główna przyczyna rozwoju rynku narkotykowego. Nierówności społeczne występują w wielu krajach Ameryki Środkowej i Południowej. Nasi sąsiedzi – Peru, Wenezuela, Ekwador – borykają się z tymi samymi problemami społecznymi i choć w Peru też produkuje się kokainę, w żadnym z tych krajów rynek narkotykowy nie kwitnie tak jak w Kolumbii. Myślę, że przyczyn tego boomu należy szukać gdzie indziej. Mówię to z ciężkim sercem, ale w Kolumbii istnieje na to przyzwolenie społeczne. Poza tym zyski z handlu narkotykami czerpią nie tylko organizacje przestępcze, ale także grupy paramilitarne i partyzanckie – rozłamowcy z FARC [lewicowa partyzantka która wszczęła rebelię w 1964 r. i złożyła broń na mocy porozumienia pokojowego z 2016 – red.], M19 itd. Lata temu kolumbijski rząd stracił kontrolę nad krajem, tę próżnię po państwie zajęły nielegalne grupy zbrojne, które nie tylko współpracowały z kartelami, ale nawet stały się ich częścią. Siła kolumbijskich karteli brała się ze słabości państwa. Rząd Gustavo Petro prowadzi zbyt permissywną politykę wobec narcos i nielegalnych grup zbrojnych.

W maju Kolumbijczycy będą wybierać prezydenta. Myśli pan, że jeśli wygra prawicowy kandydat Abelardo de la Espriella, coś się zmieni? Zapowiada on wojskową ofensywę przeciwko partyzantom i kartelom.

– Kolumbijska prawica zawsze dążyła do wyeliminowania handlu narkotykami, ale to zadanie ponad możliwości jednego rządu. Rynek narkotykowy jest międzynarodowy. Generuje on tak ogromne zyski, że zawsze znajdzie się grupa ludzi gotowa zaryzykować wszystko, by kontynuować swoją działalność. **N**

jacek.pawlicki@newsweek.pl

JORGE FRANCO (UR. 1962) JEST KOLUMBIJSKIM PISARZEM, NAJWIĘKSZY ROZGŁOS PRZYNIOŚLA MU POWIEŚĆ „ROSARIO TIJERAS” (1999). W POLSCE UKAZAŁA SIĘ JESZCZE DRUGA Z JEGO POWIEŚCI „PARAISO TRAVEL”. MIESZKA OBECNIE W WASZYNGTONIE, GDZIE PRZENIOŚL SIĘ Z POWODU CÓRKI, ROBIĄCEJ W USA KARIERĘ BALETOWĄ

kinga.rybak@wp.pl

DOKUMENTALNY SERIAL AUDIO TOMKA AWŁASEWICZA

KULISY PRACY
POLSKICH SZPIEGÓW
W OPARCIU O TAJNE
DOKUMENTY,
WYWIADY Z BYŁYMI
AGENTAMI I RELACJE
NAOCZNYCH ŚWIADKÓW

ŁOWCY SZPIEGÓW

NARRATOR: BORYS SZYC

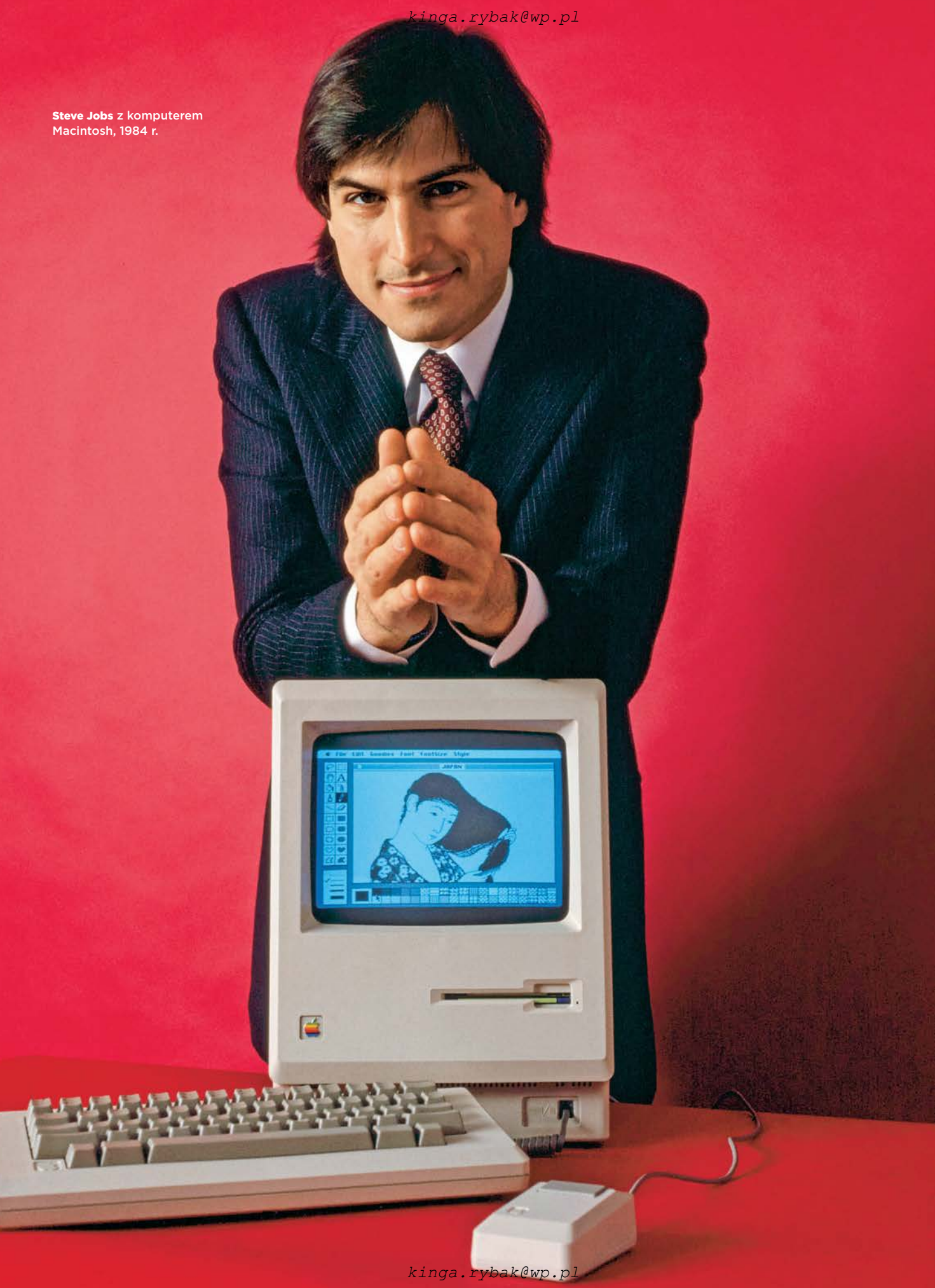
 onet audio

POSŁUCHAJ



kinga.rybak@wp.pl

Steve Jobs z komputerem
Macintosh, 1984 r.



APPLE MA 50 LAT

Jabłko wiecznie młode

Przez większość czasu Steve Wozniak projektował pierwszy komputer na papierze, bo nie stać go było na zakup mikroprocesora

TEKST DARIUSZ ĆWIKLAK

Wiosną 1976 r. Ronald Wayne był szanowanym 42-letnim inżynierem pracującym w firmie Atari. To tam poznał się ze Steve'em Jobssem, 21-latkim, który zamiast skończyć studia, włączył się z kolegami po Stanach i Indiach, snując wielkie plany, niezadko w stanach odmiennej świadomości. W końcu trafił na staż do Atari, jednej z najgorętszych wówczas spółek technologicznych, która podbijała rynek gier wideo.

Właściciel Atari Nolan Bushnell rozpiął wewnętrzny konkurs na zaprojektowanie jak najtańszej wersji automatu do gry „Breakout”. Za każdy scalak, który uda się wyeliminować, Bushnell płacił 100 dol. Jobs zdawał sobie sprawę z własnych ograniczeń, ale miał asa w rękawie – na studiach zaprzyjaźnił się z postawnym geniuszem elektroniki Steve'em Wozniakiem. Ten pracował w dziale kalkulatorów w firmie Hewlett-Packard, ale przystał na umowę: on projektuje płytę, Jobs zanoś ją do pracy, a kasę z premii dzieli po połowie. Wozniak wykonał płytę, z której usunął aż 50 układów. Jobs odebrał 5 tys. dol. nagrody, ale koledze przekazał... zaledwie 350 dol., twierdząc, że premia wyniosła tylko 700. Wozniak o wszystkim dowiedział się dekadę później, kiedy obaj byli już multimilionerami w spółce Apple, która była objawieniem w branży.

KOMPUTEROWA REWOLUCJA

LATA 70. BYŁY CZASEM ELEKTRONICZNEJ REWOLUCJI w Dolinie Krzemowej. To wtedy z osadzonych już firm techno-

logicznych odchodzą inżynierowie gotowi zaryzykować i stworzyć coś nowego. Z Fairchild Semiconductor żegnają się późniejsi założyciele Intela. Język programowania BASIC pisze spółka Micro-Soft, założona przez dwóch studentów: Billa Gatesa i Paula Allena.

Wozniak i Jobs mieszkają w Dolinie Krzemowej, doskonale czują wiatr zmian. Pierwszy, syn inżyniera pracującego w zakładach Lockheeda, z elektroniką jest za pan brat niemal od kołyski. Drugi jest jak kot, chodzi własnymi ścieżkami. Obaj już na studiach rzucają się w elektroniczną krainę marzeń i pieniędzy. Wozniak konstruuje tzw. blue box, czyli małe elektroniczne pudełeczko, które emituje dźwięki o takiej częstotliwości, że jest w stanie obsłużyć automatyczne centrale telefoniczne tak, by za darmo łączyły rozmowy

międzymiastowe, a nawet międzynarodowe. Wozniak przyznał nawet w rozmowie z „LA Times”, że kiedyś dla żartu zadzwonił (oczywiście za darmo) do Watykanu i podrabiając twardy niemiecki akcent sekretarza stanu Henry'ego Kissingera, poprosił o rozmowę z papieżem. Nie wzięli pod uwagę różnicy czasu – papież spał wtedy w najlepsze. „Robiłem to tylko po to, żeby poznać wszystkie telefoniczne sztuczki. Po sześciu miesiącach rzuciłem to, bo nauczyłem się wszystkiego”.

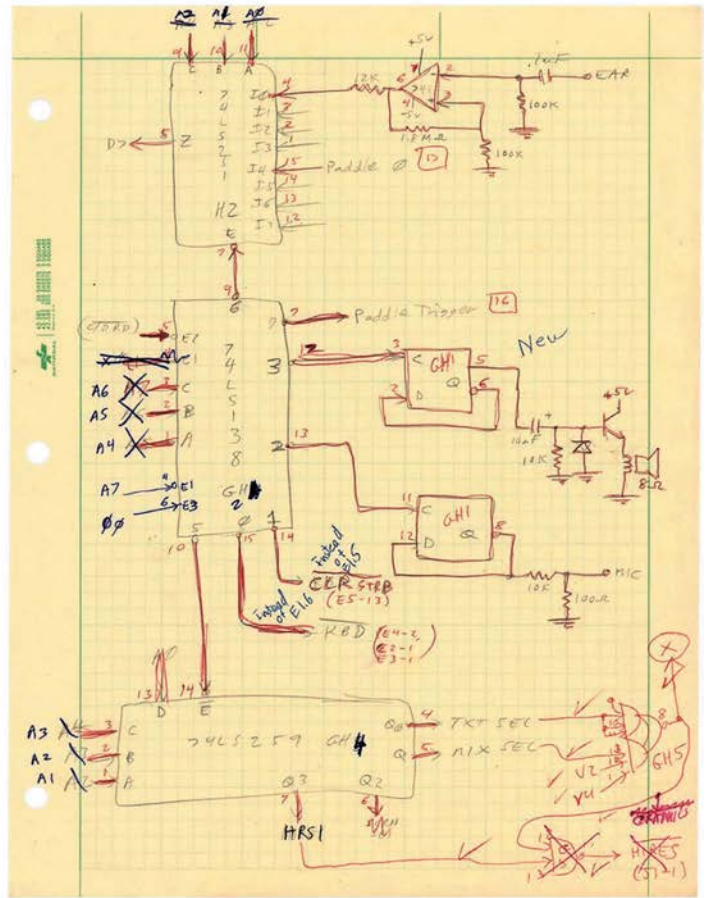
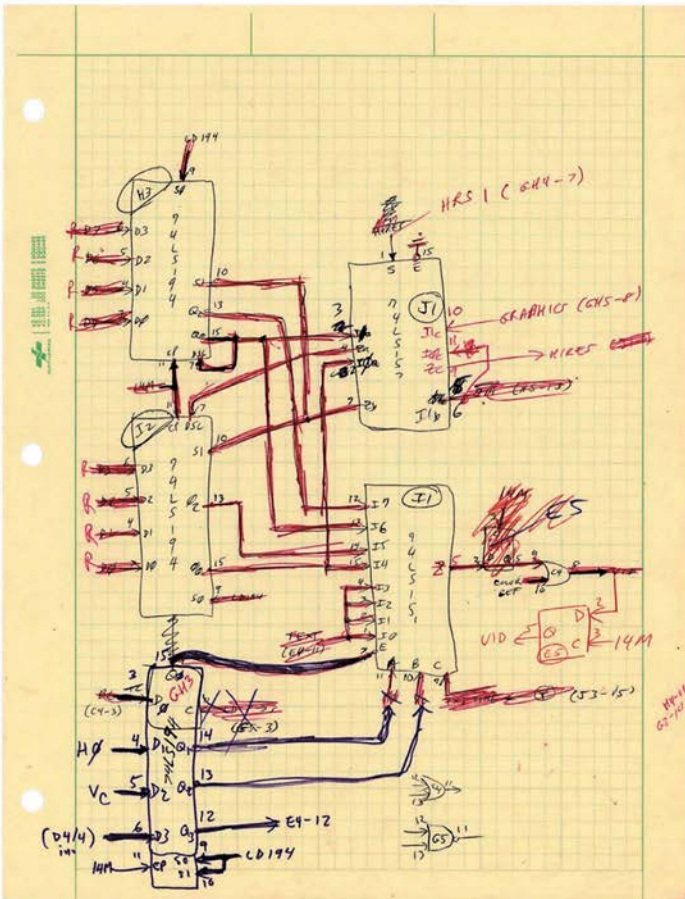
DZIECIAKI ZAKŁADAJĄ SPÓŁKĘ

MARZENIEM WOZNIAKA I JOBSA było stworzenie własnego komputera. Mieli w głowie mnóstwo sprzecznych pomysłów, nie mieli za to pieniędzy ani doświadczenia. Dlatego postanowili skorzystać z pomocy doświadczonego

Apple I miało tę przewagę nad innymi komputerami, że wystarczyło podpiąć do niego zwykły telewizor, tanią klawiaturę i już można było pracować



Komputer Apple I



kolegi z Atari, czyli Ronalda Wayne'a. Ten miał doświadczenie w branży elektronicznej, próbował też własnego biznesu – produkował automaty do gier, ale po roku splajtował i poszedł do pracy w Atari.

Z tych dyskusji u Wayne'a narodził się projekt komputera osobistego Apple I, do którego Wayne napisał instrukcję obsługi. Także w tym gronie zapadła decyzja, by formalnie powołać spółkę Apple Computer. A Wayne, utalentowany rysownik, zaprojektował nawet jej logo: rycinę przedstawiającą Isaaca Newtona pod jabłonią. Po 45 proc. udziałów w spółce mieli Jobs i Wozniak. Dziesięcioprocentowy pakiet Wayne'a był polisą ubezpieczeniową na wypadek sporów młodych udziałowców – dwukrotnie starszy od nich inżynier miał być arbitrem. Gdyby Wayne zachował pakiet udziałów w Apple, mógłby być dziś multimiliardierem. Ale 12 dni po podpisaniu umowy u prawnika rozmyślił się. – Przez te kilka miesięcy przekonałem się, przez co męczy mnie niestrawność – opowiadał potem w książce „The Little Kingdom: The Private Story of Apple

Computer” Michaela Moritza. Biznes wyglądał obiecująco, ale równie dobrze mógł się nie powieść, a wspólnicy odpowiadali własnym majątkiem. Za rezygnację z 10 proc. udziałów Wayne dostał 800 dol. Kilka miesięcy później kolejne 1500 dol., by zrzec się ewentualnych roszczeń wobec nowej firmy Apple Computer, którą Jobs i Wozniak założyli za pieniądze pierwszego dużego inwestora.

KREDYT NA SCALAKI

SPÓŁKA ZAŁOŻONA PRZEZ JOBSA I WOZNIAKA miała sprzedawać komputer Apple I, nad którym Wozniak pracował od roku. Przez większość czasu projektował go na papierze, bo nie stać go było na zakup mikroprocesora. Aby mieć pieniądze na części, i tak sprzedał wiele własnych rzeczy, m.in. VW busa, ale procesor – to była inna skala. Na szczęście pod koniec 1975 r. firma MOS Technology wypuściła układ o symbolu 6502, uproszczoną i tańszą wersję mikroprocesora 6800 Motoroli, jaki marzył się Wozniakowi. Wystarczyło 25 dol. i miał w ręku ostatni klocek do zbudowania wymarzonego komputera.

Choć to określenie było nieco na wyrost, bo Apple I było po prostu drukowaną płytką z lutowanymi scalakami. Miało jednak tę przewagę nad innymi komputerami, że wystarczyło podpiąć do niego zwykły telewizor i tanią klawiaturę – i już można było pracować. Rozdzielczość ekranu 40 x 24 znaki dziś może budzić politowanie, ale wtedy było to prawdziwe dzieło sztuki inżynierskiej. Komputer miał 4 lub 8 kilobajtów pamięci (tysiąc razy mniej niż dziś jedno zdjęcie ze smartfona), a dane zapisywał na kasetach.

W lipcu 1976 r. Wozniak zademonstrował swój wynalazek na spotkaniu, na którym pojawił się Paul Terrell, właściciel sklepu z komputerami o nazwie Byte Shop. Wizja komputera domowego, który można podłączyć do telewizora i klawiatury, tak go zachwycała, że zamówił 50 sztuk gotowych Apple I. Jobs przyklepał umowę, ale od razu pojawił się problem. Skoro mieli dostarczyć gotowe komputery, musieli najpierw kupić mikroprocesory i inne układy. Tu po raz pierwszy dały o sobie znać marketingowy geniusz i beczelność Jobsa.



Steve Wozniak z głowicami komputera Apple I. Obok zestaw schematycznych rysunków Wozniaka do następnej maszyny, który na aukcji został sprzedany za 630 272 dol.

LISA I MACINTOSH

CHOĆ JOBS BYŁ JEDNYM Z OWYCH MILIONERÓW, to wiedział, że sukces nie jest dany raz na zawsze. Komputery stawały się coraz powszechniejsze, a do walki o ten rynek wszedł także potężny IBM. Jego PC miał wkrótce stać się synonimem komputera osobistego, ale w tym czasie Jobs pracował już nad czymś zupełnie nowym.

Inspiracją do stworzenia Macintosha, czyli komputera z graficznym systemem operacyjnym, obsługiwanego myszką, była wizyta w laboratoriach Xeroxa. Producent kopiarek część zysków zainwestował w badania i rozwój. Jego laboratorium mieściło się niedaleko siedziby Apple. W 1979 r. Jobs z kilkoma kolegami wybrali się tam na wycieczkę i zobaczyli maszynę o nazwie Alto. Xerox najwyraźniej nie wiedział, jak wykorzystać pracę swoich inżynierów, bo nie palił się do produkcji Alto. Jobs zaproponował układ: możecie zainwestować w nasze udziały, które wkrótce będą warte majątek, kiedy tylko wykorzystamy wasze pomysły.

Nad tanim przenośnym komputerem z systemem graficznym zaczął pracować Jef Raskin, ale porywczy Jobs stworzył konkurencyjną ekipę, która zaczęła przygotowywać Macintosha. – Któregoś dnia po prostu podszedł do mojego biurka, wyłączył mi komputer z gniazdka i oznajmił, że od teraz pracuję nad Macintoshem, a nie Apple II – opowiadał mi Andy Hertzfeld, jeden z głównych projektantów systemu operacyjnego Macintosha. Ekipa „piratów”, jak określił ich Jobs, stworzyła ikoniczną plastikową skrzynkę, która mieściła monitor i cały komputer obsługiwany nie tylko klawiaturą, ale i myszką. Prezentacja na zebraniu akcjonariuszy wywołała wielkie „wow”. Nie inaczej było ze słynną reklamą „1984” nakręconą przez Ridleya Scotta: sportsmenka uciekająca przed bojówkami Wielkiego Brata (symbol korporacyjnego IBM) rzuca młotem w ekran, na którym pojawia się zapowiedź: 20 stycznia Apple pokaże Macintosha i przekonasz się, dlaczego 1984 nie będzie jak „Rok 1984”.

Zarówno reklama, jak i sam komputer wzbudzały podziw. Ale sprzedaż nie szła rewelacyjnie. Komputer za prawie

Ten bosy student poszedł do sprzedawców elektroniki i udało mu się wynegocjować zakup na kredyt kupiecki. Płatność za scalaki odroczone o 30 dni. W tym czasie Wozniak, Jobs i ich koledzy – Bill Fernandez i Daniel Kottke – dniami i nocami składali pierwszą partię 50 komputerów dla Byte Shop. Ledwo się wyrobili, ale Jobs przyniósł 50 gotowych płyt z wlutowanymi układami. Terrell był przekonany, że dostanie je przynajmniej w jakiejś obudowie, ale mimo to dotrzymał słowa i zapłacił.

Było jasne, że jeśli firma ma się rozwijać, potrzebne są większe pieniądze. I tu pojawił się pierwszy anioł biznesu – Mike Markkula. Ten były pracownik Fairchild Semiconductor i Intela dorobił się majątku w wieku 33 lat. Wtedy uznał, że może sobie pozwolić na wyszukiwanie najciekawszych spółek w Dolinie Krzemowej. Wozniak i Jobs dostali od niego czek na 92 tys. dol. oraz rekomendację do otwarcia linii kredytowej na ćwierć miliona dolarów w Bank of America. W zamian otrzymał część udziałów w firmie i posadę prezesa. W 1985 r. przesiadł się na fotel szefa rady nadzorczej, który zajmował do 1997 r.

ULUBIONA SPÓŁKA FORRESTA GUMPA

PAMIĘTACIE SCENĘ z „FORRESTA GUMPA”, kiedy Forrest tłumaczy, że wzbogacił się, bo porucznik Dan Taylor poradził mu, żeby zainwestować „w akcje jakiejś firmy sadowniczej”? Chodziło właśnie o Apple Computer.

Apple I było zaledwie rozgrzewką. Kolejny projekt Wozniaka – Apple II – był już dojrzałym produktem. Pierwsze wersje nadal zapisywały dane na kasetach, ale Apple II szybko dorobiło się stacji dyskietek. W charakterystycznej plastikowej obudowie, z własną klawiaturą i monitorem stało się nieodłącznym elementem nowoczesnych biur przełomu lat 70. i 80. Wystarczy obejrzeć dowolny amerykański film z tamtego okresu.

W ciągu zaledwie czterech lat od powstania Apple Computer weszło na giełdę Nasdaq, a oferta publiczna przyniosła firmie ponad 100 mln dol. kapitału, co było ówczesnym rekordem. Już po pierwszym dniu notowań Apple Ameryce przybyło 300 nowych milionerów, a firma warta była prawie 2 mld dol.



Oryginalny komputer Apple I, zbudowany własnoręcznie przez założycieli firmy Steve'a Jobsa i Steve'a Wozniaka

2,5 tys. dol. był jednak dość dużym wydatkiem. Los Macintosha uratowały program do składu PageMaker i drukarka laserowa. Ten zestaw odmienił całkowicie sposób, w jaki projektowało się wszelkiego rodzaju publikacje.

O KROK OD BANKRUCTWA

POD KONIEC LAT 80. APPLE ZGUBIŁO DROGĘ. Po części dlatego, że z firmy odeszli jej założyciele. W 1985 r. Jobs pokłócił się z prezesem Johnem Sculleyem, którego dwa lata wcześniej sam sprowadził z Pepsi. Wkrótce potem z biura Apple zniknął Wozniak.

Jobs chciał dalej rewolucjonizować rynek komputerowy i założył spółkę NeXT, która stworzyła komputer w kształcie niewielkiego sześcianu, pracujący pod kontrolą jednej z wersji Unixa. I choć masowego sukcesu nie odniósł, to miał przecież wybitnych klientów, takich jak Tim Berners-Lee, który właśnie na NeXT opracował system wzajemnie linkujących się dokumentów, nazwany potem WWW – World Wide Web.

Tymczasem Apple przeżywało katusze młodej korporacji pod wodzą ludzi o wąskich horyzontach. Firma wypusz-

czała coraz to szybsze i bardziej imponujące komputery, udało jej się nawet opracować linię zgrabnych laptopów PowerBook, ale brakowało jej przełomowych produktów, jakimi kiedyś były Apple II czy Macintosh. W 1996 r. rynek spekulował, kto może przejąć Apple – na giełdzie plotek pojawili się IBM, Motorola, a nawet saudyjski książę Al-Walid ibn Talal, który inwestował w branży technologicznej. Ratunek przyszedł jednak z zupełnie innej strony.

POWRÓT TATY

APPLE OPRÓCZ POMYSŁU NA SIEBIE potrzebowało też nowoczesnego systemu operacyjnego. Prezes Gil Amelio postanowił za 400 mln dol. odkupić od Jobsa firmę NeXT i opracowany przez nią system operacyjny.

Jobs wrócił do firmy w charakterze doradcy, ale już w połowie 1997 r. dokonał korporacyjnego zamachu stanu i przejął fotel prezesa. Rynek zareagował ze zdumieniem.

Jednak w przeciwieństwie do poprzednich prezesów Jobs miał plan. Najpierw zaczął od załagodzenia sporu z Microsoftem, z którym Apple sądziło się o kradzież

systemu graficznego. Jobs przymknął oko na to, że system Windows to zrzynek z MacOS, w zamian za co Bill Gates zainwestował w Apple i obiecał pisać programy na Macintosha przez kilka lat. Potem Jobs bezlitośnie wyciął większość produktów Apple i ofertę sprowadził do tabelki krzyżującej dwie zmienne – rodzaj komputera: stacjonarny lub laptop, oraz odbiorca: zwykły konsument lub profesjonalista

Największą rewolucją były komputery dla mas: kolorowy iMac oraz iBook. Apple znów pokazało, że potrafi projektować ciekawymie wprowadzać nowe technologie – bo to właśnie iBook jako pierwszy laptop na świecie został wyposażony w moduł Wi-Fi. W 2007 r. pojawił się iPhone, który dziś utrzymuje całą firmę.

Obserwatorzy rynku kręcą nosem, że Apple zostało w tyle, jeśli chodzi o kwestię AI, ale wcale nie tak łatwo zatopić firmę wartą prawie 4 bln dol., która w zeszłym roku miała 416 mld dol. przychodów i ponad 112 mld zielonych zysku. **N**

dariusz.cwiklak@newsweek.pl

TEKST UKAZAŁ SIĘ W MAGAZYNIE „NEWSWEEK HISTORIA” 2/2026



Męskość po rebrandingu

Współczesny mężczyzna coraz rzadziej ubiera się po to, by spełnić oczekiwania, a coraz częściej, żeby wyrazić siebie. Moda przestaje być uniformem, a staje się językiem tożsamości.

W ostatniej dekadzie męskość wyraźnie zmienia ton. Kojarzona głównie z siłą, dystansem oraz kontrolą coraz częściej staje się opowieścią o odpowiedzialności, samowiedomości i umiejętności dbania o siebie. Zmienia się sposób, w jaki mężczyźni mówią o sobie, ale równie mocno zmienia się to, jak wyglądają. Ubiór przestaje być uniformem narzuconym przez role społeczne, a zaczyna pełnić funkcję komunika-

tu – sygnalizuje wartości, styl życia oraz dojrzałość. Ta zmiana wpisuje się w szersze zjawisko, które określane jest mianem positive masculinity. Nie chodzi o redefiniowanie męskości, lecz o jej wyciszenie i uporządkowanie. Mężczyźni coraz rzadziej chcą być „bardziej” dominujący czy głośni, a coraz częściej spójni, kompetentni i niewymuszeni.

Jak pokazuje raport „Zrozumieć męskość. Rzeczywistość polskiego mężczyzny” przygotowany przez

Gedeon Richter Polska w 2024 roku, dla 63 proc. mężczyzn męskość oznacza dziś dojrzałość, a nie dominację. Ponad połowa badanych wskazuje także na mądrość życiową, spokój i opanowanie jako jej podstawowe elementy. Coraz częściej w tym obrazie pojawiają się też emocjonalność, troska o zdrowie psychiczne i świadome budowanie wizerunku. Ponad 30 proc. ankietowanych deklaruje, że regularnie inwestuje w siebie – również poprzez wygląd.

SEKCJA TEMATYCZNA Biznes

Nowy sposób postrzegania męskości wyraźnie widoczny jest zwłaszcza wśród młodszych pokoleń. Badanie platformy Stylight, przeprowadzone w 2022 roku wśród 3,5 tys. przedstawicieli generacji Z i mileniów z Europy i Stanów Zjednoczonych, pokazuje, że młodzi mężczyźni przywiązują do mody co najmniej taką samą wagę jak kobiety. Ubrania dobrej jakości stają się dla nich ważnym elementem codzienności. Rosną więc wydatki: 14 proc. mężczyzn deklaruje, że przeznaczają na odzież, dodatki i obuwie około 200 euro miesięcznie. Dane Stylight wskazują też na rosnące zainteresowanie segmentem premium. Moda coraz częściej służy więc nie popisowi, lecz budowaniu spójnego obrazu siebie.

Te zmiany znajdują odzwierciedlenie w liczbach. Według analiz rynkowych cytowanych przez Statista globalny rynek odzieży męskiej osiągnął w 2025 roku wartość 676,6 mld dolarów, a według prognoz do 2034 roku może przekroczyć poziom 1 bln dolarów. To jeden z najszybciej rozwijających się segmentów całej branży odzieżowej.

Wzrost napędzają nie tylko rosnące dochody, ale przede wszystkim zmiany w zachowaniach konsumenckich. Jak pokazują dane branżowe przywoływane w raportach e-commerce, blisko 45 proc. mężczyzn kupuje dziś ubrania online co najmniej raz w miesiącu, a ponad 20 proc. deklaruje, że bardziej niż kobiety zwraca uwagę na jakość i trwałość odzieży.

To ważne, bo męska garderoba coraz częściej traktowana jest jak inwestycja, a nie szybki zakup. Liczą się użyte materiały, sposób produkcji i to, jak długo ubranie pozostaje ponadczasowo modne.

Nowa codzienna elegancja

Zmiana w rozumieniu męskości ciąga za sobą także zmianę estetyki. Klasyczny kanon męskiego dress

code'u traci swoją sztywność. Przez lata moda męska była definiowana przez dwa skrajne porządki. Z jednej strony dominował styl formalny, włączony w określone ramy i zasady, z drugiej – odzież sportowa, jednoznacznie przypisana do aktywności fizycznej. Przestrzeń pomiędzy tymi światami przez długi czas pozostawała poza głównym nurtem zainteresowania. Przełom przyniósł streetwear, który od pierwszej dekady XXI wieku stopniowo zyskiwał na znaczeniu, ewoluując z subkulturowego zjawiska w autonomiczną kategorię mody męskiej.

Dziś projektanci, gwiazdy i kultura popularna otwierają męskie szafy na nowe obszary – pełne romantyzmu, emocji i deklaracji wolności. „Męska moda wreszcie przestała bać się emocji” – mówił w jednym z wywiadów Jonathan Anderson, dyrektor kreatywny domu mody Dior.

Dzięki postaciom współczesnej kultury, takim jak Pedro Pascal

czy Jeremy Allen White ze swoim rozpoznawalnym stylem w serialu FX „The Bear”, klasyczny biały T-shirt urósł do rangi jednego z najbardziej pożądanym elementów męskiej szafy. Krawat przestaje być obowiązkowy. Garnitur coraz częściej łączy się dziś ze sneakersami, które funkcjonują na równych prawach z klasycznymi oksfordami czy derbami. Nawet puchowa kamizelka potrafi odnaleźć się w bardziej formalnym, biurowym kontekście.

Męska moda staje się też lżejsza – zarówno dosłownie, dzięki dzianinom i przewiewnym materiałom, jak i wizualnie, ponieważ rezygnuje z nadmiaru konstrukcji. Jedno pozostaje pewne: męska moda przestaje narzucać panom rolę, a zaczyna ich wspierać, dając im przestrzeń na emocje, wygodę oraz indywidualny wybór bez konieczności manifestowania statusu. ●

Ada Zych

STYL JAKO ŚWIADOMY WYBÓR



Mówi Roman Tulwin, prezes marki Recman

W ostatniej dekadzie obserwujemy wyraźną zmianę w podejściu mężczyzn do własnego wizerunku. Ubiór przestał być formalnym obowiązkiem – dziś jest świadomym wyborem i sposobem wyrażania siebie. Nasi klienci oczekują jakości, ale także elastyczności – ubrań, które płynnie wpisują się w różne sfery życia, od zawodowej po prywatną. W Recman od lat odpowiadamy na te potrzeby, łącząc krawiecką precyzję z nowoczesnym podejściem do formy. 40-lecie marki to dla nas nie tylko jubileusz,

ale też potwierdzenie wartości, które rozwijamy od 1986 roku – jakości, konsekwencji i ponadczasowego podejścia do męskiej elegancji. To również świadome wejście w kolejny etap rozwoju. Kolekcja jubileuszowa „Turn your life on” łączy kolor, lekkość i nowoczesną formę. Jej ambasador Piotr Witkowski uosabia współczesną, świadomą męskość – autentyczną, konsekwentną i wyrazistą. Dla nas styl to nie chwilowy trend, ale proces, który dojrzewa wraz z marką i jej klientami.

RECMAN

×

PIOTR WITKOWSKI

TURN YOUR
LIFE ON

Biegiem po Krakowie

Gdyby Felicjan Dulski żył dzisiaj, zamiast chodzić wokół stołu w salonie, stawiłby się na Rynku, by pobiec w TAURON 23. Cracovia Maratonie. Ten bieg stał się wizytówką miasta i co roku przyciąga tysiące biegaczy.



Ostatnie dwie dekady to rewolucja w naszym stylu życia. Z kanapy zesliśmy na bieżnię i do siłowni. Według danych CBOS jeszcze w 2007 roku ćwiczyło 35 proc. społeczeństwa, a w 2024 – 52 proc. Z raportu Multi-Sport Index 2024/2025 wynika, że Polacy (zwłaszcza przed czterdziestką) zamiast po pilota najchętniej sięgają po buty do biegania (to druga po jeździe na rowerze ulubiona aktywność fizyczna).

Zmiany w sposobie spędzania wolnego czasu widać na przykładzie Krakowa. Miasto – przez lata kojarzone z niespieszną atmosferą w stylu slow life – coraz mocniej stawia na sportowe aktywności. Kilometry ścieżek rowerowych i tras biegowych wypełniają się mieszkańcami i zachęcają do ruchu na świeżym powietrzu.

Jednym z najważniejszych punktów tegorocznego sportowego kalendarza miasta jest TAURON 23. Cracovia Ma-

raton. Skala wydarzenia rośnie z roku na rok – w poprzedniej edycji zainteresowanie było tak duże, że organizatorzy zdecydowali się zwiększyć limit

WSPÓLNA ENERGIA SPORTOWEGO ŚWIĘTA



Justyna Łukawska,
dyrektor wykonawcza
ds. komunikacji
w TAURON Polska

Energia: Energia, która napędza sportowe emocje, jest nam szczególnie bliska.

TAURON od lat angażuje się w inicjatywy, które łączą ludzi wokół pasji, aktywności i pozytywnej energii. Dlatego – podobnie jak w zeszłym roku – z dumą wspieramy TAURON Cracovia Maraton, jedno z najważniejszych wydarzeń biegowych w Polsce. To wyjątkowa impreza, która przyciąga do Krakowa tysiące zawodników i kibiców, tworząc atmosferę

wspólnoty, determinacji i sportowej radości. Wierzymy, że sport inspiruje do działania i pokazuje, jak wiele można osiągnąć dzięki wytrwałości. Cieszymy się, że możemy być częścią tego święta biegania i wspólnie z uczestnikami przeżywać emocje towarzyszące pokonywaniu kolejnych kilometrów na trasie krakowskiego maratonu.

uczestników z 7,5 do 8 tys. – Nasz bieg to turystyczne przeżycie. Start i meta znajdują się na Rynku Głównym, a sportowcy mijają m.in. Zamek Królewski na Wawelu, biegną Bulwarami Wiślanymi, przecinają uliczki Kazimierza. Wśród maratończyków są liczni goście z zagranicy (z ok. 50 państw), co czyni go jednym z najbardziej międzynarodowych biegów w Polsce – mówi Tomasz Marzec, dyrektor Zarządu Infrastruktury Sportowej w Krakowie.

Imprezę poprzedzają: nocny bieg po uliczkach Krakowa – OSHEE BIEG NOCY na 10 km, Diagnostyka Mini Cracovia Maraton im. Piotra Gładkiego o Puchar RMF MAXX (4,2 km) i zawody nordic walkingu (Czaniecki Cracovia Walkathon).

TAURON 23. Cracovia Maraton jest częścią Złotej Serii 42 i rozpoczyna Królewską Triadę Biegową (w jej skład wchodzi też Cracovia Półmaraton Królewski i Bieg Trzech Kopców). Maraton wystartuje 19 kwietnia. To ostatni moment, by załapać się na listę i zdobyć prestiżową koszulkę uczestnika królewskiego biegu. ●

Joanna Tanecka

 **Kraków**

 **KRÓLEWSKA
TRIADA BIEGOWA**

 **ZŁOTA
SERIA**



23  **TAURON
CRACOVIA
MARATON**

19.04.2026

www.cracoviamaraton.pl



Newsweek NA WIELKANOC

JAK ZWIERZĘTA POMAGAJĄ PACJENTOM

Pogłaskać ostatni raz

Ukochany pies przy łóżku umierającego człowieka? W polskich szpitalach to na ogół zakazane, **jest jednak pewien wyjątkowy oddział i jego szef, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych**

TEKST KATARZYNA BURDA ZDJĘCIA FILIP MILLER

Pan Waldemar miał raka w zaawansowanym stadium i wiedział dobrze, że zostało mu niewiele czasu – opowiada dr hab. Tomasz Dzierżanowski, kierownik Kliniki Medycyny Paliatywnej Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. – Kiedyś przechodziłem koło jego łóżka i chwilę z nim porozmawiałem, widząc, że jest przygnębiony. Okazało się, że powodem jest nie sama choroba i odchodzenie, ale dwa kotki, które pan Waldemar zostawił w domu – mówi prof. Dzierżanowski. Zajmował się nimi od kilku miesięcy sąsiad pana Waldemara, który zresztą był już zmęczony tą rolą. – Mój pacjent strasznie się martwił, co będzie z jego ukochanymi zwierzętami, kiedy on umrze, i marzył o tym, żeby przed śmiercią móc je jeszcze pogłaskać chociaż raz – wspomina ze wzruszeniem prof. Dzierżanowski.

Profesor opowiedział o całej sprawie swojej córce Pauli, a ona postanowiła spełnić marzenie pana Waldemara. Wzię-



Małgorzata Brzozowska, dogoterapeutka, studentka medycyny, z Kluską, Warszawa, 23 marca 2026 r.

ła dwa kontenerki i pojechała na drugi koniec Warszawy po kotki. – I tak, niespodziewanie, kotki wylądowały u nas w klinice, na łóżku tego schorowanego pacjenta. Nie zapomnę jego wzruszenia, kiedy sięgnął do kontenerków i głaskał swoje ukochane zwierzęta. Łzy ciekły mu po policzkach. Podobnie jak drugiemu pacjentowi, który leżał obok – wspomina prof. Dzierżanowski. Córka profesora postanowiła spełnić też drugie marzenie pana Waldemara i znaleźć kotkom dom. Zorganizowała na Facebooku casting na nowych opiekunów. Najważniejszy warunek był jeden – kotki musiały być adoptowane razem. I udało się! Pan Waldemar odszedł spokojny o ich los.

Klinika Medycyny Paliatywnej WUM na ul. Lindleya w Warszawie jest jednym z nielicznych oddziałów szpitalnych w Polsce, na które można wprowadzać zwierzęta domowe, zarówno te należące do pacjentów, jak i zwierzęta terapeutyczne. Prof. Dzierżanowski jest przekonany, że kontakt ze zwierzętami wpływa bardzo pozytywnie na chorych, a możli-

wość pożegnania się z własnym pupilem bywa często najjaśniejszym momentem trudnego procesu odchodzenia, zwłaszcza w szpitalu. Dlatego chciałby, aby taka możliwość była nie tylko w jego klinice, ale na wszystkich podobnych oddziałach w Polsce. Opracował Kartę Praw Pacjenta do kontaktu ze zwierzęciem towarzyszącym i stara się o to, aby stała się doku-

”

*Nie spodziewałam się,
że moje odwiedziny
z psami mogą
być dla pacjentów
tak ważne*

MAŁGORZATA BRZOZOWSKA, KTÓRA
PRZYCHODZI DO KLINIKI Z JAMNICZKĄ ZUZIĄ
I Z KLUSKĄ – RASY OW CZAREK AUSTRALIJSKI

mentem obowiązującym w szpitalach, nie tylko w opiece paliatywnej. Czy uda się przebić mur niechęci i stereotypów?

ISTOTY NAJBLIŻSZE

PROFESOR OD LAT OBSERWUJE NIEPOKOJĄCE TRENDY, opiekując się terminalnie chorymi pacjentami. I od dawna ma jedną refleksję. – W Polsce naprawdę mamy zastraszająco szybko szerzącą się epidemię samotności, zarówno wśród ludzi starszych, jak i młodych. Coś takiego się wydarzyło, że starsi ludzie przestali być osobami tak istotnymi w życiu swoich dorosłych dzieci, jak to było kiedyś, nie wspominając o życiu wnuków, których kontakt z babcią czy dziadkiem w nastoletnim życiu jest praktycznie żaden. Kiedyś nastolatek często spędzał ferie u dziadka czy babci. Teraz ta opcja przegrywa z chęcią pozostania w domu przy komputerze – mówi prof. Dzierżanowski.

To dlatego starsze osoby czują się tak samotne, przebywając w szpitalu. – Nawet jeżeli rodzina mobilizuje się i odwiedza chorego staruszka, to często widać,



Zuzia z pacjentką w klinice przy ul. Lindleya w Warszawie, marzec 2026 r.

że robi to dorosły syn czy córka, często też już w podeszłym wieku. To sprawia, że ci starsi czują jeszcze głębsze wyobcowanie – mówi ze smutkiem prof. Dzierżanowski. Jednocześnie, rozmawiając ze swoimi pacjentami, wielokrotnie słyszał, że najbliższymi im istotami były ich zwierzęta i w szpitalu właśnie tych zwierząt brakuje im najbardziej. – Te relacje są bardzo głębokie. Nie można ich negować – podkreśla profesor.

A dlaczego właściwie ludzie przebywający w szpitalu muszą być odcięci od wizyt swoich pupili? – No właśnie nie muszą. Na poziomie ogólnokrajowym nie ma żadnego przepisu, który zabraniałby wprowadzania zwierząt do szpitali – przekonuje prof. Dzierżanowski. I podkreśla, że mamy prawo, które sankcjonuje wizyty zwierzęcia u swojego właściciela. To ustawa o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta, artykuł 20. – W punkcie pierwszym ustawodawca zapisał, że świadczenia zdrowotne powinny być udzielane z poszanowaniem godności pacjenta, a w punkcie drugim – że pacjent ma prawo do umiarkowania w warunkach spokoju i godności. A trudno mówić o godności, jeżeli choremu odmawia się wizyty istoty najbliższej – tłumaczy lekarz.

W praktyce jedyne regulacje dotyczące odwiedzin zwierząt w szpitalach to zakazy wydawane przez dyrektorów placówek. – A oni często nie wiedzą, że

nie wolno takich bezwzględnych zakazów wprowadzać. Rzeczywiście istnieją oddziały, gdzie nie można wpuszczać zwierząt – intensywna terapia, transplantologia czy miejsca z pacjentami o obniżonej odporności. To zrozumiałe ograniczenie – mówi prof. Dzierżanowski. Podkreśla, że jego projekt dotyczy głównie psów i kotów. – Trudno mi sobie wyobrazić i chyba nie wydałbym na to zgody, żeby ktoś przyniósł pacjentowi węża boa czy pająka ptasznika, chociażby ze względu na komfort i bezpieczeństwo innych pacjentów – zastrzega prof. Dzierżanowski. Trzeba też uszanować fakt, że niektórzy pacjenci mogą mieć fobie związane ze zwierzętami, np. mogą się bać psów. – To jednak nie oznacza całkowitego zakazu, tylko konieczność odpowiedniej organizacji, aby zachować równowagę między potrzebami pacjentów a bezpieczeństwem i komfortem wszystkich, i ludzi, i zwierząt – przekonuje lekarz.

MAŁGOSIA I ZUZIA PRZYBYWAJĄ NA POMOC

PROF. DZIERŻANOWSKI POSTANOWIŁ WŁĄCZYĆ do swojej misji studentów medycyny. Ogłosił, że w ramach Studenckiego Koła Naukowego Medycyny Paliatywnej organizuje grupę wolontaryjną w swojej klinice. – Chciałem dać im miejsce, gdzie mogłyby odbywać się ich formacja jako przyszłych lekarzy – em-

patycznych, takich, którzy są wierni pacjentowi – tłumaczy profesor. Nie liczył na tłumy wolontariuszy, miał nadzieję, że będzie ich chociaż kilku. A zgłosiło się 146 osób! Wśród nich Małgorzata Brzozowska, studentka IV roku Wydziału Lekarskiego WUM, prywatnie opiekunka dwóch psów terapeutycznych – jamniczki Zuzi oraz Kluski, suczki rasy owczarek australijski.

I to właśnie Małgorzata wpadła na pomysł, że będzie ze swoimi psami odwiedzać pacjentów w klinice. – Mam ukończony kurs dogoterapeuty, a moje psy przeszły i szkolenie, i testy sprawdzające, czy nadają się na psy terapeutyczne, czy np. nie są lękowe i czy poradzą sobie w trudnych warunkach – mówi Małgorzata Brzozowska. Ludzie najczęściej myślą: taki słodki piesek, co to dla niego za problem wskoczyć na łóżko i dać się pogłaskać? – Tymczasem dla psa przyjdzie na oddział, gdzie są wszystkie te piszczące pompy, masa obcych zapachów, to także spory stres. Nie każdy pies będzie w stanie się do tego dostosować – tłumaczy dogoterapeutka. Wiedzą o tym również pacjenci, którzy mają w domu zwierzęta. Jeśli ich pies czy kot ma naturę lękową, rezygnują z możliwości przyrowadzenia pupila do szpitala.

Tacy pacjenci, którzy tęsknią za swoimi zwierzętami, wręcz garną się do Zuzi i Kluski, które doskonale przystosowały się do szpitalnych warunków. – Nie

spodziewałam się, że moje odwiedzi-
ny z psami mogą być dla pacjentów tak
ważne. Bo przecież tam lekarze walczą
o ich życie, robią poważne rzeczy, a ja
przychodzę z psem, to jakieś głupstwo
– myślałam. Aż kiedyś jedna pacjent-
ka powiedziała mi z wdzięcznością, że
jej ostatnim marzeniem przed śmiercią
było jeszcze raz zobaczyć i pogłaskać psa
– opowiada studentka.

Dlaczego jeszcze pacjenci tak lubią jej
wizyty? – Wydaje mi się, że przynoszę im
wraz z Zuzią czy Kluską jakąś namiastkę
normalności, zwyczajnego życia. Pacjen-
ci na oddziałach paliatywnych zazwyczaj
leżą dość długo, aż do końca. I są tego koń-
ca świadomi. Kiedy przychodzę z psem,
rozmawiamy o nim, o jego zwyczajach,
o zwierzętach, które znał pacjent, to od-
rywa go od przygnębiających myśli, kie-
ruje je ku życiu – mówi Małgorzata.

Od pół roku regularnie odwiedza kli-
nikę z Zuzią i Kluską, a pacjenci zawsze
wyczekują jej wizyt, dopytując, czy na
pewno do nich także zajrzy. – Traktu-
jemy to nie jako rozrywkę czy źródło
pocieszenia dla pacjentów, ale jako nor-
malną procedurę leczniczą – niefarma-
kologiczna interwencja przy pomocy
zwierzęcia może powodować niesamo-
wite zmiany w samopoczuciu – mówi
prof. Dzierżanowski. Do dziś wspomi-
na jedną z pacjentek, panią Beatę, któ-
ra była w tak ciężkim stanie, że profesor,
wychodząc w piątek z kliniki, liczył się
z tym, że w poniedziałek już jej nie zo-
baczy. – Tymczasem w poniedziałek za-
stałem ją siedzącą na łóżku – wstała,
była uśmiechnięta. To była diametral-
na poprawa stanu ogólnego – opowiada
lekarz. Zdumiony, zaczął dopytywać, co
się stało, i okazało się, że w weekend kli-
nikę odwiedziła Małgorzata Brzozowska
ze swoimi psami i pani Beata miała oka-
zję się z nimi pobawić.

Małgorzata jako przyszła lekarka też
docenia terapeutyczne oddziaływanie
psów na osoby chore. Dzięki swojemu
wolontariatowi w klinice prof. Dzierża-
nowskiego miała okazję zobaczyć to na
własne oczy. – Kiedyś, gdy akurat byłam
w szpitalu, profesor poprosił, żebym po-
szła z Kluską do sali, gdzie przyjechała
świeżo przyjeta pacjentka, bardzo prze-

rażona tym, co się dzieje – wspomina
wolontariuszka. Porozmawiała z tą pa-
cjentką, Kluska leżała na jej łóżku. – Nag-
le zauważyłam, jak jej bardzo wysokie ze
stresu ciśnienie zaczęło się normować,
jak walące serce zaczynało bić prawid-
łowo. To było coś niesamowitego – zo-
baczyć, jak ten kontakt ze zwierzęciem
naprawdę działa – mówi Małgorzata.



” **Nie zapomnę
wzruszenia pana
Waldemara, kiedy
głaskał swoje ukochane
zwierzęta. Łzy ciekły
mu po policzkach.
Podobnie jak drugiemu
pacjentowi, który leżał
obok**

PROF. TOMASZ DZIERŻANOWSKI,
KIEROWNIK KLINIKI MEDYCZYNY PALIATYWNEJ
WARSZAWSKIEGO UNIwersYTETU MEDYCZNEGO

TO NAPRAWDĘ POMAGA

**I SA TO NIE TYLKO OBSERWACJE MAŁGO-
RZATY CZY PROF. DZIERŻANOWSKIEGO.**
Również badania naukowe potwierdza-
ją dobroczynne oddziaływanie kontaktu
człowieka z psem czy kotem, zwłaszcza
podczas długotrwałego pobytu w szpi-
talu czy w okresie terminalnym cho-
roby. Wykazało to chociażby badanie
przeprowadzone przez naukowców z hi-
szpańskich uniwersytetów w Walencji
i w Madrycie, którzy przeanalizowali
dostępne badania ze świata dotyczą-
ce terapii z udziałem zwierząt w opie-

ce paliatywnej, obejmujące łącznie 663
terminalnie chorych dorosłych i dzieci.
Z analizy tej wynika, że obecność zwie-
rząt w opiece paliatywnej zdecydowanie
poprawia dobrostan psychiczny i fizycz-
ny chorych. Korzyści psychiczne to m.in.
obniżenie lęku, objawów depresji, lepsza
adaptacja do środowiska szpitalnego,
mniejsze poczucie samotności. Korzyści
fizyczne obejmowały obniżenie poziomu
hormonu stresu – kortyzolu, spadek tętna,
zmniejszenie bólu i duszności. Dane ze
wszystkich ośrodków medycznych,
które zezwoliły na przeprowadzenie te-
rapii z udziałem zwierząt, są bardzo po-
dobne i wszystkie wskazują na korzystne
aspekty obecności zwierząt w opiece
paliatywnej.

Tymczasem dyrektorzy polskich szpi-
tali są na tę wiedzę jakby impregnowani.
Najczęściej zastaniają się lękiem przed
chaosem na oddziale czy przed patoge-
nami przenoszonymi przez zwierzęta.
– Ale takie zagrożenie jest minimalne,
patogeny zwierzęce, zwłaszcza takie,
które może mieć domowy kot czy pies,
są na ogół nieszkodliwe dla człowieka
w zwykłym kontakcie typu głaskanie
czy przytulanie. Zdecydowanie bardziej
niebezpieczne są dla chorych wirusy
i bakterie wnoszone na oddziały przez
innych ludzi – podkreśla prof. Dzierża-
nowski. Oczywiście, pozostaje problem
astmy czy alergii na zwierzęcą sierść, ale
– jak proponuje profesor – wystarczy
tylko znaleźć jakieś miejsce, np. pokój,
gdzie takie kontakty mogłyby się odby-
wać bez szkody dla alergików, jeśli aku-
rat tacy na oddziale są.

To, co wciąż nie udaje się w szpi-
talach, od dawna praktykowane jest
w hospicjach – tam na ogół zwierzęta
mogą być przyprowadzane. Często jest
też tak, że w hospicjum nawet mieszka
jakiś zwierzak, np. kot, choć trochę
w tajemnicy, żeby nie było problemów
z sanepidem. – Pora wreszcie przestać
się obawiać, bo w tym lęku przed zaraz-
kami, kłopotami, kontrolami gubi nam
się to, co najważniejsze – potrzeby od-
chodzącego człowieka – podkreśla prof.
Dzierżanowski. **N**

katarzyna.burda@newsweek.pl

ODLOT KULTURALNY

Katarzyna Janowska

Bardzo słaba „Love Story”



Nie mogę odżałować, że Ryan Murphy, król telewizyjnych opowieści, tak bardzo zepsuł serial o Johnie Kennedym Jr. i Carolyn Besette. Zawiodła rzecz podstawowa: obsada. A przecież w tej historii jest wszystko, co może przydarzyć się ludziom, których życie inni uwielbiają podglądać.

Od dawna żaden serial nie budził takich emocji jak „Love Story: John F. Kennedy Jr. i Carolyn Besette”. Piękni, młodzi, uprzywilejowani byli ikonyczną parą Nowego Jorku. Ich zdjęcia z ulic Tribeki, wystylizowanych z nonszalanckim luzem, trafiały na pierwsze strony plotkarskich gazet na świecie. Wiele lat po tragicznej śmierci pary fotografie Carolyn Besette ciągle pojawiają się w modowych rubrykach jako ilustracja ponadczasowej elegancji. Była ikoną. Ale aktorka Sarah Pidgeon nie ma tego czegoś, co sprawia, że każdy ciuch wygląda na niej jak milion dolarów. A jeszcze mniej z charme’u Kennedy’ego ma grający go Paul Anthony Kelly.

Kiedy się poznali, ona była asystentką i muzą Calvina Kleina (w tej roli też błady Alessandro Nivola). On tworzył, bez sukcesu zresztą, magazyn „George”, który miał łączyć politykę z popkulturą. Styl miał w genach. Jego matka Jacqueline Kennedy-Onassis do dziś uchodzi za jedną z najelegantszych kobiet w historii. Ale był też dzieckiem Ameryki. Zdjęcie trzyletniego chłopczyka salutującego na pogrzebie ojca weszło do ikonografii XX w.

W serialu John mówi do Carolyn: nie pamiętam śmierci ojca, pamiętam żałobę matki. Problem polega na tym, że nie jestem w stanie przejąć się żadnym słowem wypowiedzianym przez aktora. Jest przystojny i nawet podobny do Kennedy’ego Jr., ale ma jedną, uprzejmą minę i nic ponad to. Naomi Watts, moja ulubiona aktorka, w roli Jackie Kennedy jest bezlitośnie pretensjonalna. Nienaturalnym głosem wypowiada życiowe mądrości na temat ewentualnej przyszłej pani Kennedy.

Na pozycji straconej była u niej Daryl Hannah, wieloletnia dziewczyna Johna. Jackie ostentacyjnie nie pojawiła się na kolacji we własnym domu, podczas której miała poznać Daryl. Hannah protestuje przeciwko sposobowi, w jaki pokazano ją w serialu, i trudno się dziwić. Gwiazda kina lat 80., znana m.in. z „Łowcy androidów”, w serialu zachowuje się jak mało rozbawiona, płacziwa dziewczyna, której jedynym celem w życiu jest zmuszenie Kennedy’ego do małżeństwa. Patrząc na Dree Hemingway w tej roli i myśląc, że podobieństwo fizyczne do postaci to zdecydowanie za mało.

Nigdy do końca nie wiadomo, co dzieje się między dwójgim ludźmi, ale Carolyn i John z pewnością nie byli cukierkową parą. Klócili się, także publicznie, nie byli pewni, czy chcą być razem. Carolyn obawiała się, że zniknie w cieniu księcia Ameryki. Nie pomyliła się. Sceny w posiadłości rodzinnej Kennedych, w której przy obiedzie omawia się najważniejsze kwestie polityki międzynarodowej, a Carolyn zostaje skarcona za sweter owinięty wokół szyi, pokazują, z czym musiała się mierzyć dziewczyna ze światła mody i reklamy. Fala zainteresowania mediów nową panią Kennedy dosłownie przygniotła Carolyn. Przed naporem paparazzich schroniła się w słynnym lofcie męża i zaczęła osuwać się w depresję. I to akurat udało się dobrze pokazać twórcom serialu. Ofiarą polowania na celebrytów stała się księżna Diana. Doniesienia o jej śmierci państwo Kennedy oglądają w lęku. Dwa lata później zginą w katastrofie lotniczej.

Carolyn i John nie byli cukierkową parą. Klócili się, także publicznie. Ona obawiała się, że zniknie w cieniu księcia Ameryki

Murphy kręci serial, naśladowując rytm modny w latach 90. Długie rozmowy, teledyskowe ujęcia, pietyzm dla szczegółów. Ze mną zostaną wspaniała ścieżka dźwiękowa, blond włosy głównej bohaterki, ciuchy Calvina Kleina i minimalistyczny loft Kennedy’ego. Za mało jak na opowieść o najsłynniejszej parze Ameryki.

Jeszcze gorzej jest w innym serialu Ryana Murphy’ego „Wszystko dozwolone”, wyprodukowanym wspólnie z Kim Kardashian. Założenia brzmiały dobrze. Trzy prawniczki z elitarnego kancelarii, sfrustrowane seksistowskim zachowaniem przełożonych, buntują się i tworzą własną firmę. Postanawiają w trudnych sprawach rozwodowych bronić kobiety. Niestety aktorki tej klasy co Glenn Close, Naomi Watts czy Sarah Paulson nie uratowały serialu, osuwającego się w soap operę i reality show w stylu Kardashianów. Prawniczki bronią kobiety, ale pod warunkiem, że ich mężowie latają prywatnymi jetami, a biżuteria, o którą toczy się gra, warta jest 30 mln dol. Wszyscy narysowani są tępą, grubą kreską. Aż trudno uwierzyć, że wyszli spod ręki twórcy „Bez skazy”, „Glee” czy „American Horror Story”. Ryan Murphy powinien raczej nostalgicznie wspominać ukochane lata 90., a kręcenie seriali o tym czasie pozostawić już innym. **N**

Travelling

Pięć pomysłów
na majówkę

City break
z kulturą

Nowe
połączenia
lotnicze

FOT. EYEEM MOBILE GMBH/ISTOCKPHOTO



**MOST
GOLDEN GATE**

łączy San Francisco
z hrabstwem Marin

PIĘĆ INSPIRACJI NA DŁUGI WEEKEND

Majówka na piątkę

Obrzydły wam zatłoczone kurorty i wielkie miasta, a wylot na drugi koniec Europy nie wchodzi w rachubę? Znaleźliśmy w Polsce kierunki mniej popularne, które powinny zadowolić zarówno zwolenników zwiedzania, jak i fanów bardziej aktywnego spędzania wolnego czasu

TEKST MARCIN WIECZORKOWSKI



WEJŚCIE na dziką plażę w Osetniku (dawnej Stilo), woj. pomorskie

Szukając białych plaż

PRZEDZIERASZ SIĘ AUTEM PRZEZ LAS WĄSKĄ DROGĄ, by po paru kilometrach dotrzeć na wyjątkowy parking – skryty między wysoko pnącymi się sosnami plac wręcz dotyka szerokiej, piaszczystej plaży. Wystarczy zamknąć auto i już po paru sekundach zatopić stopy w bielutkim, delikatnym piasku. Tutejszy fragment wybrzeża rozciągający się między Białogórą, Lubiawem a Stilem uchodzi (zresztą zupełnie słusznie!) za jeden z najpiękniejszych nad polskim Bałtykiem. Mamy tu wszystko – okazałe wydmy, gęsty, pełny mchów i porostów las, no i oczywiście czysty, biały piasek. Zaletą tych okolic jest także niewielki stopień zurbanizowania – nie ma tu za wiele krzykliwych kurortów, a im dalej od

wspomnianego parkingu w Lubiawie, tym wejścia na plażę rozplanowane są coraz rzadziej, a ludzi jest zdecydowanie mniej. Nie bez przyczyny to jedno z ulubionych miejsc mieszkańców Trójmiasta, którzy doskonale znając okolicę, wiedzą, gdzie szukać mitycznych „dzikich” plaż.

Zaletą tej lokalizacji jest jeszcze coś – brak wielkich hoteli. W wersji bardziej budżetowej możecie zdecydować się na wynajem skrytego w lesie domku, z którego dotrzeć do niemal pustej plaży, z kolei chcąc trochę zaszaleć, wybierzcie stary, pięciogwiazdkowy hotel z klasą. Mowa o Pałacu Ciekocinko – obiekcie powstałym w zabudowaniach dawnego, poniemieckiego majątku szlacheckiego z początku XX w. Kompleks po wojnie został przekształ-

Travelling



ROMAŃSKA ROTUNDA w Cieszynie, XI w.

cony przez komunistyczne władze w PGR, a po okresie transformacji ustrojowej popadł w kompletną ruinę. Na szczęście w 2004 r. uratował go prywatny inwestor z Warszawy, który po trwającym niemal 10 lat remoncie otworzył ten wyjątkowy hotel – to nie tylko pięknie odnowiony gmach, lecz także otaczający go zabytkowy park, zabudowania folwarczne czy wreszcie stadnina goszcząca regularnie międzynarodowe zawody. Ciekocinko kusi też świetną gastronomią – tutejsza restauracja Luneta & Lorneta Bistro Club trafiła ostatnio nawet na karty słynnego czerwonego przewodnika Michelin!

Na granicy nie tylko kino

NI BY KAŻDY KOJARZY I WIE, GDZIE GO SZUKAĆ NA MAPIE, ale tak naprawdę mało kto tu trafia. A szkoda, bo Cieszyn jest idealnym przykładem na to, że miasto rozdzielone międzypaństwową granicą naprawdę może funkcjonować jak jeden spójny organizm. A nie ma lepszej okazji, aby się o tym przekonać, niż odbywający się tu co roku kultowy przegląd filmowy Kino na Granicy. Tegoroczna, 28. edycja potrwa od 29 kwietnia do 3 maja, a jej program zadowolili nie tylko pasjonatów polskiej, czeskiej i słowackiej kinematografii. Po obu stronach Olzy poza projekcjami filmów odbędą się także koncerty, warsztaty oraz spotkania z twórcami, również tymi ze świata poezji i prozy, ponieważ przeglądowi od kilku lat towarzyszy festiwal literacki.

W przerwach między seansami i dyskusjami warto poznać, tym bardziej że jest co – cieszyńska starówka urzeka odrestaurowanymi frontami kamienic, żyjącym do późnych godzin nocnych rynkiem oraz Wzgórzem Zamkowym. Choć samej warowni już tu dawno nie ma (pozostała po niej średniowieczna Wieża Piastowska), trzeba zobaczyć budowlę, którą kojarzy prawdopodobnie każdy Polak – mowa o zabytkowej, jedynej zachowanej w naszym kraju, romańskiej rotundzie pod wezwaniem

św. Marcina i Wacława, uwiecznionej na rewersie 20-złotowego banknotu.

Zaletą Cieszyna jest też lokalizacja – podczas dłuższego pobytu można stąd wyskoczyć w Beskidy albo zwiedzić nieco na wyrost nazywaną „Małym Wiedniem”, ale nadal bardzo ciekawą, Bielsko-Białą. Wiele opcji krótkich, jednodniowych wycieczek oferuje też czeska strona miasta – tutejszy dworzec kolejowy znajduje się zaledwie kilkanaście minut spacerem od mostu nad Olzą. Ze stacji można dojechać wygodnie w wiele ciekawych miejsc, zarówno w Czechach, jak i na Słowacji – począwszy od industrialnej i nieco surowej Ostrawy, przez przytulną Opawę aż po naszpikowany barokowymi kościołami Ołomuniec.

Na jeziora(k)!

KOCHACIE MAZURSKIE JEZIORA, ale na myśl o zatłoczonych w czasie długiego majowego weekendu Mikołajkach albo Giżycku cierpnie wam skóra? Wybierzcie położoną w tym samym województwie Iławę. Miasto, będące stolicą Pojezierza Iławskiego, oferuje znakomite warunki do żeglowania, a przy tym nie jest tak masowo nawiedzane przez turystów, jak najpopularniejsze kurorty w Krainie Tysiąca Jezior.

A w Iławie król jest tylko jeden – największe w tym regionie, a przy tym najdłuższe w całej Polsce (ponad 27 km!), rynnowe jezioro. Jeziorak, rozsławiony w PRL dzięki serii książek autorstwa Zbigniewa Nienackiego o przygodach Pana Samochodzika, urzeka wysoką linią brzegową, a także okalającymi ją gęstymi, iglastymi lasami. Akwen został hojnie obdarowany przez naturę aż 17 wyspami i niezliczonymi wysepkami, które można odkrywać podczas rejsu żagłówką. Co ciekawe, jedna z nich to oficjalnie największa śródlądowa wyspa w naszym kraju – Wielka Żuława. Choć dzisiaj życie na niej toczy się tylko w okresie wiosenno-letnim, to w przeszłości miejsce to



JEZIORO JEZIORAK



PIĘĆ INSPIRACJI NA DŁUGI WEEKEND

**BAROKOWY** kościół p.w. Trójcy Przenajświętszej w Tykocinie

miało o wiele istotniejsze znaczenie. W 2012 r. archeolodzy z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego odkryli ślady osadnictwa i fragmenty dawnych murów warownych, co ma potwierdzać strategiczne znaczenie tej wyspy już we wczesnym średniowieczu.

Ale w okolicach Jezioraka świetnie odnajdą się również ci, którzy nie żeglują – wzdłuż brzegów jeziora (a także przepływającej przez Hawę rzeki Hawki) ciągną się promenady oraz drogi rowerowe, nie brakuje też dobrze przygotowanych plaż. W samym mieście, choć doszczętnie zniszczonym podczas ofensywy Armii Czerwonej, szczęśliwie przetrwało kilka przedwojennych perełek – jedną z nich jest okazały neobarokowy ratusz, a także piękny, misternie odnowiony gmach dworca kolejowego, utrzymany w stylu neogotyckim.

Wielka historia w małym mieście

AGNIESZKA OSIECKA ZACHWYCAŁA SIĘ NIM, nazywając go „miasteczkiem bajeczką”, znani reżyserzy kręcili tu fil-

my, a liczba zabytków (na czele z zamkiem!) może zawstydzić wiele znacznie większych ośrodków. Aż trudno uwierzyć, że miejscowość mająca współcześnie mniej niż 2 tys. mieszkańców może oferować tak wiele. Okazuje się jednak, że Tykocin, szczytujący się niegdyś statusem miasta królewskiego, był jednym z najważniejszych ośrodków w regionie. Powstał na skrzyżowaniu ważnych szlaków handlowych, a przez tutejszy port na Narwi przepłynęły niezliczone tony zboża, drewna oraz innych cennych ówczesnie towarów. Tykocin obrastał bogactwem, na czym zyskiwali jego mieszkańcy – zarówno katolicy, jak i lokalni Żydzi. Pamiątką po tych ostatnich do dzisiaj pozostaje odnowiona XVII-wieczna synagoga, dom talmudyczny, wchodzące w skład sztetla stare domy czy wreszcie położone na obrzeżach pozostałości żydowskiego cmentarza.

Serce współczesnego Tykocina, podobnie jak przed wiekami, wyznacza duży, zaplanowany na kształt trapezu rynek, oficjalnie nazwany Placem Stefana Czarnieckiego – zresztą to tutaj znajduje się też piękny, XVIII-wieczny pomnik słynnego hetmana. Najbardziej jednak charakte-

Osiecka zachwycała się Tykocinem, nazywając go „miasteczkiem bajeczką”, znani reżyserzy kręcili tu filmy, a liczba zabytków może zawstydzić wiele znacznie większych ośrodków

Travelling

rystycznym punktem skweru jest imponująca bryła barokowego kościoła pod wezwaniem Trójcy Przenajświętszej, która „zagrała” w kilku znanych filmach, m.in. „U Pana Boga za piecem”, czyli pierwszej części kultowego, podlaskiego cyklu komedii w reżyserii Jacka Bromskiego.

Kiedy znudzi się wam zwiedzanie, zróbcie sobie spacer otwartym w 2021 r. bulwarem wzdłuż Narwi – powstały tu nowoczesna promenada oraz ścieżka edukacyjna z widokiem na leniwie wijącą się rzekę oraz kompletnie dzikie tereny na przeciwległym brzegu. A jeśli nadal macie niedosyt obcowania z dziewiczą przyrodą, zaledwie kilkanaście kilometrów od miasta rozciąga się wspaniały Narwiański Park Narodowy. Koniecznie wybierzcie się tu na wędrowkę prowadzącą przez kładki po tutejszych mokradłach i zaroślach, najlepiej z jednym z lokalnych przewodników pasjonatów, którzy ze szczegółami opowiedzą wam o tajemnicach tutejszego ekosystemu.

Aktywnie i historycznie

JEŚLI DŁUGI WEEKEND MAJOWY chcecie spędzić przede wszystkim aktywnie, Jura Krakowsko-Częstochowska jest punktem, na który powinniście nastawić swoją nawigację. Ten wyjątkowy obszar, upstrzony wapiennymi ostańca-

mi i ruinami piastowskich zamków, rozciąga się pomiędzy doliną Warty pod Częstochową a doliną Wisły w okolicach Krakowa, oferując masę opcji tym, którzy nie wyobrażają sobie majówki bez choćby małego zastrzyku adrenaliny. Jura to przede wszystkim mekka wspinaczy – jest największym rejonem wspinaczkowym w całym kraju, dlatego pierwsze kroki stawiali tu niemal wszyscy najbardziej znani polscy himalaiści i taternicy, na czele z samym Jerzym Kukuczka. Region przyciąga też grotolazów – znajdziecie tutaj nawet około 1700 różnych jaskiń, z których kilka zostało dopuszczonych do zwiedzania przez „zwyyczajnych” turystów.

Nudzić nie będą się tu również zapaleni rowerzyści – to właśnie w Jurze wytyczono jeden z najstarszych szlaków rowerowych w Polsce. Obfitująca w piękne widoki Jurajska Trasa Rowerowa Orlich Gniazd łączy Kraków z Częstochową i przez niemal 190 km prowadzi przez wszystkie najważniejsze atrakcje regionu – głównie pozostałości po średniowiecznych zamkach i warowniach, wzniesionych w celu ochrony południowych granic ówczesnego Królestwa Polskiego. Ciekawy jest także znacznie krótszy, bo zaledwie 20-kilometrowy, szlak wokół Pustyni Błędowskiej (Velo Pustynia), a dla bardziej doświadczonych fanów jazdy MTB przeznaczony jest Szlak Dolinek Podkrakowskich. •



ZAMEK OGRODZIENIEC leży w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, XIV-XV w.



POMNIK Karola Marksa autorstwa radzieckiego rzeźbiarza Lwa Kerbela w Chemnitz w Niemczech

CITY BREAK DLA AMBITNYCH

Sztuka zwiedzania

Co mają wspólnego Chemnitz, Oulu, Kowno, Marsylia i Zagrzeb? Świątą sztukę uliczną, nietuzinkowe muzea i brak tłumów turystów! Polecamy inspirujące i nieoczywiste miejsca na wiosenny weekend

TEKST ANNA JANOWSKA

Chemnitz

GŁOWA KAROLA MARKSA jest ogromna: ma siedem metrów wysokości i stoi na sześciometrowym cokole. Radziecki rzeźbiarz Lew Jefimowicz Kerbel, autor licznych popiersi Lenina, musiał się mocno nagimnastykować, by przekonać komunistycznych włodarzy, że rzeźbie niepotrzebne są ani korpus, ani nogi, bo sama głowa wystarczająco dobrze oddaje wielkość Marksa. To pamiątka z czasów, gdy Chemnitz było czwartym co do wielkości miastem NRD, a w 1953 r. nagle postanowiono, że stanie się Miastem Karola Marksa (Karl-Marx-Stadt). Nazwa ta obowiązywała aż do zjednoczenia Niemiec w 1990 r., a starsi mieszkańcy nadal mają ją w dokumentach. Może dlatego pomnik „pieszczotliwie” nazywają „Czacha” i nie wyobrażają sobie swojego miasta bez niego. Rok temu, kiedy Chemnitz było Europejską Stolicą Kultury, ustawiono przed głową Marksa maszynkę do golenia, co było artystycznym nawiązaniem do plotki, że gdyby pomnik ogolić, spod brody wyłoniłaby się twarz Lenina.

W poprzednim życiu Chemnitz było bogatym miastem napędzanym przez zakłady tekstylne i fabryki, po których dziś zostały kominy. Ten najwyższy, 302-metrowy, pomalował w cukierkowe pasy artysta Daniel Buren, a odkąd komin jest nocą podświetlony, rywalizuje on z głową Marksa o status symbolu miasta. Dziś ceglane fabryki zamieniono

FOT. WRANGEL/ISTOCKPHOTO, BIRUTE/ISTOCKPHOTO



„MISTRZ”

na fasadzie domu
koło starówki
w Kownie był
jednym z pierwszych
wielkoformatowych
murali na Litwie



w muzea, galerie sztuki, kluby czy palarnie kawy. Na przykład w dawnej fabryce lokomotyw są mieszkania, biura, hotel, bar i boisko do koszykówki na dachu. Również domy dawnych potentatów to nie lada atrakcja – chociażby willa Eschego, rezydencja przedsiębiorcy tekstylnego Herberta Eschego zaprojektowana w 1902 r. jako dzieło totalne (od secesyjnych plafonów, przez osłony kaloryferów, aż po serwisy do kawy) przez rozchwytywanego w tamtych czasach belgijskiego architekta Henry’ego van de Velde. Z kolei sam Esche miał tyle pieniędzy i fantazji, że do sportretowania rodziny zaprosił samego Edwarda Muncha.

Jedna z należących do niego fabryk obrabiarek w połączeniu z budynkami dawnej odlewni maszyn Schubert & Salzer mieści dziś opowiadające historię Chemnitz Muzeum Przemysłu, gdzie wciąż bucha parą oryginalna maszyna parowa z 1896 r. Z kolei świetne Muzeum Gunzenhausera, w budynku Kasy Oszczędnościowej z lat 20.,

zawdzięcza swoje zbiory kolekcjonerowi Alfredowi Gunzenhauserowi, który pierwszy obraz kupił na raty jako student, a potem już poszło! Oferował muzeum ponad 2400 dzieł 270 artystów, w tym największą na świecie kolekcję obrazów Ottona Dix’a.

Kowno

MUROGRAF, czyli „wall-o-graphers” – tak w Kownie nazywa się osoby zafascynowane sztuką uliczną. Specjalnie dla nich miasto przygotowało mapę, na której samych murali jest ponad 40. Najbardziej rozpoznawalny jest siwy, palący fajkę „Mistrz”, zwany też „Mądrym Starcem”, który nie dość, że zajmuje całą fasadę domu koło starówki, to był też jednym z pierwszych wielkoformatowych murali na Litwie. A że Kowno jest ważnym adresem dla streetartowych artystów, potwierdza chociażby mural w wykonaniu gwiazd, brazylijskich braci Os Gemeos,

**W Chemnitz 302-metrowy komin pomalowany
w cukierkowe pasy przez artystę Daniela Burena rywalizuje
z głową Marksa o status symbolu miasta**



TARAS na dachu Muzeum Cywilizacji Europejskiej i Śródziemnomorskiej we francuskiej Marsylii

na którym scenki rodem ze snu wypełniają charakterystyczne, żółte ludziki.

Sztuki ulicznej tu tyle nie przypadkiem. Kowno, drugie co do wielkości miasto na Litwie, jest młode, pełne uniwersytetów, tętniące życiem, z mnóstwem barów i restauracji – chociażby przy będącej jego głównym deptakiem Alei Wolności. Słynie też z modernistycznej architektury wpisanej na listę światowego dziedzictwa UNESCO i z urokliwej starówki, na której ślady przeszłości przeplatają się ze sztuką. Ot, chociażby miejsce, gdzie mieszkał Adam Mickiewicz w czasach, gdy pracował w Kownie jako nauczyciel, zostało „oznaczone” neonem w kształcie znacznika, jaki znamy z elektronicznych map, i zdaniem wyjętym z ust Konrada: „Gdzież jestem?”.

Marsylia

WSPINAJĄCA SIĘ Z PORTU na jedno z siedmiu wzgórz, na których leży Marsylia, dzielnica Cours Julien, albo raczej Cour Jo, jak nazywają ją uwielbiający skrótowi Francuzi, przyciąga „bo-bo”, czyli burżuazjo-bohemę. Oraz ulicznych artystów. W wąskich uliczkach pełno barów, knajpek i sklepików, a na fasadach – graffiti. Pierwsi artyści pojawili się tu pod koniec lat 80. na fali marsylijskiego ruchu hipopowego. Z czasem na odrapanych fasadach stworzyli kolorowy, urzekający świat. W sąsiadującej z Cour Jo

dzielnicy Le Panier (czyli „Koszyk”), tuż przy starym porcie, murale są bardziej uporządkowane, tworzone za zgodą i pod czujnym okiem sklepikarzy czy mieszkańców domów. W oczy rzucają się szczególnie twarze kobiet o przenikliwych spojrzeniach autorstwa Manyoly, propagatorki tworzenia na ulicy, na oczach przechodniów i na bieżący poddawania się ich ocenie.

Tuż obok, przez czarną, koronkową fasadę prześwituje błękit nieba i lazur morza. Wrażenie tym większe, że ta jakby wycięta na drukarce 3D ażurowa konstrukcja, lekka i zwiewna niczym firanka, tak naprawdę jest betonowa. To ultranowoczesne Muzeum Cywilizacji Europejskiej i Śródziemnomorskiej (MuCEM) stojące na skraju kamiennego nabrzeża. Kogo nie interesuje ponad milion eksponatów z obszaru Morza Śródziemnego, tego na pewno zaciekawia sama bryła muzeum albo widok z tarasu na dachu.

Nie sposób wyjechać z Marsylii bez zobaczenia „Jednostki Marsylijskiej”, potwora na żelbetonowych nogach, praprzodkini bloków z wielkiej płyty. Wybudowana w latach 1947-1952, jest uosobieniem założeń Le Corbusiera o maszynie do mieszkania. Architekt ochrzcił ją mianem „Promiennego Miasta”, czyli „Cité Radieuse”, a przez mieszkańców przezywana jest „La Maison du Fada”, czyli „Domem Wariatów”. Jej wymiary są równie imponujące, co przytłaczające – ten długi na 137 m i wysoki na 18 pię-

Travelling



MALOWNICZA PANORAMA miasta Oulu w regionie Ostrobotni Północnej w Finlandii

ter budynek przecina 337 (!) podłużnych, wąskich mieszkań. Na dachu, tam gdzie architekt widział siłownię pod chmurką, mieści się dziś galeria sztuki MaMo.

Oulu

O OULU mało kto słyszał, no chyba że jego przodkowie w XVIII i XIX w. importowali smołę sosnową używaną do impregnacji statków, bo właśnie z niej to portowe fińskie miasto słynęło. Dziś odbywa się tu masa festiwali, w tym dość abstrakcyjny, międzynarodowy festiwal gry na niewidzialnej gitarze (!), i działają dwie ważne instytucje: Tietoomaa, pierwsze centrum naukowe w Finlandii, oraz Muzeum Oulu, które jest strażnikiem dziedzictwa kulturowego Saamów, rdzennej społeczności zamieszkującej północ Finlandii, Szwecji, Norwegii i Rosji. I tak Oulu, jako Europejska Stolica Kultury 2026, oferuje unikalne połączenie północnej kultury, kuchni, przyrody i kreatywności. Z tej okazji Muzeum Oulu zaprezentuje zarówno współczesną sztukę Saamów, jak i „duodji”, czyli ich tradycyjne rękodzieło. Z kolei miejscowy teatr wystawi sztukę saamskiej dramatopisarki Siri Broch Johansen, w której przenosi ona na scenę historię prześladowań i przymusowej asymilacji swojego narodu. Latem ruszy tutaj skupiający się na zmianach klimatu artystyczny szlak „Climate Clock” z siedmioma realizacjami fińskich i zagranicznych twórców. Wśród nich cykl

pięciu kamiennych rzeźb inspirowanych lodowcami i krą morską oraz instalacją będącą połączeniem badań nad śniegiem i... architektury lokalnego kościoła.

Zagrzeb

MURY OZDOBIONE koronkami tkanymi na szydełku, tuż obok przyklejone do nich instalacje z miniatur, dalekie murale czy graffiti ciągnące się przez pół kilometra wzdłuż ulicy Kneza Branimira. Do tego liczne festiwale, galeria sztuki ulicznej Lapo Lapo oraz bezpłatne wycieczki szlakiem street artu, gdzie możemy trafić na jednego z artystów za przewodnika. A tych w Zagrzebiu wielu, bo miasto stworzyło kilka ślaw. Chociażby Oko, tworzącą misterne, czarno-białe rysunki elegancko ubranych ludzi o głowach zwierząt czy równoległe światy kolorowych bestii. Albo artystę kryjącego się pod pseudonimem Lonac (czyli po chorwacku garnek), używającego sprayu niczym pędzli i tworzącego wielkoformatowe malowidła o precyzyjnej kresce.

Podczas spacerów po mieście o uśmiech i chęć odmrugnięcia okiem przyprawiają nas projekty anonimowej grupy Pimp My Pump, która nadała nowe, kolorowe życie zapomnianym i zardzewiałym żeliwnym pompom miejskim, zamieniając je w bałwany, Davida Bowiego, łamigłówek czy gry miejskie. •

AI NIE POTRAFI STWORZYĆ CHWILI, W
KTÓREJ BIERZESZ GŁĘBSZY ODDECH.
CHORWACJA POTRAFI.

chorwacja.hr




CHORWA CJA
Pełna życia

NAJCIEKAWSZE NOWE LOTNICZE POŁĄCZENIA Z POLSKI

Zalatani

Zbliżający się sezon letni obrodzi w wiele nowych, bezpośrednich połączeń z polskich lotnisk – Daleki Wschód, Azja Centralna, USA, a może coś z mniej znanych europejskich perełek? Sprawdzamy, które nowe kierunki mogą okazać się tegorocznymi hitami

TEKST MARCIN WIECZORKOWSKI



CERKIEW

św. Jana Teologa
w mieście Ochryda,
w malowniczej dzielnicy
Kaneo, Macedonia
Północna

Travelling

Bangkok

URUCHOMIENIE BEZPOŚREDNIEGO, rejsowego połączenia ze stolicą Tajlandii to zdecydowanie jedna z najbardziej wyczekiwanych od wielu lat wiadomości dla tysięcy polskich turystów. Od 26 października, kilka razy w tygodniu, Dreamlinery Polskich Linii Lotniczych Lot połączą Warszawę z Bangkokiem. Podróż potrwa niewiele ponad 10 godzin, a przylot na lotnisko Suvarnabhumi w godzinach porannych (planowo o 6.45) będzie idealnym rozwiązaniem dla osób chcących przesiąść się w tajskiej stolicy na samoloty udające się w kierunku andamańskich wysp. Ale oczywiście niekoniecznie – sam Bangkok wart jest chociażby dwudniowego przystanku podczas odkrywania tego zakątka Azji. Koniecznie należy tu zwiedzić okazały Pałac Królewski, kąpiące złotem buddyjskie świątynie czy spróbować miejscowego street foodu. A na deser? Zakupy! W Bangkoku znajdziecie wszystko – od zatłoczonych bazarów z podróbkami po luksusowe galerie handlowe z butikami projektantów.

San Francisco

TO NIE KONIEC NIESPODZIANEK od naszego narodowego przewoźnika. Znacznie wcześniej niż do Bangkoku ruszy bezpośrednio, realizowane cztery razy w tygodniu, sezonowe połączenie z Warszawy do San Francisco. Będzie to już drugie, po Los Angeles, połączenie Lotu do Kalifornii. Zostanie ono zainaugurowane 6 maja, a ostatni rejs odbędzie się 22 października. To doskonale wieści przede wszystkim dla klientów biznesowych udających się do firm ulokowanych w Dolinie Krzemowej, ale nie tylko. San Francisco samo w sobie jest jednym z najbardziej popularnych wśród turystów miast w Stanach Zjednoczonych, a do tego uchodzi za dobrą bazę wypadową do eksploracji północnej Kalifornii – znanych na całym świecie parków narodowych lub równie słynnych regionów winiarskich, na czele z Doliną Napy. Można stąd także ruszyć w trasę kultową Pacific Highway, by dostać się do Los Angeles i stamtąd wrócić do Europy.

Maastricht

TO HOLENDERSKIE MIASTO, znajdujące się niedaleko trójstyku granic Holandii, Belgii oraz Niemiec, przez młodszych kojarzone jest głównie jako miejsce podpisania traktatu założycielskiego Unii Europejskiej, a nieco starsi pamiętają słynne plenerowe koncerty skrzypka Andre Rieu, który w naszym kraju ma tysiące wiernych fanów. Jeśli zatem chcecie przespacerować się uroczą tutejszą starówką lub zobaczyć najstarszy most w całej

FOT. LUKAS BISCHOFF/ISTOCKPHOTO

NAJCIEKAWSZE NOWE LOTNICZE POŁĄCZENIA Z POLSKI

Holandii, nie będziecie mieli lepszej na to sposobności niż wybór bezpośredniego połączenia lotniczego realizowanego przez Wizz Air, i to z dwóch polskich miast – od 29 marca zaczynają się loty z Katowic, a od 3 kwietnia – z Lublina.

Minorka

A MOŻE BALEARY? Na mniej znaną „siostrę” hiperturytycznej Majorki i bardzo imprezowej Ibizy dotychczas można było dotrzeć bezpośrednio z Polski jedynie czarterami. Teraz ma się to zmienić dzięki nowemu połączeniu Wizz Aira ze stołecznego portu imienia Fryderyka Chopina na lotnisko w Mahón. Samoloty węgierskiego przewoźnika będą latać od 29 marca do 21 października dwa razy w tygodniu – w środy i niedziele. To wystarczy, by udać się na Baleary na przedłużony city break lub nie-

Almaty

DO DAWNEJ STOLICY Kazachstanu zabiorą nas z Warszawy Polskie Linie Lotnicze Lot. To będzie już drugie (w rozkładzie od kilku lat znajduje się też Astana) połączenie narodowego przewoźnika z tą dawną, radziecką republiką. Rejsy startują z końcem maja i odbywać się będą aż sześć razy w tygodniu, a przelot potrwa około sześciu godzin. Almaty, w przeciwieństwie do wspomnianej Astany, oferują naprawdę wiele atrakcji. To kipiące energią miasto z nieoczywistą architekturą, gdzie sąsiadują ze sobą zabawkowe cerkwie, socrealistyczne gmachy i szklane wieżowce, wznoszone tu obficie po wybiciu się Kazachstanu na niepodległość. Ale to nie wszystko. Dawna stolica to także świetna baza wypadowa do odkrywania przyrodniczych skarbów tego kraju – można stąd łatwo dotrzeć do

San Francisco samo w sobie jest jednym z najbardziej popularnych wśród turystów miast w USA, a do tego uchodzi za doskonałą bazę wypadową do eksploracji północnej Kalifornii

co dłuższy urlop, tym bardziej że na Minorce jest co robić – warto tu zwiedzić zabytkową stolicę słynącą m.in. z jednego z największych naturalnych portów na świecie, odwiedzić ukryte w uroczych zatoczkach plaże czy eksplorować piękne parki krajobrazowe.

Braszów

CHOĆ JEST DOPIERO ósmym pod względem liczby mieszkańców miastem Rumunii, to przez wielu uważane za najpiękniejsze. Położone między górami, przyciąga interesującą architekturą i bogatą, charakterystyczną dla Transylwanii mieszkanką kultur, gdzie przez wieki stykały się różne narodowości i grupy etniczne. Dzisiaj Braszów kusi sporą liczbą imprez plenerowych, pieczołowicie odnowioną starówką czy bliskością pięknych, górskich szlaków. Co ciekawe, to właśnie w granicach tego miasta otwarto w 2023 r. pierwsze od 50 lat zupełnie nowe lotnisko cywilne w Rumunii. Od marca można dolecieć na nie Wizz Airem bezpośrednio (trzy razy w tygodniu) z Katowic, z kolei od czerwca – z Warszawy (dwa razy w tygodniu).

mieniącego się turkusem i położonego na wysokości ponad 2500 m n.p.m. Wielkiego Jeziora Almatyńskiego lub do majestatycznego Kanionu Szaryńskiego, przypominającego słynny Wielki Kanion Kolorado.

Ochryda

MACEDONIA PÓLNOĆNA jest wciąż dla większości polskich turystów niczym terra incognita, ale nowe bezpośrednie loty mogą to zmienić. Od dawna funkcjonują połączenia do stołecznego Skopje, a teraz (z Katowic i Wrocławia) można dolecieć także do pięknej Ochrydy. To znajdujące się nad brzegami Jeziora Ochrydzkiego naszpikowane zabytkami miasto nieprzypadkowo umieszczono na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Zobaczycie tu niezliczone prawosławne monastypy (ale plotkę o 365 świątyniach można raczej włożyć między bajki), sporą średniowieczną twierdzę czy świetnie zachowany antyczny teatr. Sezonowe rejsy będą realizowane od czerwca do połowy września. W przypadku stolicy Dolnego Śląska – dwa razy w tygodniu, z kolei z podkatowickich Pyrzowic samoloty Wizz Aira polecą na Bałkany nawet trzy razy na tydzień. •

Roczna prenumerata Forbes



Zamów za **229 zł** na **Literia.pl**
a w prezencie otrzymasz:

- karta podarunkowa Apart o wartości 100 zł
- roczny dostęp do **onet premium**

Teraz darmowa dostawa
przez **Paczkomat® InPost**
lub do skrzynki pocztowej



PRZYPOMNIJCIE
MI - WALCZYMY
Z IRANEM
CZY Z IRAKIEM?



Newsweek POLSKA PSYCHOLOGIA Z NAMI POCZUJESZ SIĘ LEPIEJ



Powodów, dla których warto przeczytać ten numer

- + Jak przetrwać nieograniczony dostęp do informacji w niestabilnych czasach?//
- + Nie mam pewności czy jeszcze cię Kocham. Czy ta wątpliwość oznacza koniec związku?//
- + Współzależnienie - dlaczego w relacjach problemowych tak trudno poczuć grunt pod nogami?//
- + Czym stał się dom dla polskich mężczyzn przy zmieniających się oczekiwaniach?//
- + Jak niewiedza i niepewność oddalają nas od skorzystania z pomocy psychologicznej?//



Szukaj w salonach prasowych, na Literia.pl lub zasubskrybuj **onet premium**

Dołącz do społeczności @newsweekpsychologia





Już 5 lat razem!

Hyundai partnerem
strategicznym ONET RANO.
Dziękujemy za zaufanie!



HYUNDAI



onet rano